

KOSSAK ZOFIA

SUKNIA DEJANIRY

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

Stara Oleska, Syruciowa matka, tkala długo tę sukmanę. Nie dlatego, żeby była opieszalą pracownicą, lecz że z robotą musiała się kryć. Wełna leżała w komorze przeszło dwa miesiące, nim odważyła się wziąć ją na warsztat. Żeby nie zauważono, nie nagabywano: skąd wzięła runo? z jakiego barana? – na które to pytania niełatwo by jej przyszło odpowiedzieć. Dla pozorów chodziła sklamrzeć o wełnę do podstarościego i do szaf arki we dworze. Pierwszy dał jej na odczepne kłaczek, tyle co na jedną rękawicę, druga jeszcze mniej – ledwie na pół rękawicy. Przyjęła pokornie te dary, za nogi z wdzięcznością podjęła i znów przycichła. Czekwała, ażby zapomniano, o co prosiła, ile dostała. Gdy minęło parę niedziel, wzięła się ostrożnie do tkania. Gdyby teraz karbowy zaszedł ją przy tej robocie i pytał, skąd posiada wełnę, odpowie, że od podstarościego i szaf arki. Lepiej jednak, by nie pytał wcale; tkala zatem tylko wczesnym rankiem albo w porze odpoczynku południowego. Syruc, syn, patrzył na jej robotę z upragnieniem. Dotychczasowy przyodziewek opadał z niego w strzępach, nowa świtka stawała się nieodzownie potrzebna.

Gdy sukno grube, węzlaste zostało utkane, matka skroila i uszyła świtę. Zszywała mocno, porządnie, dokładnie. Nie rok, nie parę lat ma trwać jej robota. Od

wewnątrz wszyła głęboką kieszeń z płótna, w której chłopiec będzie mógł nosić chleb, kozik i co ta popadnie.

– Będę wyglądał jak pan – cieszył się Syruć, patrząc na sękaty palec matki zmagające się z opornym samodziałem.

– Ano, ano – przedrzeźniał ojciec leżący na wyrku – wielmożny pan... Dochrapiesz się batów przez to państwo...

– Nie głupim przy ekonomie gadać. A pod Wielkimi Łukami nie uszlachcił to król Stefan chłopskiego syna?... Pojadę na wojnę, też bramę wysadzę...

– Gadają o tym Wielkołuckim, a nie wiadomo, czy prawda. Jak świat światem, jeszcze chłop panem nie został.

– Ja zostanę...

– Durnyś! A na księżycu chciałbyś mieszkać?

– Jej ej, batku, czemu nie?

To włącz na dach i dalej! Taka ci sama droga od chłopca do pana...

Zaśmiał się szyderczo i nakrył głowę kozuchem, do spania. Matka nie mówiła nic; szyła zawzięcie, wykańczając kołnier. Nareszcie sukmana była gotowa. Mimo radosnej niecierpliwości Syruć nie mógł jej włożyć od razu. Och, nie! Trzeba było najpierw kilka nocy trzymać świtkę na dworze, by od wilgoci rosy straciła sztywność, potem zmiąć, utylić w kurzu, ażeby nie rzucało się w oczy, że nowa. Wdział ją po raz pierwszy w upartą pluchę, gdy nikt na wygląd swój ani cudzy nie zważał. Dzięki tym manewrom zmiana podartego lejnika na dobrą kapotę uszła ogólnej uwagi. Udało się. Matka odetchnęła z ulgą. Chwalić Boga, ma syn przyodziewek. Nie uświerknie zimą od mrozu, latem od upału – ani dokuczy mu nawet słońce, bo sukno, dobrze nasyczone tłuszczem, niełatwo przesiąknie na wielkim deszczu.

Dzięki sukmanie Syruć miał nadzieję, że go pošlą z paniczem na wojnę; na razie zaś pozostawał przy psiarni, gdzie robota lżejsza była niż w polu. Psiarzyków było trzech, ale barwa im nie przysługiwała. Barwę, czyli dworską odzież otrzymywali tylko hajducy i pokojowcy. Psiarze musieli ubierać się sami. Gdy chodzili zanadto obdarci, odsyłano ich ekonomowi, biorąc lepiej przyodzianych. Syruć, któremu już odesłanie groziło, mógł teraz spać spokojnie, zwłaszcza że psy go lubiły i umiał koło nich chodzić.

Psiarnia głębocka znana była w całej Litwie jako jedna z najprzedniejszych. Pochodzące z niej ogary miały sławę wytrwałych w biegu, zawziętych w pościgu i nieomylnych w tropieniu. Jednolitej płowej barwy, czarno podpalane, posiadały szerokie piersi i żelazne szczęki. We cztery sadzały dzika. Nie lękały się niedźwiedzia. Toteż sąsiedzi dopraszali się natarczywie o szczeniaki mimo ich wysokiej ceny: za parkę głębockich ogarów dawano konia z rzędem albo trzech poddanych.

Psiarnia znajdowała się tuż przy folwarku, ekonom jednak nią nie zawiadywał. Wraz ze stadnią pozostawała pod bezpośrednią opieką komisarza dóbr Głębokie, urodzonego pana Biesa Korolko herbu Kornic. Był to mąż stateczny, najszczerzej swym chlebowcom oddany, słynący w okolicy jako wzór sprawiedliwości. On sam lubił tę swoją zaletę podkreślać, dodając, że Brutus mógłby przy nim wodę nosić.

Pan Korolko przybył na Litwę przed laty z województwa ruskiego i przywiązał się do tych stron niby do rodzonych. Był zapalonym myśliwym, przeto nie małą rolę w tym sentymencie odegrały tutejsze obszary

łowieckie, nie mające sobie równych. Najpiękniejsze lasy i knieje Korony nie mogły iść w paragon z borami, praborami, pierwoborami, puszciami, otaczającymi Głębokie zwartym, szumiącym pierścieniem. W wilgotnym ich gąszczu ginęły wsie i pola jak mało znaczne nowiny. W borach tych nie potrzebowałeś długo chodzić, by napotkać łosia, żubra, rysia lub niedźwiedzia. Pan Korolko twierdził nawet, że w lasach głębockich żywią jeszcze tury, czarne groźne byki, zaginione już na pozostałym obszarze Rzeczypospolitej. Na krętych, bagnistych rzeczulkach płynących wskroś puszczy mnożyły się szczęśliwie bobry, stada dzików paćkały pola i niszczyły młodą ruń ku rozpaczycy chłopów, zimą stada wilków zuchwałe i głodne podchodziły tuż pod wsie... Miały na czym zaprawiać się Korsakowskie ogary, oj, miały! Nie dziw, że były i rosły, i ścięły.

Syruć, dorodny jasnowłosy pachol, czyścił właśnie zagrodzenie. Pan komisarz Korolko stał przy nim, trzymając na rękę szczenięta ulubionej suki Cybeli. Były miękkie i ciężkie jak kluski, zgubione w fałdach własnej zbyt obszernej skóry, pociesznie namarszczone, ciepłe i bezradne. Niespokojna mimo zaufania do łowczego matka śledziła uważnym wzrokiem każdy ruch dzieci i trzymających je dłoni.

Powracający z przechadzki z brewiarzem w rękę kapelan dworski, ksiądz Dominik Podolec, Societatis Jesu, przystanął przy komisarzu.

– Zabawne bestyjki – zauważył. – Czy już widzą?

– Jeszcze jak! Piękne psy. Nie dam ich nikomu. Zostaną dla nas. Spójrzcie, ojczye wielebny! Łapska jak łopaty, wargi czarne jak u kruka. Podniebienie idem. Dobre psy. Na, masz je, Cybelka, z powrotem...

Złożył psiaki na ziemi, gdzie matka ogarnęła je troskliwym jęczorem. Pan Korolko ciągnął:

– Powiadał mi Lejbuś, że dziedzic święciański sprowadził z Inflant dwie pary psów, żeby pobić nasze. Niech sobie sprowadza nawet z Anglijej, ja się o to nie kłopotczę. Naszych ogarów żadne nie prześcigną. Nieraz się zastanawiam – że to lubię każdą rzecz do dna gruntować – czemu tak jest? Może, że chowaniec przyjazny...

– Najprędzej z racji umiejętności i starunku waszmości pana dobrodzieja.

– Nie tylko, ojcze wielebny, nie tylko! Zdarza się, że jest staranie, a kapryśna Fortuna powodzenia nie udzieli. Stateczniejszą widzę przyczynę w szczególnym faworze przysługującym rodowi, któremu wszystko z łaski Bożej się udaje...

– Owszem – przyznał uprzejmie kapelan – wiecie się panu staroście w większości zamierzeń...

– Ten fawor z dawna zostaje do klejnotu przywiązany. Z młodości lubiąc umysł ćwiczyć, nieraz nad tym rozmyślałem i sądzę, że Stwórca wszechmocny pragnie w ten sposób nagrodzić krew, która już w starożytnym Rzymie cnotą i męstwem słynęła, co – jako pośród wszetecznych pogan – większą zasługę czyniło. O ówczesnych przewagach Korsaków pisze niepodejrzany świadek, Iuvenalis...

– Opowiadałeś mi już o tym kiedyś waść.

– Opowiem chętnie jeszcze raz. Iuvenalis, pisząc o pobiciu Wolumniusza, króla Wegentów, przez Korneliusza Korsaka, nie wspomina, zali ród ten pieczętował się już tym samym co i dziś klejnotem, przesławnymi

kotwicami, barkami o się wspartymi, jednym spiętymi
ogniwem. Niektórzy bowiem kronikarze twier

dzą, iż klejnot ten otrzymał pan Hieronim Korsak, przesławny praszczur jaśnie wielmożnego pana starosty, dopiero gdy królem Korsyki został. Wyspa ta bowiem od jego nazwiska wzięła swoje miano.

– Jestżeś tego najzupełniej pewien, mości komisarzu?

– Najzupełniej. Korsyką rządzą Korsakowie długi czas chwalebnie. Na koniec sprzykrzyli sobie klimat dokuczliwy, mnogość robactwa, much i gadów bardzo tam rozwielnionych, najgorzej zaś dojął im brak łowów. Skoro bowiem wszystkie lwy, tygrysy i inne bestie na tamecznych skałach gnieźdzące się wykluli, nowe zaś przez morze przepłynąć nie mogły, musieliby chyba panowie za podłym szarakiem albo małym ptaszkiem gonić, co dobrej krwi nie uchodzi... Tandem rzucili kwitnącą wyspę, szukając sposobniejszego miejsca, i szczęśliwym trafunkiem przybyli w te strony. Książ Świdrygiełło, brat przesławnego króla Jagiełły, takich gości na swoich ziemiach ujrzawszy, już ich puścić nie chciał. Co tylko chcieli, dał im. Córkę za żonę, i puszczyć, i włości od Głębokiego po Hołubicę i dalej. Co więcej – zwierzynę kazał w te bory rozmyślnie sługom spędzać, żeby się korsykańskim królom nie cniło... Tak i ostali. Stąd więcej u nas zwierza niż w królewskich czy Radziwiłłowskich kniejach, a przez to psy dobre, bo tam chart ściągły, gdzie zwierza dostatek... Syruć! Przynieś pić Cybeli! Nie widzisz, że zieję?!

...Nie pożałował książ swojej hojności, czego prędkim monumentem Korsakowe Pole na moskiewskich ziemiach leżące. Tam wojska nieprzyjacielskie przez samych Korsaków zostały rozbite...

– Iście zasłużony to ród ponad miarę. Wszakże i waszmości klejnot nie zda mi się gorszy?

Pan Kornic, przydomku Bies, zapłonął się z zadowolenia.

– Chudopacholek ze mnie, ojciec wielebny, chudopacholek! Co do fortuny, nie co do klejnotu. Sam kształt tegoż bowiem wskazuje wieki niezmiernie odległe. Na trzech gradusach ze skały stoi litera Tau, do krzyża podobna, Grekom właściwa. Na obu ramionach krzyża wetknięte chleby. Pole czerwone, skala szara, krzyż biały, na hełmie pięć strusich piór (gdy Korsakowie mają tylko trzy). Całość dawniej niż rzymskich – greckich czasów sięga... Syruć! Pójrzyj! Kto to jedzie?

– Jaśnie panicze i jaśnie panienska – odparł parobek przysłoniwszy oczy dłonią.

– Na przejażdżkę z psami jeździli. Podejźmy, ojciec kapelanie. Obaczym, czy co uszczuli.

Jeźdźcy zbliżali się stępa. Przodem biegły psyzymane na smyczy przez dwóch konnych pacholków. Za nimi starościc Kaźmierz, stryjeczny jego brat Konstany, syn nie żyjącego już sędziego połockiego, i panna Beata Żukówna, przyrzeczona Kaźmierza, wychowująca się w Głębokiem od śmierci rodziców. Wszyscy troje byli urodziwi hardą, pańską urodą, smagłą i bujnie wyrosłą.

– Coście upolowali? – zawołał ku nim pan Korolko.

– Jednego tylko rogacza, bo muchy strasznie tną w lesie. Pewnie będzie burza.

– Ani chybi. Słońce dopieka... Gdzież ów rogacz? – bo nie baczę.

– Cisnęlim go Antonowi na wóz. Grzeczny kozioł, pięciolatek.

– Zdrowoście konie zegnali. Takie schlastane po jednym rogaczu?!

– Ścigalim się.

– Ściganie w podobny upał! – gderał komisarz. – Łatwo można bachmata ochwacić.

– Przecież teraz jedziemy stępa, choć gzy żyć nie dają...

– A który wziął? – zawołał jeszcze ciekawie pan Korolko, lecz oni już przejechali. Pachołcy z psami skręcili do psiarni. Komisarz polecił Syruciovi obejrzyć łapy Ostrego, bo utyka, i sprawdzić, czemu Wyrwa trzępie uszami. Pewnikiem kleszcza złapała. Po czym, przeciekawszy, aż kurz opadnie, ruszyli z jezuitą ku dworowi.

– Konstanty z Kaźmierzem zawdy się ścigają – zauważył pan Korolko, gdy uszli kawałek drogi.

– A tak – przytwierdził spokojnie ojciec Podolec. – Konstanty rad by Kazika przeskoczyć, ale nie poradzi... O, nie poradzi...

– Ja też mniemam, że nie poradzi... Jak parno! Zbierze się burza...

– Nie wcześniej niż wieczorem. Z sianem jeszcze umkniemy. Siano śliczne tego roku! Zielone jak ruta, pachnące jak mięta...

– Bóg łaskaw na urodzaje.

– Oj, łaskaw... Spójrzcie, ojcze, na ono żyto falujące... Niczym Serweckie jezioro... Dobra była gospodyni z boginki Ceresi. Żeby teraz żyła, zaraz byśmy ją poświęcili.

– Daj że wasze spokój podobnym gadaniom.

– Toć żartem mówię. Z uciechy, że na tę ziemię kochaną, farbistą patrzę. Nie dziw, iż Korsakowie woleli tutaj żyć, nie na zamorskiej Korsyce. Pięknie jest w polu latem, gdy Rak, Lew i Panna próżnować nie dają...

– Pięknie, mości komisarzu. Jak mówi o tym rymopis:

...Rola z dawna najlepsza, rola klejnot drogi.

Kto jej umie pilnować, nie będzie ubogi.

O, rola pożyteczna, smaczna i kochana,

Z łaski Boga milego nam na radość dana...

– Dobry to skryba pisał, ojczy wielebny. Ziemia! Zdarza się, że mieszczanie mają łany, ba – dwory, folwarki. Przecie nie są szlachtą ani ziemianami. Podobnie szlachcic, jeśli w mieście żyje, ziemianinem być przestaje. Ziemi nie można kupić. Kto ziemię kupi, niby ona jego i nie jego. Ziemię można odziedziczyć albo za zasługi dostać... Oto co. Ziemia nie jest do handlu. Miła ziemia... W niebie bym nie chciał innej nagrody, jak na folwarku siedzieć, na ruń młodą patrzeć, czeladki i robotników pilno doglądać, a ku lasom zieleniejącym pozierać i grania ogarów słuchać... Jestli też na świecie co piękniejszego, mój Boże!?

– Nie ma – zapewnił po raz wtóry jezuita.

Szli w milczeniu. Niebo ciemniało ponad ich głowami. Pan Korolko, przed chwilą rozpogodzony, zasepił się również.

– O co Konstany taki zazdrosny? Jak myślicie, ojczy wielebny?

– Cóż ja o tym mogę wiedzieć? Nie zwierzał mi się nigdy.

– Ej że, wy, jezuita, wszystko spostrzegacie... Nie sądzicie, księże kapelanie, że o Beatkę mu chodzi?...

– Będzie burza – odparł ksiądz spoglądając w górę i przyśpieszył kroku.

ROZDZIAŁ II

Konstanty Korsak, syn Grzegorza, pisarza i sędziego połockiego, zazdrościł istotnie stryjecznemu Kaźmierzowi, ale nie tylko narzeczonej, Beaty Żukówny. Zazdrościł wszystkiego. Tamten był synem właściciela Głębokiego, możliwym paniczem, gdy jego, Konstantego, ojciec utracił całą substancję, procesując się uparcie z możniejszymi odcin Radziwiłłami. Umarł w takim uciśnieniu, że obie córki musiały pójść do klasztoru, Konstanty zaś przebywał u stryja jakoby na łasce. Mierziło go, że i stryj, i Kaźmierz mogą się słusznie uważać za dobroczyńców biednego krewniaka, i na sam dźwięk słowa „dobroczyńca” wściekłość podnosiła mu włosy na głowie. Przyjechał do Głębokiego, sądząc, że zabawi kilka dni, otrzyma od stryja obiecany ekwipunek i natychmiast ruszy do chorągwi królewskiej. Lecz wyprawa moskiewska opóźniała się z winy impedimentów stawianych przez sejm, a tymczasem przyszło to, co najgorsze, to, co najcięższe: Beata!

Naręczona Kaźmierza! Szczęśliwy brat miał ją osiągnąć bez trudu, bez niczyjego sprzeciwu. Ot, rodzice jedni i drudzy uradzili przed laty i tak ma być. Nikt już tego nie odmieni. Kaźmierzowa ta dziewczka jędrna, wspaniała, pełna żaru. Kaźmierzowa jej krasa, jej zuchwałe, kuszące oczy, swawolne prześmiechy, przegięcia kibici, Kaźmierzowe, Kaźmierzowe!... Nie Kon

stantego, choć zamiłował ją namiętnie od pierwszego zobaczenia. Cóż kogo jego uczucia obchodzą? Któż się z nim liczy w ogóle? Kto się o niego troszczy? A przecież nie jest wcale gorszy niżli Kaźmierz. Krew ta sama. Stary, bezwładny kasztelan, postrach głębockiego dworu, jednakowoż dziadem jest obu.

– Ścigajmy się – rzekł dzisiaj, gdy wracali z lasu. Kaźmierz zrazu się opierał. Że koni szkoda, że piach, że gorąco. Gdy jednak Beata poparła zamiar, ustąpił. Przepadła za wszelkim współzawodnictwem, szczególnie gdy podświadomie czuła się przyczyną. Ruszyli zatem puszczając dzianety. Kaźmierz minął Konstantego po upartej walce.

Prosta rzecz. Dziedzicowi lepszego podjezdka dają – mrukniętą zgryźliwie pokonany, gdy zwolnili.

– Sam wybierałeś swojego! – zawołał Kaźmierz urażony i pojechał przodem. Miał zresztą słusność. Tak było. Zły i zdyszany Konstanty spojrzął z pasją na Beatę. Na widok jego zaczerwienionej twarzy roześmiała się wesoło.

– Jutro ty prześcigniesz – zapewniła.

Podjechał bliżej.

– Naprawdę? – zapytał. – We wszystkim?

Odsunęła się milcząc. Zatem zrozumiała. Krew mu buchnęła do lic. „Ej, dziewczyno – pomyślał – ej, przyszła bratowo...” Ogarnęła go szalona chęć porwać ją z siodła, posadzić przed sobą, zawrócić i pognać w lasy, w świat! Kaźmierz niech goni. jak chce. Nie odda jej za nic.

– Co tak patrzysz na mnie? – spytała zalotnie.

– Myślę, co byś rzekła, gdybym cię zabrał i uwiózł – odparł błyskając zębami.

– Dokąd byś mnie uwiózł?

Zamilkł, gdyż trafiła w sedno. Dokąd? Przecie nie do obozu na żołnierską kwaterę, a innego domu nie miał.

Przez chwilę trwało milczenie. Konie ocierały się szyjami o siebie.

– A gdybym miał dokąd – podjął zmienionym głosem – czy poszłabyś za mną?

Poprawiła się na siodle. Baczynym spojrzeniem zmierzyla przestrzeń dzielącą ich od Kaźmierza.

– Przecieżem zaręczona.

– Alić! Zaręczyny nie ślub. Można je zerwać, byłeś zechciała, Beato!

– Nie masz ani jednej duszy, ani chałupiny – odparła niechętnie.

Opuścił głowę, drugi raz smagnięty.

– Wiem, że nic nie mam, wiem dobrze... Pytam tak sobie. Gdybym miał... Gdybym miał.... Czy poszłabyś za mną? Wołałabyś mnie?!

Wzruszyła ramionami, odymając świeże, pełne wargi.

– Próżno o tym mówić, co nie jest.

I znów jechali w milczeniu. Jemu twarz pałała. Nie rzekła, że woli tamtego, nie rzekła! Spoglądał na nią z boku poządliwie. Ona zaś myślała opieszale, że z Kaźmierzem widują się ciągle od lat. Więcej brat niż narzeczony. Więc choć Kaźmierz przystojniejszy, wołałaby może Konstantego. Tylko że on nic nie ma. Hołysz. Beata rozumowała rzeczowo. Pragnęła nad wszystko zostać dziedziczką Głębokiego, skoro zaś Głębokie miało w przyszłości należeć do Kaźmierza, nie było nad czym się zastanawiać...

...Gdyby nie Głębokie, kto wie, kto wie?... Kaźmierz jest nudny. Gdy zacznie z ojcem Dominikiem rozma-

wiać o jakichś dusznych sprawach, ni słowa zrozumieć nie można. Jaki cel podobnych rozmów? Kaźmierz nie jest jurystą, bakałarzem ani klechę, by potrzebował zawile gadać. Czy ktokolwiek inny z rodziny ciekawi się takimi sprawami? Ten nawyk narzeczonego nieraz Beatę drażnił, szczególnie że brać udziału w uczonych dysertacjach nie mogła.

Lecz mniejsza o dysertacje. Głębokie jest jego i basta. Konstanty mógłby to wreszcie zrozumieć. Najlepiej, żeby wyjechał.

Zrównała się z narzeczonym, który zapomniawszy o poprzednim rozdrażnieniu uśmiechnął się do niej serdecznie.

– Oto – zauważył – stara Baucis wyszła na drogę, pewno czegoś od nas chce.

– Niech idzie do ekonomy.

Nieopodal, na skraju pobliskiej już wsi stała niska, nędzna chata gospodarza Filemona. Pan komisarz Korolko, przepadający za greckimi lub łacińskimi nazwami, przezwał jego żonę Baucis. Zresztą małżeństwo było stare i żyło przykładowie. Przewisko dobrze wypadło. Babina klęczała na drodze i biła przed zbliżającymi się pokłony. Wyciągała przy tym błagalnie ręce na znak, że chce coś powiedzieć.

– Niech idzie do ekonomy – powtórzyła niechętnie Beata, lecz Kaźmierz zatrzymał konia. Psy prowadzone przez pachółków w przelocie obwąchały ciekawie starą.

– Czego chcesz, babo? – zapytał starościc. Nie był szczególnie łagodny ani wyrozumiały, posiadał jednak wielką i rzadką zaletę: słuchał, co ludzie prości doń mówią. Słuchał nieraz aż do końca. Uszczęśliwiona starucha podniosła się z klęczek, przypadła do jego strze-

mienia i okrywając zakurzony but pocałunkami podjęła długą, zawilgą opowieść. Mówiła po rusku, mieszając wyrazy polskie i litewskie. Pragnęła nad wszystko być dobrze zrozumiana i wysłuchana. Konstancy z Beata znużeni pojechali przodem, koń Kaźmierza gorącował się za nimi, lecz ona wciąż przedkładała, trzymając za strzemień. Chodziło o taką rzecz:

Syn jej, Anton, chciał zostać żołnierzem w regimencie pana starosty. Komisarz nie pozwalał na to, bo drugiego chłopca u Filemonów nie było, a prócz rodziców musiał być jeszcze jeden robotnik z tej chaty. Tak na ich ćwierćłanek wypadało. Trzy pary rąk. Skąd wziąć trzeciej? Starcy przestali już marzyć o żołnierce dla Antona, choć chłopiec strasznie się rwał. Aż tu niedawno przyplątał się do nich zbieg spod Moskwy. I został. Robotny, spokojny pacholek. Rad by tu został na stałe. Mógłby zastąpić Antona. Byle pan komisarz na to się zgodził. Panu komisarzowi wszystko jedno, czy Antonowe ręce drzewo rąbią, czy tamtego, skoro to jest chłop robotny. Gdyby panoczek jasny, sokolik bystry raczył tę sprawę przedstawić, pana komisarza ujednać, Anton mógłby pójść w żołnierze...

– Możecie sami z tym iść do pana komisarza – powiedział starościc. – Pan komisarz sprawiedliwy człek.

– Duże sprawiedliwy – przyznała bez zapału i ponownie ją błagać: – Gołąbku jasny, słoneczko najśliczniejsze, hospodynie, królewiczu, aby jedno słówko powiedz!

– Dobrze. Pomówię z panem komisarzem – obiecał na koniec Kaźmierz znużony i popędził za tamtymi. Jechali teraz stępa wszyscy troje. Rozmowa się nie kleiła i

prawie z ulgą powitali pana Korolkę i kapelana stojących przy psiarni.

Przed dworem czekali pachołcy, by odebrać konie. Jeden z nich, Daniło, zakrywał twarz ręką, spluwając co chwila krwią.

– Któż ci to gębę rozbił? – zapytał go Kaźmierz.

Chłopiec skrzywił się niemiłosiernie, był zapuchły, bliski płaczu.

– Starszy pan... – wyjąkał.

Marszałek dworu, pan Kapusta, ukazał się w progu.

– Bo te niezdary zawsze pana jegomości kasztelana zgniewają – objaśnił. – Starszy pan kasztelan dobrodziej zaalterował się i miotnął szklanicą.

– Ma jeszcze siłę stary – mruknął Konstanty.

Weszli do sieni. Sień była obszerna, na przestrzał dworu idąca. Pod ścianami stały ławy dębowe, szerniałe od wieku, i kowane ciężkie skrzynie. Na ścianach broń łowiecka – sieci, oszczepy, króćce, rusznice, zdatne nie tylko dla celów myśliwskich. Między bronią sterczały rogi łosie i jelenie, kielce dzików, wisały pękami skóry wilcze i niedźwiedzie. Podlejsze i mniej cenne skóry dzicze, dobre do wycierania nóg z błota, zaścielały gęsto ceglana posadzkę. Po prawej stronie od wejścia znajdował się wielki komin z okapem. Zimą gromadził się przy nim cały dwór, a osobny pachołek dokładał nieustannie smolnych trzaskających dREW. Obecnie, latem, nikt się do komina nie kwapił. W wygasłej jego czeluści pani stara, czyli szaf arka, trzymała gąsiory z nalewką, że to przewiew tam był chłodniejszy.

Naprzeciw wejścia drugie drzwi, równie zamczone, szerokogłowymi ćwiekami nabijane, wychodziły na ogród warzywny i sad. W przeciwieństwie do panującego

w sieni półmroku, rozwarty ich prostokąt jarzył się światłem zielonożółtym, jaskrawym, bo słońce świeciło ukośnie spod nadciągających chmur. W ogrodzie tuż przed domem kwitły ciasno stłoczone na grzędach kwiaty. Między grzędami od sadu i pasieki wracała śpiesznie do domu jejmość pani matka, małżonka pana starosty rochaczewskiego, Małgorzata z Białosukniów. Była niemłoda, o włosach dobrze siwizną sprószonych, zażywna, twarzy pogodnej pod staromodnym czepcem. Wchodząc do sieni uśmiechnęła się do młodych, szczególnie serdecznym spojrzeniem obejmując głowę jedynaka.

– Nowinę mam dla was ucieszną – oznajmiła. – Komedianty przyjechały. Jutro spektakl nam wystroją...

Ożywili się wszyscy. Beata klasnęła w ręce.

– Komedianty!?! Prawdziwe komedianty?! A skąd?! – Z Połocka jadą do Wilna, do księdza biskupa. W Świącianach też mają przystanąć we dworze. Może zwykle albertusy? – zaniepokoiła się panna Żukówna.

– Powiadają, że równi są tym, co przed królem jegomością grają. Na dwóch wozach przyjechali...

– Oj, dobrze, dobrze! Ciekawość, co też przedstawią?

– Pytałam ich. Powiadają, że żywot świętego Aleksego.

– W Warszawie przed 'królem jegomością grano podobno męczeństwo świętej Cecylii...

– W Warszawie! – zaśmiał się Kaźmierz. – Takiego spektaklu, jako są w Warszawie, nie spodziewaj się, mościa panno. Odpustowe komedianty! Przecie dobrze, że przyjechały, miło jasełka obaczyć.

Pan Korolko, wchodzący do sieni wraz z ojcem Połdoldem, dosłyszał ostatnie słowa.

Jaselka? Komedianty? – zapytał. – Gdzie miłościwa jejmość pani dobrodziejka raczyła ich umieścić, bo te włóczęgi ogień gotowe zaproszyć?

– W piekarni siedzą, a wozy ekonom postawił na klepisku w stodole.

Ha, skoro miłościwa pani dobrodziejka raczyła już tak rozrządzić, nie będę dyspozycji negował. Po prawdzie, nie lubię onych ladaców. Nie wiadomo, co za ludzie. Powiadają o sobie, że komedianty, a może złodziejaszki lub biegusy? Czasy teraz niespokojne, siła hołoty się włóczy...

Słowo „biegusy” przypomniało Kaźmierzowi prośbę starej zwanej Baucis.

Mości komisarzu – rzekł – zatrzymała nas dzisiaj na drodze Filemonowa z tej chaty na skraju...

– Ścierwo baba! Pewnikiem z jakąś supliką! Nie może do mnie przyjść, tylko państwu głowę zawraca!

– Prosiła – referował zwięźle Kaźmierz – żeby Antona zwolnić z robocizny, bo chce iść do regimentu.

– W głowie się tym chamom przewracało! Kaźdemu regiment pachnie. Narobił nam biedy król Stefan... Chytra baba, orędownika sobie znalazła, wiedząc, że sam z siebie nie przystanę. Z tej chaty i troje do roboty mało. Należałoby się czworo...

– Ona ma zastępcę za syna.

– Jakiegoś biegusa pewnie?! Ani myślę. Nie potrzeba.

Kaźmierzowi zamajaczyła przed oczami postać starej bijącej głową o ziemię w pokłonach, jej błagalny, drżący głos.

– Nie wszystkoż jedno, czy Anton pracuje, czy inny, byle chłop robotny? – przytoczył jej argumenta.

Pan Bies Korolko zmierzył przyszłego dziedzica spojrzeniem pełnym wyższości.

– Wszystko jedno, mości Kaźmierzu? O, nie. Bynajmniej. Bóg świadkiem, że rad bym waści ukontentować, ale principia nie pozwalają. Nie mogę. Tu o ważną sprawę chodzi, mości Kaźmierzu, o sprawiedliwość! Na sprawiedliwości stoi świat i wszelki porządek. Biegusa przyjmować, to jakby kradzioną rzecz przechowywać.

– Nietutejszy podobno, z moskiewskiej granicy.

– Każdy tak gada, byle się wyłgać, a do prawego pana nie wracać. Jak jego mowę sprawdzić? Skąd poznamy, zali nie łże? Insi widząc, że biegusa przyjmujemy, zechcą podobnie uczynić sobie wolę, tusząc, że ich też gdzieś przyjmą... Nie, nie. Sprawiedliwość musi być utrzymana. Wedle sprawiedliwości każdy winien pozostawać tam, gdzie mu Pan Bóg przeznaczył... Anton ma z tego ćwierćlanka na pańskim robić, niech robi. Czy mu krzywda?

– Może masz waść słusność, mości komisarzu – przyznał starościc, na poły przekonany. Ostatecznie sprawa Antona nic go nie obchodziła, a miło było słyszeć, że w ojcowym państwie wszystko na sprawiedliwości stoi. Pan Korolko lubił ten temat, więc ciągnął jakby w natchnieniu:

– Słuszna miara fundamentem ma być wszelkich rządów. Dlatego by oną miarę utrzymać, posiadamy własny „Instruktarz ekonomiczny”, na życzenie jaśnie wielmożnego pana starosty niemalym kosztem w oficynie wileńskiej drukowany. Według niego oddaje się każdemu właściwą miarę: panu – pańską, chłopu –

chłopską... Oho, już grzmi. Myślałem, że uciekniemy z sianem, że do wieczora wytrzyma...

ROZDZIAŁ III

Przybycie rybałtów, zwanych od niedawna z włoska komediantami, wywoływało zawsze żywe poruszenie na wsi, w mieście czy we dworze. Zarówno bowiem w Koronie, jak na Litwie przepadano za wszelkimi widowiskami. Widowisko uświetniało najmilej każdą uroczystość. Według relacji świątobliwego kronikarza Kadłubka, po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego zasmuceni panowie koronni odprawili dla ulżenia sobie theatrum, mianowicie dialog, w którym występowały upersonifikowane: Wesołość, Smutek, Roztropność, Sprawiedliwość, zgodnie oplakując śmierć dobrego pana. Za księcia Leszka Białego ojciec święty Innocenty III w osobnym liście do polskich biskupów ganił sarmackie upodobanie do sztuczek rybałckich i odprawiane po kościołach dialogi, nie zawsze pobożne, w których nawet duchowne osoby brały udział. Mimo tych zakazów papieskich przedstawienia po kościołach odbywały się jeszcze przez długi czas. Szczególnie słynęły pasje u Dominikanów, trwające cztery dni. Przygotowywano je starannie przez parę miesięcy.

Od czasów królowej Bony teatr jeszcze bardziej się rozpowszechnił; stare nazwy igrców, rybałtów, wesołków, jasełek ustąpiły komediom i komediantom. Wraz też owe przedstawienia rozpadły się na pańskie i gminne. Jako akcesoria tym ostatnim wystarczała płachta

rozpięta na drążkach, marchew krajana w talarki, symulująca dukaty, peruki z paździerzy i miecze z patyka. Tekst sztuk granych w tych warunkach rzadko był spisany. Zmieniał się, kurczył lub rozszerzał, zależnie od

zdolności artystów. W sztukach występowały zawsze te same postaci, nieodzowne, ulubione – a więc klecha imieniem Albertus, niedouczony mędrak, pijanica, Sołtys, Diabeł, Śmierć, Pielgrzym, Żyd i najważniejsza osoba komedii: Wymyślny Wałek, ścichapek, chłopak-roztropek. niby głupawy, a mędrzy od wszystkich. On wyprowadzał w pole i Diabła, i Śmierć, on odkrywał kłamstwa Pielgrzyma, przechwałki Albertusa. Toteż krążyła gadka, że najprzedniejsi szpaczkarze-dowcipnisie nie starczą za jaje, jeśli im Wymyślnego Walka nie dostaje.

Owe persony wiodły z sobą dialog, tym ucieszniejszy, im gościęj znajdowały się w nim docinki dla miejscowych potęg, osobliwie panów i księży. Toteż ani władze świeckie, ani duchowne nie spoglądały łaskawie na albertusów.

Całkiem odmienne były pańskie przedstawienia. Tam na prawdziwej scenie odtwarzano prawdziwe sztuki, najczęściej francuskie lub włoskie: „Dafnis w drzewo bobkowe przemieniła się”, „Wybawienie Ruggiera z wyspy Alcyny”, „Idylium czyli akt o porwaniu Heleny, małżonki króla Spartanów” i inne. Na ślub króla jegomości z arcyksiężniczką Cecylią Renatą odegrano wspomnianą przez Beatę operę „Męczeństwo świętej Cecylii”, która przepychem wystawy wzbudziła podziw w całej Europie. W prawdziwych barkach wpływały na scenę Wisła i Dunaj, składając sobie życzenia z okazji królewskiego hymenu. Siedzącą na tronie Sarmację otaczały skrzydlate Kupidony, Jowisz ciskał pioruny z gromowładnej dłoni, Faeton przejeżdżał na ognistym wozie... Chór anielski spływał z nieba...

Wędrująca z Połocka trupa komediantów, którym pani starościna zezwoliła nocować w piekarni, nie mogła, rzecz prosta, popisać się równym kunsztem. Niemniej cały dwór głębocki z niecierpliwością oczekiwał przedstawienia. Odbyć się miało w wielkiej sieni, pan komisarz bowiem nie radził puszczać komediantów dalej na komnaty, a na dworze mokro było po wczorajszej burzy.

Przed wielką płachtą, pstrymi skrawkami naszywaną, zasiedli na ławach: sam pan starosta, otyły, poważny, jejmość starościna, troje młodych, ojciec Dominik – kapelan, komisarz Korolko, marszałek dworu pan Kapusta, którego nazwisko brzmiało pospolicie, lecz który pieczętował się herbem Paleologów, pani stara – z nazwiska Abramowiczowa, rękodajni Mokrzycki i Zdebko, z tyłu pokojowcy i kupa czeladzi. Służbianki chichotały zawczasu, aż pani stara spoglądała na nie groźnie. Za kotarą słychać było skrzypy i szurania. By widzom się nie przykrzyło w czasie długich przygotowań, starszy aktor o wygolonej twarzy, w długiej bakalarskiej szacie wyszedł przed płachtę recytować wiersze.

– „O czterech rzeczach wspólnych całemu światu” – oznajmił.

...Cztery rzeczy niesyte nigdy u każdego: Ucho, język i ręka, a serce do tego. Ucho zawsze chce słuchać, język nie ustawa, Ręka chce brać, a serce pragnąc nie przestawa...

– Prawie gada – mruknął ksiądz.

...Cztery rzeczy są, które nie mogą być skryte: Miłość, ból i nienawiść, pieniądze obfite.

– I to kapitalnie wywiódł – przyznał komisarz Korolko, a Konstanty Korsak obejrzał się na niego podejrzliwie.

...Cztery rzeczy wnet zbyte i niepoścignione: Panieństwo, czas i kamień, i słowo rzeczone. Czasu próżno wetować, panieństwo przywrócić, Głos wypuszczon, rzucony kamień nazad wrócić. ...Cztery są na człowieka pokusy: mniemanie, Iż mądry, możny, bogaty, iż mu wieku stanie...

– Ano, sprawiedliwie gada.

...Czterech rzeczy najbardziej pragnie białogłowa: Gładkości i dostatku, szat, dobrego słowa. To jej świat, gdy się stroi, gdy ją gładką mają, Gdy ma tyle, ile chce, gdy jej dowierzają...

Pani starościna potrząsnęła czepcem, jakby ganiąc podobnie lekki sąd o białogłowach, natomiast Kaźmierz spojrział gorąco na swą narzeczoną. „Iście – mówił oczami – lubisz takie rzeczy? Przeto będziesz ich miała do syta, do syta. I dostatków, i szat, i dobrych słów, a dowierzać ci będę jak przyjacielowi...”

Nie wiadomo, czy panna Beata pojęła intencję spojrzenia, lecz odwzajemniła się narzeczonemu uprzejmym uśmiechem. Gdy tak z ukosa nań spoglądała, wydał jej się urodziwy. Piękny chłop. Gęste kasztanowate włosy odgarnął w tył, bo było gorąco. W kącie ciemienia, tuż na linii zarostu, ukazało się niewielkie znamię brunatne o łagodnie podługowatym kształcie, podobne do nie wyluskanego migdała. „Nigdy dotąd nie zauważyłam, że ma taki znak” pomyślała panna i zapłonila się nie wiedzieć czemu. Jakby to znamię, zazwyczaj ukryte, należało do dziedziny, którą dopiero małżeństwo otworzy...

Stary aktor imieniem Wawrzyniec wyliczył jeszcze szereg rzeczy zebranych po cztery, po czym opona rozsunała się na boki. W głębi, uczepona do wiszących na ścianach rogów jelenich, chwiała się płachta z wymalowaną wieżą i paradnym wejściem kolumnowym. Był to wspaniały pałac Eufemiusza cesarza. Przed pałacem odbywała się uczta z okazji wesela cesarzewicza Aleksego z królową Famianą. Dostojne grono gości i krewniaków siedziało za stołem, trącając się cynowymi kielichami i chwalać głośno potęgę cesarza, cnoty młodego i urodę młodej. Chłopiec grający królową, istotnie bardzo młody, szczupły, o dużych, ciemnych oczach, wyglądał dziewczęco. Warkocz z jasnej kądzieli spływały miękko po długiej czerwonej szacie. Wesele zajęło pierwszy akt, przyjęty przez widzów z rzetelnym zadowoleniem. Nie zaciągając opony uprzątnięto stoły, goście i rodzice odeszli. Młodzi pozostają. To ich poślubna komnata, w której są sami we dwoje. Cesarzewicz stoi chmurny, młoda trwoży się i biada:

Nie wiem, co za strach serce me zdejmuje, Członki drżą, trwoga drogę zakazuje Zwyczajnej mowie... a głos w uściech stoi, Tak się człek strachów ciemnej nocy boi.

Słuszne jej lęki, bo cesarzewicz zakrywa twarz połą płaszcza, zdejmuje z ręki pierścień, wręcza żonie i powiada twardym głosem:

Ostawiam cię przy twym dziewstwie, Zwróć mi ten pierścień w niebieskim królestwie, Odchodzę ninie od ciebie Służyć Temu, co jest w niebie...

– Ale dlaczego? Dlaczego? Co mu się stało? – pytała z niezadowolaniem Beata.

– Csss... – uciszyła ją starościna. Królowa płacząc usiłuje przełamać postanowienie mężowe. Prózne

zabiegi. Aleksey już się nie cofnie. Opuszczona Famiana szlocha:

Najmilejszy mężu mój. Niczego się po mnie nie bój. Każdy członek mego ciała Będę w cnocie hodowała, Dopóki mnie nie zawieszysz; Pokąd ty żyw, i ja też...

– I odszedł, naprawdę odszedł? Czy chciał ją wypróbować?!

– Po prostu wcale jej nie miłował! – roześmiał się szyderczo Konstanty.

– Toż przed chwilą powiadał jej, że ją miłuje bardziej niżli życie...

– Piękne miłowanie!

Umilkli, z rosnącą ciekawością śledząc dalsze przygody cesarzewicza Aleksego. Jak wędruje po obcych łądach i wśród obcych ludów. Przyjmuje jałmużnę od sług wysłanych przez Eufemiusza, by zaginionego szukali. Nareszcie obdarty, zmieniony, z brodą po pas wraca przed pałac cesarski – ubogi żebrak. Staje przed ojcem i przed matką zapłakaną, i przed żoną-dziewką-wdową, powiadając:

*...Z miłości Syna Bożego I przez pamięć Aleksego
Racście mi jałmużnę dać, Bych mógł te drobiny brać,
Których psy już nie chcą jadać...*

– Też amator!

– Żebyż przynajmniej wiadomo było, dlaczego.

...Żyje Aleksey przy ojcowym malowanym dworcu, pod schodami. Służba wylewa na niego pomyje. Zły szafarz kopie leżącego. Nędzarcz pracuje ciężko. Rąbie drwa i nosi wodę. I modli się wciąż za wszystkich...

Komedianci zaciągnęli oponę na znak dłuższej przerwy. Wawrzyniec znów wyszedł i dawał obecnym zagadki: Jaka to panna siedzi w komorze, a warkocz ma na

dworze? Albo: Jak jest daleko od nieba do ziemi? Albo: Gdzie jaskółki zimują? – po czym uderzył pałą w miedzianą patelnię i obwieścił, że od poprzedniego aktu minęło szesnaście lat.

Rozsunęła się zasłona, ukazując ten sam dworzec. I Eufemiusza z małżonką, siwych i zgarbionych. I żonę-dziewkę dobrze postarzałą. I żebraka pod schodami. Już wysechł jako cień. Pisze coś pilnie na skrawku papieru. Słudzy mu wciąż urągają. Żebrak powiada, że przyszła już jego godzina. Bierze zapisany papier w rękę, układa się pod schodami i umiera. Nikt o nim nie wie, nikt się o ten zgon nie troszczy.

Alić z daleka dzwony poczynają bić. Biją głośno w całym mieście. Ludzie biegają gorączkowo. Krzyczą, że pożar, inni, że nieprzyjaciel podchodzi. Jeszcze inni wołają, że nad Eufemiuszowym pałacem widać wielką światłość, musiał się tutaj cud zdarzyć.

Zaprzecza stary cesarz, jakoby w jego domu zaszło coś wyjątkowego: „Odejdźcie, ludzie, w spokoju od tego smutnego progu”. Ale światłość ciągle rośnie. Słychać jakieś granie. Szukający źródła światła ludzie znajdują pod schodami trupa skulonego żebraka. W zastygłej dłoni zmarłego bieleje skrawek papieru...

Podchodzi cesarz, by ów papier wyjąć – nie może.

Podchodzi cesarzowa – nie może.

Podchodzi biskup – nie może.

Kolejno nachylają się wszyscy, usiłują papier wydość – nie mogą.

Podchodzi żona, prześliczna niegdyś Famiana. Ledwo ściągnęła dłoń ku zmarłemu, otwarła się ręka trupia. Oto list, a w liście słowa: „Jam jest Aleksy, mąż twój”...

– Też przedstawienie! – sarknęła Beata. – Taką komedię wymyślili!

Ojciec Dominik wychylił się ku niej.

– To nie wymysł żaden, jejmościanko – zapewnił. – To prawda, ów Aleksy wielkim świętym jest, w Kościele czczonym.

– I rzeczywiście takiego figla rodzinie wypłatał, żebraka szesnaście lat symulując?

– Nie dla figla to uczynił, jeno z miłości Bożej, dla wyniszczenia samego siebie...

– Cóż ta nieboga jego żona była winna – oburza się dziewczyna – że jej życie zepsował? Albo rodzice? Chciał Bogu służyć, mógł iść do klasztoru.

– To wybrał, co mu się zdało najcięższe...

– Z odmiennego chyba ciasta niż wszyscy ludzie zrodzeni byli oni święci – stwierdził Konstanty – boć nikt nie uwierzy, by człowiek dziś podobnie postąpił!

– Ejże, postąpiłby, gdyby go łaska Pańska oświeciła...

– To dziwactwo prawe.

Pan starosta rochaczewski ziewnął i zabrał głos. Czytał to rzadko, z natury małomównym będąc.

– Mnie się też widzą te dzieje cudaczne. Można Pana Boga chwalić nie popolitując się...

Komisarz Korolko odsapnął zadowolony.

– Święte słowa jegomości dobrodzieja miłościwego pana mojego! Kubek w kubek to samo myślałem. Na co się popolitować!? Sprawiedliwy porządek przez samego Stwórcę uczyniony przeinaczać? Cesarski syn żeby pod schodami leżał i hołota na niego żeby pomyjami pluskała?! To już nie zbudowanie wiernych, to zgorzenie!

– Kościół inaczej patrzy na te rzeczy – uśmiechnął się ksiądz Podolec.

– Patrzy, patrzy, ale nie czyni. Ksiądz biskup jest wielka persona i świętobliwa, ale nigdy nie widziałem, żeby się, za przeproszeniem, jak świnia uwalił pod progiem czy tam pod schodami... Ksiądz kapelan, uczciwszy uszy, też...

– Bo nam do świętości daleko... – westchnął jezuita.

– To i dobrze. Uchowaj Boże podobnej świętości! A toż by się pospółstwu całkiem we łbach przewróciło... Czy nie, mości Kaźmierzu?

Milczący dotychczas staroście potrzęsął głową.

– Myślę nad tą sprawą, myślę i sedna dotrzeć nie mogę. Czasem mi się zda, że pojmuje, czego ów Aleksy chciał... Ale jejmościanka Beata słusznie powiada, że żonie niebodze życie zepsował, i Konstanty też ma rację mówiąc, że nie znajdziesz dzisiaj człowieka, co by podobnie postąpił... Więc nie wiem...

– A ja wiem dobrze – obruszył się pan Korolko i umilkł, bo aktor Wawrzyniec wyszedł przed zasłonę.

– Dla rozweselenia jaśnie wielmożnych ichmościów dobrodziejów naszych – rzekł – mamy zaszczyt przedstawić krotocwilę ucieszną pod tytułem: „Z chłopą król”.

– Chwała Bogu! Nareszcie będzie coś do śmiechu!

– Słyszałem o tej krotoczwili, pono przednia jest.

– Obaczym. Tytuł nieforemny, bo jakoż król może być z chłopą? Ale po tytule trudno sądzić. Nie wierz gębie, póki nie położysz na zębie... A czego to chcesz, Daniło?

Pachołek od wczoraj zapuchnięty podsunął się bliżej,

– Jaśnie wielmożny starszy pan kasztelan zasłabli...

– Oj – stęknął starosta z żalem – to z przedstawienia trzeba zrezygnować?

– Nie przerywajcie na razie, jegomościu dobrodzieju. Obaczę, co jest, i dam znać – zapewnił ojciec Dominik odchodząc żywo za chłopcem w głąb komnat.

ROZDZIAŁ IV

W przeciwieństwie do pana starosty, cichego, spokojnego człowieka, ojcem jego, Janem, kasztelanem połockim, ninnie dogorywającym, targaly przez całe życie wygórowane ambicje. Niecałkowite ich zaspokojenie popsuło mu charakter, uczyniło go porywczym, popędliwym i okrutnym. Żelazną ręką trzymał obu synów, karcąc srogo za byle przewinienie, nawet gdy już byli dorosłymi ludźmi, i dlatego to może starosta Grzegorz był taki zahukany i nieśmiały, a Gabriel, sędzia połocki, tak nieudolny. Pan kasztelan osiągnął wiele zaszczytów, zbyt mało jednak w jego przekonaniu. Pragnął zostać wojewodą smoleńskim. Liczył na tę godność, spodziewał się jej – i gdy przed dziesięciu laty nieboszczyk król Zygmunt oddał ten urząd innemu, pana kasztelana krew załała. Upadł na sali sejmowej niby piorunem rażony. Podjęto go zsiniałego, sądząc, że pomarł, rychłe jednak puszczenie krwi wróciło ambicjuszowi przytomność i życie. Nie wróciło zdrowia. Z ognistego męża stał się bezwładnym kaleką. Nogi odjęło mu całkiem, a po części i mowę. Tylko najbliżsi, stale z nim przebywający, umieli wyłowić poszczególne słowa z niezrozumiałego bełkotu płynącego z warg paralityka.

Nieszczęście nie poprawiło charakteru pana kasztelana. Raczej przeciwnie. Przykuty do łoża, którego już nigdy opuścić nie miał, stał się jeszcze bardziej popędliwy i gwałtowny. Nie cierpiał otoczenia, nie cierpiał wszystkich ludzi zdrowych za to, że są zdrowi, że mówią i chodzą. Zadręczał obsługujących go pokojowców i pachółków, bił ich pięściami lub okładał laską stojącą zawsze przy łożu. Gdy zdarzało się, że ofiara, uniknąwszy jego rąk, nie chciała podejść ponownie, krew zalewała znowu kasztelana. Siniął, opadał na poduszki bezprzytomny i po dworze niósł się alarm, że starszy pan kona. Lecz zazwyczaj szybkie puszczenie krwi przywracało mu siły, a z nimi zwykły choleryczny temperament.

Pan starosta, jako dobry syn, codziennie po rannych pacierzach odwiedzał chorego rodzica, przezornie jednak nie podchodził zbyt blisko, stając poza zasięgiem laski. W dni szczególnie uroczyste, w święta lub rocznice rodzinne do komnaty schodziła się cała familia, by złożyć dziadowi życzenia długiego życia i wszelakiej pomyślności. Jaka pomyślność mogła spotkać bezwładnego starca – nie wiedział nikt, ale tak nakazywał obyczaj. Stary spoglądał wtedy na nich z nieukrywaną nienawiścią w przekrwionych, lecz zawsze jeszcze bystrych oczach, bełkotał namiętnie i niezrozumiale, laską wskazywał to na jednego, to na drugiego członka rodziny, jakby zapytując, kto zacz ten, a po co przyszedł ów. Odpowiadano mu na chybił trafił, rzadko odgadując intencję starego, czym rozzłoszczony kasztelan ukazywał im drzwi. Niech sobie idą, niech sobie idą, niech nareszcie sobie idą! Wychodzili śpiesznie, z poczuciem ulgi i spełnionego rodzowego obowiązku.

Gdy zatem Daniło doniósł o nagłym zasłabnięciu kasztelana, rodzina nie przejęła się zbytnio, sądząc, że skończy się na puszczaniu krwi przez cyrulika. Wszak nieraz już tak bywało. Komedianci przedstawiali zapowiedzianą krotoczwilę: „Z chłopą król”, napisaną przez imię pana Barykę. Po niezrozumiałej i nudnej sztuce o cesarzewiczu Aleksym widowia głośnym śmiechem i okrzykami zadowolenia przyjmowała ucieszne przygody parobka, którego we śnie usadzono na tronie i przyodziano w koronę. Aliści w chwili największej wesołości ojciec Dominik wrócił zatroskany.

– Widzi mi się, że jest źle – rzekł do starosty. – Król jegomość pono bawi w Wilnie. Może by posłać rozstawnych po medyka Knefeliusa?

– Zdąży to? – zagadnął starosta, powstając ze szczerym żalem. Jaka szkoda! Takie udatne przedstawienie!

– Albo zdąży, albo nie.

Za przykładem starosty wszyscy powstali. Spektakl przerwano. Dwór głębocki nie dowiedział się nigdy, jakie były dalsze koleje ukoronowanego śpiocha. Gońców do Wilna posłano natychmiast.

Miłośniwy pan zgodził się chętnie użyzyć swego medyka. Pamiętał, że ojcowa niezręczność spowodowała chorobę kasztelana, co inni senatorowie mieli królowi nieboszczykowi za złe. Uczony lekarz przybył po kilku dniach, utrudzony gwałtowną podróżą w kolasce bujającej się na pasach jak okręt na morzu, lecz przytomny i pełen wiedzy. Zastał jeszcze chorego przy życiu, lecz nie rokował nadziei.

Ów Knefelius był istotnie nad miarę uczony. Królowi Władysławowi przysłał go pan Krzysztof Arciszewski,

przywódca armady wodnej holenderskiej, powiadając, że znakomitszego odeń lekarza nie spotkał w starym ani nowym świecie. Zdaniem Knefeliusa człowiek stanowił mikrokosmos odbijający w sobie ściśle makrokosmos. Cokolwiek Bóg stworzył przed człowiekiem, wszystko w nim zawarł, jako w tworze ostatnim i najdoskonalszym. Znajdziesz w człowieku ślady ryby, żaby i wszelakiego zwierzęcia. Niby w compendium mieszczą się w organach ludzkich niebo, powietrze, woda i ziemia. One powodują przeróżne choroby. Tak więc ból głowy pochodzi z nieba, kaszel z powietrza, obrzmiałość stawów z wody, a cierpienia wątroby z ziemi. Co do kasztelana, medyk zbadawszy chorego nie wróżył mu życia. Bożek Archeus, gospodarz żołądkiem, sprawiający goryczki, złe humory, niestrawność, zarzucił naczynia włoskowe pacjenta rodzajem kamienia winnego, nie przepuszczającego lekarstw. Poza tym merkuriusz, sole i siarka, znajdujące się w organizmie chorego, są w najgorszym stosunku zarówno do siebie, jak do działających aktualnie planet.

Wobec takiej koniunktury wiedza jest bezsilna.

Trudno. Pan starosta pogodził się z losem, uważając słusznie, że uczynił wszystko, co leżało w jego mocy, aby ratować rodzica. Uczony Knefelius odjechał. Miejsce jego przy łożu chorego zajął kapelan, ojciec Dominik. Łagodnie, wytrwale usiłował zwrócić rozpierzchłe, nieżyczliwe myśli starca ku rzeczom wiecznym i skrusze. „Przed sądem staniesz, mości kasztelanie, przed sądem!” – powtarzał, ale bezskutecznie. Nie wiedział nawet, czy jego słowa docierają do świadomości umierającego. Uparty, gniewny bełkot słabł wprawdzie i cichł, nie wiedzieć jednak, czy pod wpływem słów księdza, czy

paraliżowany nadchodzącym zgonem. Tylko w oczach chorego, wciąż jeszcze żywych, błyskało coś niby strach, nieznany dotąd, nie odczuty nigdy strach.

Chwycić to nędzne ludzkie uczucie, przekuć je na żal za grzechy i pragnienie Boga – usiłował kapelan gorąco. Kładąc oleje święte na bezwładne ciało, modlił się żarliwie, by Pan swoim miłosierdziem nadrobił to, czego nie dostawało cnocie. Modlił się gorąco przez cały czas ciężkiego konania, modlił się aż do momentu, w którym cały dwór ze źle tajoną ulgą przyjął do wiadomości, iż jaśnie wielmożny pan Jan Korsak, kasztelan dobrodziej, raczył swój żywot zakończyć.

Od tej chwili nie było już kiedy się modlić. Wszystek czas i starania zajęły przygotowania do pogrzebu. Pochówek miał być świetny, odpowiedni do wspaniałości znakomitej rodu. Pan starosta z komisarzem panem Korolką i marszałkiem panem Kapustą trawili długie godziny na układaniu listy gości, kolejności przyjęć, ilości dań na uczcie pogrzebowej, czyli stypie. Ile koni wieźć będzie nieboszczyka, jak ustroić kaplicę żałobną, ile łokci czarnej kitajki sprowadzić z Połocka dla obicia ścian? Czy wosku cztery kamienie na świece wystarczy?

– Bóg łaskaw, że wypadło przed żniwami! – wzdychał pan Korolko. – Gdyby tak w zwózkę, nie doliczylibyśmy połowy kóp! Jeszcze z tym Szwabem przeklętym na karku!

Szwabem był kapitan Gossler, Kurlandczyk, mający ćwiczyć ofiarowanych przez pana starostę do wojska pachołków. Skoro bowiem w kwietniu król jegomość ogłosił pilne zaciągi na odsiecz Smoleńska, pan starosta uniósł się wspaniałością i zadeklarował stu pieszych, stu jezdnych z całym ekwipunkiem. Że zarówno Kaźmierz,

jak Konstanty nie posiadali wojskowej eksperyencji, dowodzić chorągwią i pieszym oddziałem miał koligat Korsaków, pan rotmistrz Puciata, mąż doświadczony, służyły na wojnach. Z jego to polecenia przyjechał przed paru dniami do Głębokiego kapitan Gossler, by ludzi musztrować.

– Jegomość pan rotmistrz głowę stracił – ciągnął – ludzi od pracy zabierać!

– Słowo się rzekło – zauważył smętnie starosta.

– Jaż nie powiadam, by ich zgoła nie oddawać. Niech będą ofiary dla splendoru domu i korzyści ojczyzny miłej. Ale po co teraz? Wystarczy, gdy ich zbierze na tydzień przed odjazdem. Nie wiadomo, kiedy król jegomość ruszy, boć od kwietnia z tą sprawą ślimaczą. A może jeszcze Szein Smoleńska odstąpi i wojny nie będzie wcale? Ludzie się tylko rozpróżniaczą, zbałamucą, zgnuśnieją. Póki, nie dam mu ani jednego pachółka...

– Czyń waszmość, jak uważasz – zgadzał się ustępliwie starosta, po czym wracali do obliczeń żałobnych świętności.

Ojciec Dominik zajęty był również. Do niego należało przygotować i wygłosić długą, ozdobną orację. Układanie jej szło mu niesporo, niespodziewanie bowiem zjechał doń w odwiedzinach druh najmilszy, kolega z konwiktów, ojciec Andrzej Bobola Societatis Jesu. Świeżo złożył w ręce ojca Marcina Rydzewskiego urząd superiora domu zakonnego w Bobrujsku, sam przeniesiony będąc do Płocka.

– Z racji tej zmiany otrzymałem dwie niedziele na wypoczynek albo rodzinne sprawy – opowiadał żywo przyjacielowi. – Już się skorzystałem z tego, by ciebie

obaczyć. Nie spodziewałem się jeno, że taki rozgwar zastane...

– Ano cóż, wola Boża. Zresztą rozgwar szybko minie i ostaniem w ciszy, jak zwyczajnie – uspokajał ojciec Dominik. Był serdecznie rad przyjacielowi. W obecności ojca Andrzeja czuł się silniejszy, lepszy, pokrzepiony. Nie on jeden odczuwał podobnie. Z muskularnej postaci Boboli tchnęło tyle kojącej siły, jego żywe oczy w czerstwej twarzy spoglądały tak przychylnie, że każdy pragnął pozostać przy nim najdłużej.

– Nad czym pracujesz? – zapytał gość ukazując zapisane i poprzekreślane karty.

– Oracja – objaśnił kapelan z niechęcią. – Nie idzie mi czegoś. Posłuchaj początku, może coś poradzisz?

Consummatum est

...Małe słówko: mors – wieleż groźnych metamorfoz na universum sprowadza! Nie uważa na dostojność, na wiek ni zasługę... W obliczu onej Parki groźnej cóż jest człowiek mizerny, choćby fortuną najwspanialej wywyższony? Kwiatek, co z rana kwitnie, wieczór więdnie; una dies aperit, conficit una dies... Dotknęły nożyce Parkowe żywota ozdoby tego domu, jaśnie wielmożnego pana kasztelana. Candor wiecznej światłości na nim się położył, zamieniając odor mundatitatis na odor święty divinae suavitatis...

Ojciec Bobola poruszył się niespokojnie.

– Zda mi się, zda mi się – zauważył łagodnie – że ojciec Skarga prościej by to, bardziej po polsku wypowiedział...

Kapelan odłożył papier.

– Skarga! – zawołał. – Pewnikiem, że Skarga inaczej! Ale dziś Skargę za prostaka uważają. Że mowa jego nie

dosyć ozdobna, że kunsztu w niej brak, że całkiem zwykły, potoczny język przypomina... Słuchaj dalej:

...Obciążonym fortuną, honorem i światem, ciężko bardzo pod tymi gravaminami ruszyć się do aprehensji pięknego Nieba. Nie tym wszakże, co jak nieobżałowany jaśnie wielmożny pan kasztelan blaskiem cnót

wzniesi się do tyła, iż śmiało w niebieskiej placencji
złożyć mogą komplacencję...

Ojciec Andrzej Bobola westchnął.

– Otwarcie wyznam, iż nie lubię tego stylu.

– Pamiętam... – rzekł ojciec Dominik zmartwiony. –
Jeszcze w Wilnie powstawałeś na Sarbiewskiego za to,
że po łacinie pisze, zamiast zwyczajnie po polsku.

– To mi zostało.

– Gdybym powiedział orację według twojego
mniemania, ogłoszono by mnie za nieuka; widzisz,
muszę...

...W niebieskiej placencji złożyć mogą komplacencję,
zzuwając cielesną szatę Dejaniry, co niby zdradziecka
Nessusowa tunika nie da się zdjąć inaczej niż z życiem...

– Ów nieboszczyk, tyle wychwalany, byłże przy-
najmniej dobrym człowiekiem?

Ojciec Dominik skrzywił się nieznacznie.

– Gdzie tam! Tyrannus, dręczyciel...

– Żałują go bardzo?

– Nie ma chyba takiego. Po prawdzie cały dwór
odetchnął. A czemu pytasz?

– Tak sobie. Z ciekawości. Ojciec Dominik
poczerwieniał.

– Rozumiem, o co ci chodzi... Cóż poradzę? Wiesz,
że jest obyczaj wychwalać zmarłego... Mówmy o czym
innym. Długo pozostaniesz w Płocku?

– Przełożeni o tym będą decydować, nie ja. Gdybym
śmiał na ich postanowienie wpływać, błagałbym, by mi
pozwolono sprawić pracę misyjną wśród plebsu na
Litwie albo w Pińszczyźnie...

– Praca misyjna wśród plebsu!? Po lasach wędrować,
w kurnych chatach dym łykać, dzikusów ledwo

chrzczonych pacierza uczyć?! Latami wykształconego człowieka nie widzieć?!

– Tak właśnie. Nie dziw się, ale tego najgoręcej pragnę.

– To dobre dla prostaków, którzy się żadnego stopnia w zakonie dochrapać nie mogą! Z twoim rozumem, z twoją wiedzą! Wymową!

– Czy nie sądzisz, Dominiku, że przeceniamy znaczenie wiedzy?

– Znowu ta śpiewka! Nie zmieniłeś się, Andrzeju! Słyszałem to samo przed twoim ostatnim egzaminem ad gradum...

Ojciec Andrzej uśmiechnął się swawolnie. – Przepadłem sromotnie przy owym egzaminie, więc cóż miałem innego powiedzieć?

– Przestań – rzekł surowo ksiądz Podolec. – Ojciec egzaminator zapewniał, żeś rozmyślnie zlekceważył odpowiedzi, jakoby zdać nie chcąc...

– Rozmyślnie – to niesłusznie powiedziane. Być może jednak, że nie przyłożyłem do nich należytej wagi. W skupieniu przeszkadzała mi obawa, czy osiągnięcie tytułu teologa nie utwierdzi mnie w wadach, i tak nadto umocnionych. Bez stopnia skłonny jestem do pychy i gniewu, cóż by zaś było, gdybym go osiągnął? A chyba ważniejszym jest pozbycie się bodaj jednej wady niż uzyskanie najtrudniejszej umiejętności?

– Twoje wady, Andrzeju? Nie masz ich! Każdy, kto cię zna...

– Ja znam siebie lepiej niż inni. I wiem, com jest. Siedem czasów nade mną mija, siedem wichrów mną miota. Dobrze się nieraz sam z sobą utrudzę... Pokora

przychodzi mi niełatwo, od niej zaś zaczyna się wszelkie dzieło nad sobą samym...

– Czy dlatego chcesz poświęcić się misjom?

– Może. Sam mały, wolę z małymi przestawać. Jeno nie myśl, że marzę o puszczy jako o umartwieniu, pokucie... Że poszedłbym w las, jak szli pobożni anachoreci na pustynię, by uciec od świata. Bynajmniej. Ja miłuję tych biedaków, co sami o swoim człowieczeństwie nie wiedzą. Wielu z nich nie zna imienia Chrystusa, chrzczeni byli w dzieciństwie... Miłuję ich, rozumiesz? Nie z litości, nie z obowiązku, ale tak, po prostu... Ubodzy są, ciemni, krzywdzeni. Dominiku! Krzywda ludu – plebsu, jak się zwykło mówić – to największy ciężar świata, za który kiedyś srogo odpokutować przyjdzie! Teraz do zwykłej ich nędzy przyłącza się nowe niebezpieczeństwo, o którym tu nic wiedzieć nie chcecie...

– No tak – przerwał ojciec Podolec. – Moskwicin pod Smoleńskiem...

– Nie o tym myślę. Z nieprzyjacielem upora się nasze rycerstwo. Mówię o Unii... Unia! Zaprzepaszczona... Tak! Prawie już zaprzepaszczona z winy magnatów, panów szlachty i dumnych ruskich popów, bojących się, by ich Rzym do nauki nie zagonił... Nie podpisał król nieboszczyk aktu likwidacji Unii, przedłożonego przez Zebrzydowskiego, nie działali wiele Zizani i Smotrzycki – sięgnięto do najsilniejszej broni: do kozactwa!

– Wiem, oczywiście, wiem... Grekowicza, namiestnika metropolity, utopiono w Dnieprze, arcybiskupa Kuncewicza umęczono... Sądziłem jednak, że od tych czasów przycichło...

– Przycichło?! Od śmierci arcybiskupa jedno martyrologium sprawia się na Wołyniu, na całej Rusi... Rozbójnicze watahy głoszą się obrońcami prawosławia, mordują katolików i unitów, trują nienawiścią, tumaniają lud dobry, łagodny, ciemny. Trzeba ich złości co żywiej się zastawiać, wielkie dzieło od zagłady chronić.

– Przy takiej ochronie można łatwo oberwać po karku – zauważył trzeźwo ksiądz Podolec.

Ojciec Andrzej zatrzymał się w pół kroku, od dłuższej bowiem chwili uniesiony własnymi słowami chodził gorączkowo po izbie. Twarz mu pałała i łatwo było teraz wierzyć, że cichość, pokora przychodziły z trudem jego naturze władczej i wspaniałej.

– Pewno, że można oberwać – przytwardził – i jak jeszcze! Cóż stąd? Nie po co innego człowiek się rodzi, jak po to, by umarł, a jeśli Bóg da, że ten zgon przyjdzie w dobrej sprawie, za fortunnego uważać się winien. Wielki to fawor... Bo przychodzi czasem moment, nie wiedzieć czemu i skąd, że strach ogarnia człowieka i ciągnie... Porywa za włosy... Innego nazwania nie umiem znaleźć, bo czupryna jeży mi się na samą myśl o tym... – przesunął ręką po głowie.

– Na myśl o czym? – zapytał kapelan mrugając oczami.

– O tym, co Bóg czyni dla nas, a co my dla Niego... Ta przepaść! Niby Go miłujemy... Śmieszna nędza: miłujemy... O wiele, wiele za mało! A czas ucieka. Uchodzi jak jeleń... Więc taka żałość każdej chwili zmarnowanej... Zmarnowanej w sensie dobijania się furty niebieskiej... Bo póki żyjem, mogę płynąć i wzlatać, kołatać i mocować się, i miłosierdzie zjednywać. Tymczasem nic z tego – albo opieszale czy nim...

Dlatego jeśli Bóg da okazję w krótkiej, choćby ciężkiej chwili odrobić zaległości, trza Mu z wszystkich sił dziękować...

– O męczeństwie myślisz?

– Niegodnym, ale o nim marzę...

Urwał, bo do pokoju wszedł rażno Kaźmierz.

– Darujcie, ojcowie wielebni, że konwersację przerywam.

– Nie szkodzi. A co chcesz, Kazik, to jest, chciałem powiedzieć, mości Kaźmierzu?

– Powiadajcie, ojczy, Kazik, po dawnemu. Mnie to najmilej. Jegomość pan ojciec dobrodziej pyta, zali nie pomnicie, wiele było kóp świec na pogrzebie pana sędziego oszmiańskiego Kiszki.

– Skądże mógłbym wiedzieć? Przecie nie liczyłem. Wiem, że była mnogość świateł... Na co jaśnie wielmożnemu panu staroście potrzebna ta cyfra?

– Boją się z panem komisarzem, by u nas nie było świec mniej.

– O, nie uchodzi, żeby było mniej... Cóż, kiedy nie wiem... Marszałek też nie pamięta?

– Nie_ Ja myślę, że dając dziesięć kóp nie ostaniem w tyle...

– Bogać mi, że nie. Rzęsiście będzie jak w dzień.

– A to co? Oracja? Już gotowa? Można ją obaczyć?

– Proszę bardzo, chociaż to ledwo początek... Staroście wziął zapisane strony do ręki i czytał uważnie, kiwając głową z uznaniem.

– Cóż to za tunika była, bo nie pomnę? – zauważył.

– Rychło nauki wyleciały z głowy waszmości! A toć znana fabuła grecka... Centaur Nessus, by się pomścić na Herkulu, dał Dejanirze zatrutą tunikę, żeby w nią męza

odziała. Za czym, gdy Herkul centaurową szatę włożył, zginął w straszliwych męczarniach. Bo taką jeszcze cnotę miała ta tunika, że jej zdjąć nie było można...

– Prawda! Jużem sobie przypomniał... Czołem!

– Czekażcie chwilkę, nie odchodź! Powiedz mi, w którym miesiącu urodzony był jaśnie wielmożny pan kasztelan, dziad... Muszę wiedzieć, jakie były w owym czasie aspekta niebieskie...

– Z konfuzją wyznam, że nie pamiętam.

– Nie pamiętasz? Kazik, serce, chłopcze złoty, zajdź do pośmiertnej komnaty i obacz daty na karteluszu, co stoi w nogach trumny, dobrze?

– Z uprzejmą chęcią, księżu kapelanie.

Wyszedł żywo. Ojciec Bobola spoglądał za nim z uwagą.

– Podoba mi się ten starościc – rzekł. – To człowiek.

– Pocziwy. Jeno czy takim ostanie? Czy go życie nie zepsuje? Jak się może w jego stanie człek sprawiedliwy uchować? A toć wszystko wolno! Nie było nigdy na świecie takiej swobody, jaką ma nasza szlachta... Kto ją w czym hamuje? Nikt! Ani król, ani prawa, ani obowiązki, ani odpowiedzialność... Chyba żeby sama sobie więzy nałożyła, a do tego któż jest skory? Złote życie, złota wolność... Cezarowie w pogańskim Rzymie podobnie się rządili, jeno tam cesar bywał jeden, "a u nas cesarów dziesiątki tysięcy... Nie dziw, że od takiej swobody dur chwyta... Święty by się w pychę wzbił, a cóż człek zwyczajny?!

Jedną z paradnych komnat dworu zamieniono na kaplicę żalobną. Ściany obite były czarną kosztowną materią, wokół katafalku płonęły świece woskowe. Trumna pozostawała otwarta, jak nakazywał zwyczaj, że

zaś od śmierci kasztelana minął prawie tydzień, a lato było upalne, zaduch rozkładających się zwłok był trudny do zniesienia. Zwyczaj nakazywał również, by przy zmarłym wciąż ktoś czuwał, zmieniali się zatem kolejno pokojowcy, po czterech. Zalecone mieli modlić się nieustannie za duszę starego pana i Kaźmierz dochodząc do drzwi słyszał monotony szmer niby litanii. Już kładł dłoń na ryglu, gdy nagle posłyszane słowo sprawiło, że stanął nieruchomo, zamieniając się cały w słuch.

– ...Bodajes w piekle na samym dnie siedział...
...Bodajes spokoju nie zaznał...

...Bodaj ci diabły palce wykręcały... ...Bodajes w smole się smażył...

– Trzaśnij go w gębę, Daniło! Nie bój się!

– Kiedy śmierdzi... Szkoda ręki...

– No to pluń! Tfu!

Groza obezwładniła Kaźmierza. Stał jak piorunem rażony. Niepojęty wstyd sprawił, że nie wpadł z krzykiem do komnaty. Zataczając się jak nieprzytomny, zawrócił pędem do izdebki księżej.

– Rany Boskie! Co się stało!?! – zawołał ojciec Dominik spojrzawszy na niego.

– Taką infamię zastałem, taką infamię... – bełkotał starościc. – Lecę zaraz do komisarza, niech ich weźmie pod różgi, niech zdechną pod różgami! Łajdaki, łotry, psubraty!

– Kazik, opamiętaj się! Gadaj, co zaszło!?

Łapiąc z trudem dech, to blednąc, to czerwieniejąc na przemiany, Kaźmierz Korsak powiedział, czego był przed chwilą mimowolnym świadkiem. Kapelan milczał przerażony. Ojciec Bobola wzdrygnął się ze zgrozą.

– Straszne – rzekł.

– Prawda?! – podchwycił starościc. – Prawda?!
Rózeg za to mało! Końmi ich włóczyć, obcęgami rwać!

– Nie o tym myślałem... Straszno taką pamięć po sobie zostawić...

– Jegomość kasztelan nieboszczyk bywał czasem przykry, ale nie chamom sądzić o tym! Oni śmieli...! Na jego lico... zmarłego i szlachcica... oni.... pluli.... Boże! Boże!

– Uspokój się waść, ochłoń na chwilę...

– Nie ochłonę, aż ich zasmagają!

– Zali sądzisz – tu głos ojca Boboli zabrzmiał dziwną surowością – że pamięć dziada tym wsławisz, a nieszczęsną jego duszę ukontentujesz?

Każmierz spojrział na mówiącego z osłupieniem.

– No chyba, jakże?... – wybąkał.

– A ja ci powiadam, że ją ostatecznie pograżysz! Módl się za niego, miast ludzi na męki posyłać! Ta dusza strwożona sklamrze teraz o miłosierdzie przed Boskim trybunałem, który oby był dla niej litościwszy niż sąd tych pacholków! Rada by skreślić wszystkie plagi, których była przyczyną, a ty jej chcesz nowego ciężaru przykładać?

– Ja tego nie zniosę! – wybuchnął starościc. – Łotry! Świętokradcy! Obwiesie!

– Czemuż nikt z rodziny nie czuwał przy zmarłym, chroniąc go tym od zniewagi?...

– Sam nie wiem... Któż mógł przewidzieć? Od czego jest służba?! Co ja mam teraz począć?! Najświętsza Męko! Oni muszą być ukarani! Tego ostawić nie można!

– Czy widzieli waści?

– Zdaje się, że nie. Taka mnie cholera zdjęła, że zawróciłem prosto tutaj, bojąc się, że nie zdzierzę i ubiję ich na miejscu, do jednego świętokradztwa nowe dodając.

– Tedy wierz mi, synu, niechaj ich i nie powiadaj nikomu.

– Nie powiadać nikomu? Taką zbrodnię puścić płazem?!

– Pójdź, pomodlimy się, by Bóg za tę zniewagę odpuścił mu jego przewiny...

W głosie mówiącego, chociaż równym i spokojnym, brzmiało tyle przekonywającej siły, że Kaźmierz pozwolił prowadzić się bez oporu. Weszli do komnaty pełnej fetoru ciała, zapachu kadzidła i świec. Pokojowcy stali z uroczystymi minami, posłyszawszy nadchodzących. Kaźmierz na ich widok zbladł, zacisnął zęby i pięści.

– Myśl o jego duszy – szepnął doń z naciskiem jezuita.

Ukłonili. Ojciec Bobola odmawiał głośno różaniec, a obecni odpowiadali chórem. Słyszac pachołków modlących się o spokój duszy zmarłego, Kaźmierz czuł na przemiany to wściekłość, to niewytłumaczoną ulgę. Nim jednak skończyli zdrowaśki, ogarnęły go mdłości. Pot obfity wystąpił na czoło..

– Nie mogę, nie mogę już dłużej tu być... – rzekł półgłosem do kapelana.

Ojciec Bobola posłyszał te słowa.

– Tamci pozostają w tym zaduchu cały dzień – stwierdził surowo. – Nie należy wymagać od innych, czego nie można wykonać samemu... Pójdźmy dokończyć różańca w izbie księdza Dominika.

ROZDZIAŁ V

W listopadzie 1632 roku, kiedy w Warszawie odprawiano elekcję królewicza Władysława, wiarołomny Szein, co przysięgał, że nigdy nie podniesie oręża przeciw Rzeczpospolitej, zagarnął zamki graniczne Dorohobuż, Suraż, Drużę, Starodub, Nowogródek siewierski, Mirhorodek i z wielką siłą obiegł Smoleńsk. W Smoleńsku broniły się pułki hetmana Gosiewskiego pod wodzą pana Sokolińskiego i porucznika Wojewódzkiego.

W wojsku Szeina połowę nieomal żołnierzy stanowili cudzoziemcy. Świetne zaciężne pułki Szkota Lesleya, von Damma, Charlesa Huberta, Jacobiego i innych, szczególnie do zdobywania fortec przysposobione. Pomimo ich naporu załoga polska wytrzymała srogie szturmy przez całą zimę. Z wiosną, na same Święta Wielkanocne, hetman polny litewski Krzysztof Radziwiłł podesłał oblężonym prochu naładowanego na szesnaście koni, knotów na dwa, kilkadziesiąt wozów żywności i posiłki w ludziach, a co najważniejsze – wiadomość, że odsiecz przyjdzie lada dzień. Radziwiłłowskie subsydia zniosły stojące na ich drodze oddziały nieprzyjacielskie i wkroczyły do twierdzy w biały dzień z rozpostartymi chorągwiami, biciem w bębny i trąbami. Wzmocniona na duchu załoga broniła się nadal zaciekle, nie dbając o miny i podkopy, o głód i kule padające dzień i noc na rumowiu murów. Czekali odsieczy. Wbrew zaś hetmańskiej obietnicy odsiecz nie nadchodziła. Nie z winy króla, nie z winy hetmana. Jeden i drugi gotów był lecieć ptakiem na pomoc oblężonym. Nim się jednak sejm zebrał i powiększenie komputu kwarcianego

uchwalił, nim ściągnięto pieniądze i poczyniono zaciągi, nim król przekazał staranie Rzeczypospolitej prymasowi i kanclerzowi Koniecpolskiemu, zeszyły wiosna i pół lata. Oblężeni nie mając prochu bronili się przeciw Moskwie berdyszami i wysyłali gońców z błaganiami o pomoc, coraz to naglej- szym.

W owym to czasie, zaraz po żniwach przyjechał do Głębokiego pan rotmistrz Puciata, mający objąć regimentarstwo nad oddziałami pana starosty i na spotkanie z ciągnącymi od Wilna siłami królewskimi je poprowadzić. Zacukał się mocno, ujrawszy, że mimo obecności Kurlandczyka Gosslera pachołcy pojęcia nie mają o służbie wojskowej.

– Ludzi otrzymałem dopiero przedwczoraj – tłumaczył się ze złością chudogęby Niemiec. – Po próżnicy traciłem cenny czas.

– Sądziłeś, sądziłeś – przedkładał starosta spoglądając z wyrzutem na pana Korolkę – że tydzień musztry dobrym pachołkom wystarczy...

– Bodaj was, mości krewniaku! Jak dawać, to dawać ze szczerego serca... Na musztrę i dwóch miesięcy mało! Bo co innego szlachta, towarzysze... Tych moderunku uczyć nie potrzeba, we krwi mają zacność bojową, a szablą robić każdy nauczony z dziecka. Ależ to hołota, plebs.

– Obrzydłe czasy, w których bez piechoty źle walczyć i hołocie trzeba przyznać honor czynienia orężem!

– Pomnę – zauważył pan Korolko, rad odwrócić rozmowę na sprawy ogólne że za króla Stefana chciał Kanclerz Zamoyski zwerbować piechotę z szlachciców-szaraków. Lafę im dobrą obiecał. Nie poszli. Wielkimi

perswazjami zgonił ich ledwo ze dwie setki. Tak i potem werbować przestano, zwracając się do niewolnych.

– Szaraki miały słuszość, mości komisarzu. Szlachcic, choć biedny, winien na koniu wojować. Bieda, bieda z tą musztrą! Myślałem, że wszystko gotowe i wyćwiczone zastanę... Mieliliśmy jutro ruszać, a tak przyjdzie pono jeszcze parę dni pachółków przyuczać...

Przyuczano zatem. Kurlandczyk Gossler trudne miał zadanie: piechurzy nie znali pojęcia prawej i lewej strony, a muszkiet trzymali jak widły do gnoju. Natomiast posiadali niezmierny zapal i gotowość. Żołnierska służba była marzeniem każdego poddańca. Żołnierska służba oznaczała możliwość odejścia w daleki świat, uzyskania godności ludzkiej, a w razie okazania odwagi – może nawet szlachectwa. Po przysiółkach krążyły czarowne, wyolbrzymione fantazją gadki o chłopach na polu bitwy zrównanych z panami. I choć dłonie poruszały się krzywo, niezdarnie, oczy wlepione w dowódcę błyszczały ogniem rycerskim.

Chorągiew starościńska mniej przysparzała rotmistrzowi kłopotu. Młodzi szlachcice umieli istotnie od dziecka władać orężem i pojmwali w lot każdą instrukcję. Za towarzyszymi jechali pachółcy w liczbie równej, a nawet nieco większej od liczby rycerzy, gdyż niektórzy z młodych wojaków nie zadowalali się jednym sługusem. Kaźmierz, który od zajścia u trumny dziadka nie znosił Daniły, Iwana i pozostałych pokojowców, wybrał sobie Syrucia psiarczyka. Chłopiec szalał z radości, a nie wiedząc, co spowodowało jego szczęście, przypisywał je matczynej sukmanie.

Już nieodwołalnie nazajutrz miano odjeżdżać. Mżył drobny, spokojny deszcz, nieomal jesienny. Wszystko

było już zebrane prócz owoców, szarzały płaskie ścier-niska. Rataje czyniący podorywki spoglądali z zazdrością na niedawnych współtowarzyszy, zebranych dziś w składane szeregi, i klęli, klęli swoją chłopską dolę.

Nie dbając o deszcz Beata wyszła na koniec sadu dworskiego popatrzeć na zwroty jazdy. Zawiodła się, gdyż chorągwi tego dnia na polu nie było. Tylko Kurlandczyk Gossler biegał z piechurami. To nie zaciekawiało jejmościanki wcale. Zawróciła ku domowi kwaśna, zawczasu znudzona, jak gdyby wojska już wyszły. Dopieroż zacznie się nuda! O Boże! Słowa nie będzie do kogo przemówić. Przyszła świekra, pobożna pani Małgorzata, albo w apteczce przesiaduje, albo w alkierzu się modli. Pani stara? Służbianki? Zajmujące towarzystwo! Nasunęła kapturek głębiej na czoło, by uchronić twarz od deszczu, i szła wolno, zniechęcona gruntownie do życia. Gdybyż wiedzieć przynajmniej, wiele czasu będzie nieobecność chłopców trwała!

Z wielkiej sieni dworskiej przeszła do izb niewieścich, z izby do bokówki, w której składano ubranie. Coś się poruszyło w ciemni. Beata nie była lękliwa, nie cofnęła się, byстрыm spojrzeniem mierzyła wnętrze alkierzyka. Czyjeś oczy świeciły w ciemności jak kocie. Nim się zdążyła poruszyć, chwyciły ją silne objęcia. – Konstanty! – domyśliła się od razu.

– Cichaj! – szeptał. – Cichaj, to ja, to ja... chciałem się z tobą pożegnać...

– Przecież jeszcze nie odjeżdżasz – burknęła zmieszana, daremnie usiłując zsunąć z siebie jego dłonie.

– Nie chcę cię żegnać przy ludziach... Miłuję cię! Będiesz moją, choćbym... choćbym...

Przywarł ustami do jej ust, całując gwałtownie. Od jego żaru zatoczyła się w tył, bronila coraz słabiej. Mokry płaszczyk, rozwieszony przed chwilą na ścianie, pachniał deszczem i kurzem. Oparła się oń plecami, czując, że nogi pod nią mdleją. Pomiedzy jednym pocałunkiem a drugim wyczuła, więcej niż dosłyszała, słowa:

– ...choćbym miał Kaźmierza zabić!...

Drzwi gdzieś skrzyknęły. Puścił ją. Wskoczyła z bówki czerwona, roztargana, strwożona. Usiadła przed gotownią, trzęsącymi się dłońmi usiłując poprawić włosy. Jasna binda, zastępująca poniechany już przez dziewczęta staroświecki wianek, zsunęła się na tył głowy. Zdjęła ją i rozplotła warkocze. Ciemne, gęste, długie pasma okryły ją niby płaszczem. Wsparła łokcie na kolanach, twarz na dłoniach i tak skulona, skryta we włosach, siedziała. Przez włosy i szum przelewający się w uszach słyszała, jak Konstanty opuścił na palcach bokówkę, nachylił się nad nią, dotknął jej głowy ręką. a może ustami, szepnął coś i wyszedł. Nie poruszyła się. Z ulgą posłyszała, jak otworzył drzwi do sieni. Służbianka Kasia, córka zbiedniałego szlachcica, stanęła przy niej.

– Jaśnie panienka zmokła... Czy uczesać jaśnie panienkę?

– Nie trzeba. Czekam, aż mi kosy wyschną – odparła Beata i siedziała nieporuszenie nadal. Taśma włosów sphywała po twarzy jak strugi myśli. Z serca nie ustępował niepokój, z kolan omdłałość. Och, dlaczego Kaźmierz nie całował jej nigdy w ten sposób?! Przecież mógł! Miałby prawo! Niedotęga!

Oba oddziały stały gotowe do drogi. Ksiądz Podolec błogosławił wojaków trzymanym, w dłoni krzyżem, od-

mawiając w głos modlitwę, a rycerstwo powtarzało za nim chórem łacińskie słowa. Pan rotmistrz Puciata żegnał uroczyście pana starostę, nazywając go ojcem ojczyzny, fundatorem, którego hojność zaćmiła najpiękniejsze starożytności przykłady. Gdyby każdy równie ofiarnie postępował, niestraszny byłby wróg Rzeczypospolitej. Z kolei Kaźmierz i Konstanty padli do nóg ojcu-stryjowi, następnie pani matce-stryjnie, zalanej łzami, słaniającej się z żalu nad wyjazdem syna. Chwyciła Kaźmierza za ramiona, przytuliła jego głowę do piersi, błogosławiła najgorętszym szeptem. Przy staroście, z rękami opuszczonymi wzdłuż sukni, stała Beata. Konstanty skłonił się jej z daleka i odszedł szybko, bo wyzwolony z matczynych objęć Kaźmierz podchodził do narzeczonej. Wbrew zwyczajowi podniósł jej dłoń do ust i ucałował żarliwie.

– Będiesz na mnie czekać? – szepnęła.

– Będę – zapewniła.

– Czekaj, powrócę na pewno. Pocałuj mnie, dziewczko moja...

Odgarnęła mu włosy z czoła, odnalazła znamię i złożyła na nim ostrożnie usta. Wydało jej się, że w ten sposób chłodny narzeczeński pocałunek w czoło staje się jakiś tajny, osobisty i rozkoszny. Przymknęła oczy, na których z kolei Kaźmierz położył swe wargi.

– Bądź zdrowa, miła... Czekaj...

– Siadajmy! – syknął gniewnie Konstanty.

Jakoż pora była siadać. Rękodajny Mokrzycki podawał staroście kielich do wypicia strzemiennego, podczas gdy marszałek pan Kapusta otwierał stuletni blisko gąsiorek z węgrzynem. Ksiądz Podolec nie przedstawiał kreślić znaku krzyża, pan Bies Korolko, zły jak

własne przewisko (tyle rąk roboczych odchodzi!), lustrował bacznie szeregi, czy się w nie jakiś hultaj bezprawnie nie wśliznął.

– A tuś, nicponiu! – wrzasnął nagle, chwytając za kark jednego z żołnierzy. Ucapiwszy, pan Korolko wywłókł go z szeregu. Schwytanym był Anton Filemonów. Przerażonym, błagalnym wzrokiem potoczył wokoło.

– Odsuście, panie! Darujcie!

– Nie daruję, gałganie! Powiadałem przecież!... Ach, ty gadzino! – ryknął komisarz, bo parobek wyrwał mu się z rąk, nurknął między szeregi, dopadł siadającego właśnie na koń starościca i chwycił go błagalnie za stopę.

– Paniczu jasny! – skomlał. – Zabierzcie mnie z sobą!

Kaźmierz spojrzął na wzniesioną ku sobie twarz chłopca, pobladłą z rozpacz. Lecz już komisarz nadbiegał rozszereżony, wąsy mu drżały z wściekłości.

– Brać go! – krzyknął do stojących przed dworem pacholków. – Brać go i pięćdziesiąt plag!

– Czyby nie można, mości komisarzu...? – zaczął pojednawczo Kaźmierz. Nie skończył, bo pan Korolko ujął się pod boki.

– Rebelię chcesz tu szerzyć, mości starościcu? – zapytał groźnie, przyciszonym głosem. – Od tego służbę Ojczyźnie zaczynasz? Rebelię!?... Nie wiesz, co się na Ukrainie i na Rusi dzieje?! Jakie tam wiatry chodzą? Chcesz zło i do nas przeschczepić?! Brać go!

Dziesięć rąk porwało szamoczącego się desperacko Antona. Jeszcze raz usiłował się wyrwać, uciekać... Dognano go natychmiast i obalono na ziemię.

– Tak to, rybeńko? – syczał stojąc nad nim pan Korolko. – Bronisz się? Mało pięćdziesiąt plag! Sto! Sam przyjdę dopilnować! No, bierzcie!

Pan starosta przesunął dłonią z zakłopotaniem po łysinie.

– Sto? – powtórzył wahająco, gdy wywleczono pachołka. – Czy nie za wiele?

– Nie, jasnie wielmożny panie – odparł twardo komisarz. – Z dwojga złego lepiej, żeby jeden buntownik zginął pod plagami, niż żeby zły przykład się szerzył... Sprawiedliwość musi być!

– Chamstwo każdą, nawet tak wzniosłą chwilę jak obecna, musi popsować – sarknął pan rotmistrz. – Komu w drogę, temu czas! Ostawajcie z Bogiem!

– Jedźcie z Bogiem! – odkrzyknięto.

Długi wąż jeźdźców i pieszych zakotył się, ruszył ku bramie. Stojąc na stopniach ganku Beata machała ręką. Komu? Któremu z odjeżdżających? Sama nie wiedziała. Konstanty wpatrywał się w nią zachłannie. Kaźmierz popatrzał przelotnie. Zrozpaczona twarz Antonowa przesłoniła mu wszystko inne. Był poruszony zajściem głębiej, niż się do tego przyznawał. Ale cóż zrobić? Sprawiedliwość musi być!

– Ta hołota, gdy co przeszkobie, ucieka prosto do ciebie – zauważył zjadliwie Konstanty, gdy wyjechali z obejścia. – Na księdzaś raczej zdalny niżli na dziedzica...

Kaźmierz nic nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ VI

Każmierz Korsak w ogóle czuł się w tych czasach jak człowiek, którego nurtuje dotkliwa, choć nie uzewnętrzniająca się niczym choroba. Czuł się źle, a nie wiedział, co mu właściwie dolega. Wpływ nieba, wody czy ziemi – według nomenklatury uczzonego Knefeliusa, czy nieżyczliwość bożka Archeusa, gospodarza żołądka i wszystkich wnętrzności?

Dwie były sprawy, które odbierały mu sen po nocy. Jedna tak drobna i błaha, że aż wstyd o niej wspominać: Anton! Błagalna twarz chłopca, jego spojrzenie, gdy go wywlekano. „Czym zdumiał, by myśleć tyle o poddanym? – monitował starościc sam siebie. – Szkoda zresztą, zem go nie obronił. Niechby biesa zjadł! Bies Korolko! Trzeba było chłopca pod swoją jurysdykcję wziąć... Pan ojciec by nie odmówił. Korolko nadto się rządzi, korzystając z benewolencji pana jegomości... Jakby sam był właścicielem! Szkoda... Próżno jednak rozważać to, co się już stało i nie odstanie...”

To była jedna rzecz. Całkiem śmieszna i tylko niezdrowe wapory mogły ją ustawicznie mniemaniu przypominać. Druga za to poważniejsza, nieporównanie cięższa: profanacja zwłok dziada przez niegodziwych pacholków, pozostawienie tej zbrodni niebywalej bez pomsty, ba! zatrzymanie jej w ukryciu. I to on, Korsak, wnuk rodzony, tak uczynił! Chwilami Kaźmierza ogarniało nieopisane zdumienie, że mógł w ten sposób postąpić. Pijany był czy zatumaniony? Zbrodniarze, co

splugawili dostojne zwłoki głowy rodu, nie zostali ukarani, żyją nadal spokojnie we dworze, usługują panu ojcu i pani matce dobrodziejce. Nikt się nie domyśla ich niewdzięcznej niegodziwości, nikt o niej nie wie... Górze! Górze!

Wszystkiemu winien ów jezuita – jakże mu tam? – Bobola, bawiący podczas u księdza Podolca. Bo kapelan nic nie mówił. W duszy pewno uznawał, że świętokradcy powinni być spaleni albo powieszani. Tylko tamten... „Czemum go usłuchał? – burzył się starościc. – Zaczarował mnie czy co? Bo ani nie siłował, ani argumentował, a poszedłem za nim jak żak, jak baranek... Tfu! Istne czary... Co teraz począć?... Może pismo do jego mości pana ojca posłać, wszystko w nim wyznając? Spóźniona to sprawiedliwość, wzdyc lepsza taka niż bezkarność łotrów...”

– Napiszę... – postanawiał mocno, a wtedy, niby rzeczywistymi czarami przywołana, stawała przed nim postać ojca Andrzeja Boboli. Jawiła się tak żywo, że Kaźmierz, nawet gdyby chciał, nie potrafiłby przedstawić sobie równie wyraźnie ojca, matki, narzeczonej... Nie przywoływany, zaledwie znany zakonnik zatrzymywał się przy wezglowiu, dotykał dłoni fałdami sukni, patrzył chwilę przenikliwie i zniewalająco, mówił:

– Zali myślisz, że duszę dziada tym ukontentujesz? Ja ci powiadam, że ją ostatecznie pograżysz...

– Dam za duszę dziada na sto mszy – szarpał się Kaźmierz – ale tamci muszą wisieć. Jutro tak uczynię...

Z tym postanowieniem zasypiał. W dzień jednak przy pośpiesznym marszu brakło czasu i spokoju. koniecznych dla napisania tak ważnego listu, i sprawa ulegała odwłocę, by w nocy znów buchnąć bezsensną udręką.

Marsz był pośpieszny, gdyż należało nadrobić czas stracony na dodatkowe szkolenie piechoty. Pan Puciata pragnął za wszelką cenę dogonić przed Orszą wojska królewskie ciągnące z Wilna na Borysów. Do Orszy bowiem trakt był względnie wygodny, a droga bezpieczna. Tuż za Dnieprem zaczynały się lasy i bagna, w których łatwo było zbłądzić; mówiono również, że czambuły Tatarów kazańskich i astrachańskich z obozu Szeina zapuszczają zagony aż w te okolice. Podobne spotkanie nie było pożądane dla niewielkiego oddziału z samych nowicjuszków złożonego, toteż rotmistrz z niemałym zadowoleniem posłyszał od zbierających jagody żurawinowe chłopów, że czaty królewskie są tuż.

Jakoż następnego dnia ogarnął ich podjazd pana Sulmirskiego z chorągwi królewicza Jana Kazimierza i do obozu wprowadził.

Hetman litewski Krzysztof Radziwiłł, do którego komputu z prawa należeli, znajdował się podczas już pod Smoleńskiem, dokąd ruszył przed królem, by most budować na Dnieprze i zebrać pewne dane o siłach Szeina. Pan Puciata zamierzał przyłączyć się do niego natychmiast po przybyciu do Smoleńska, lecz Korsakowie zaoponowali. Obaj żywili nieprzejednaną niechęć do hetmana litewskiego za to, że procesując się z nim pan sędzia połocki, ojciec Konstantego, majątek stracił i życie w zgryzocie zakończył. Nie mieli również ochoty spotykać się z panem Aleksandrem Gosiewskim, wojewodą smoleńskim, mimowolnym sprawcą porażenia dziada-kasztelana. Tedy, choć jak każdy człek z Litwy nie lubili koroniarzy, woleli się przy wojskach koronnych ustalić.

Pan Puciata narzekał na te fochy szlacheckie. – Swoi ze swojakami winni trzymać – dowodził. – Koroniarze nadto prześmiewne i nieobyczajne. Zależą nam sadła za skórę.

Nic jednak na upór starościca i sędzica nie poradził. Zostali przy panu Sulmirskim, który zresztą nie był ani prześmiewny, ani nieobyczajny. Choć arianin, słynął jako wojak znamienity, a miast drewnianego pałasza, nakazywanego przez chrystiańską wiarę, nosił przy boku ostrą batorówkę.

Oba oddziały pana starosty głębockiego utonęły w zwartej masie maszerującej armii jak strużka w wezbranej rzece. Wraz też przybyłych owionęło życie żołnierskie, radosne wojenne oczekiwanie. Poprzednie troski zbladły i odeszły w głąb. Udręka Kaźmierzowa, zazdrość Konstantego – cofnęły się, prysnęły, ścichły. Obaj krewniacy poczuli się dobrze po raz pierwszy od długiego czasu. Oddychali z ulgą, niby uwolnieni od ciężaru. Hej, stara to prawda, że nie masz leku na schorzenia duszne jak pociągnąć z szablą w pole.

Wojska królewskie nie były liczne. Przed rokiem niespełna, po elekcji, zebrało się pod Warszawą przeszło sześćdziesiąt tysięcy szabel; gdy jednak przyszło do wyprawy, król z trudem wyprosił i zebrał około dziesięciu tysięcy. Hetman litewski miał pięć tysięcy, oczekiwano przybycia kasztelana kamienieckiego Piasoczyńskiego z dwoma tysiącami. Ataman kozacki Andarenko obiecał przyprowadzić dwadzieścia tysięcy dobrych mołojców. Król wiele się po nich spodziewał, choć szlachta sarkała na tych sojuszników.

Naczelne dowództwo nad wszystkimi wojskami sprawował król. Koronną armią dowodził hetman polny

Kazanowski ten sam, którego niegdyś, zadufanego młodzika, wielki Chodkiewicz grzmotnął przez plecy buławą. Zadufany Kazanowski pozostał i teraz, choć dyspozycje wojskowe miał mierne. Trzymały go przyjaźń królewska i królewski geniusz wojskowy.

Szli w górę Dniepru, rzekę mając po lewej ręce – to zbliżając się doń, to oddalając. Choć król poganiał, pochód odbywał się wolno, gdyż droga była bardzo uciążliwa. Przez ubiegły rok Szein miał czas utrudnić nadejście odsieczy, zrywając mosty na niezliczonych dopływach Dnieprowych lub zawalając kłodami brody. Wśród trzęsawisk i bażyn należało wyszukiwać miejsc bezpiecznych dla przeprowadzenia dział. Na szczęście jesień była sucha i pogodna. Żółknące liście zaścielały drogę. Pod drzewami trwał nieruchomo zapach grzybów i zieleń zwanego bagnem. Ludzi nie spotykano nigdzie ani na lekarstwo. Osady stały głuche, wymarłe: jednych wojna wyniszczyła, drugich wypłoszyła. Odległość z Orszy do Smoleńska nie przenosiła osiemnastu mil, lecz posuwano się tak wolno, jakby było trzydzieści. Nareszcie za Brasznią posłyszano daleki grzmot dział – i król, chmurny dotąd, zatroskany, rozpromienił się z uciechy.

– Trzymają się jeszcze, Bogu dzięki! Zdażymy na czas!

– Wytrzymały niebożęta.

– Prawie rok! Aż trudno wyimaginarować, boć wiemy, z jaką siłą na nich nastawano. Panów Sokolińskiego i Wojewódzkiego chyba ozłocić przyjdzie, chyba im ojczyzna wdzięczna monument postawi...

– Smoleńsk! Smoleńsk! Wieleż razy jeszcze go nam bronić czy dobywać przyjdzie? – westchnął pan miecznik

Koszycki, który przed dwudziestu dwu laty oblegał w tej samej twierdzy tegoż samego Szeina.

Podobnych jak on było wśród oblegających i oblężonych więcej. Wynikająca stąd doskonała obustronna znajomość struktury zamku, słabszych jego punktów, topografii okolicy sprawiała, że toczące się od roku pod Smoleńskiem walki były szczególnie krwawe i zawzięte. Zamek wraz z miastem leżał na lewym, południowym brzegu Dniepru. Miasto liczyło niegdyś z górą sześć tysięcy domów, zrujnowane jednak doszczętnie czasu pierwszego oblężenia, nie zostało dotychczas w całości odbudowane. Co i lepiej, byłoby bowiem uległo zniszczeniu znowu. Sam zamek był bardzo potężny, opasany murem. Od strony pola mur ten był gruby na trzy sążnie, a od strony rzeki na cztery. Wysokości liczył od sześciu do ośmiu sążni. Od wewnątrz znajdowały się w nim sklepione wnęki, wskutek czego mniejszą w tych miejscach posiadał odporność na kule. Co sto pięćdziesiąt łokci wznosiły się wieże, na przemian krągłe i czworograniaste. Było tych wież trzydzieści osiem. Wzdłuż całego muru na blankach wspierał się wystający murek przedpiersiowy. Bram twierdza posiadała dziewięć. Dział trzysta z górą. Skape studnie stanowiły wielką wadę zamku. Gdy nieprzyjaciel nie pozwalał czerpać z Dniepru, załoga cierpiała na stały brak wody.

W czasach poprzedzających uporczywe zawieruchy wojenne bogaty Smoleńsk nie mieścił się w murach i na północnym, prawym brzegu Dniepru powstała nowa dzielnica zwana Zadnieprzem. W chwili drugiego oblężenia jednak była ona tak zniszczona, że po prostu nie istniała. Moskale obozowali wśród ruiny domów.

Stary kamienny most miejski, łączący Smoleńsk z Zadnieprzem, był przez nich starannie oszańcowany i strzeżony.

Brzeg, na którym stały miasto i kasztel, widział się niski, raczej bagienny, lecz na przeciwległym brzegu, o pół mili od Zadnieprza, podejmowały się z płaszczyny suche wzgórza. Najwyższe z nich, zwane Pokrowską Górą, panowało nad okolicą i ze szczytu Pokrowskiej widziałeś dokładnie wszystko, co się dzieje na dziedzińcu zamkowym. Punkt to był niezmiernie ważny, odpowiednio ufortyfikowany przez nieprzyjaciela. Na szczycie wznosiła się warownia – ostróg obrzeżony szanćami, zwieńczony ciężkimi działami. Dowództwo nad ostrożkiem sprawował Duńczyk Matisson z regimentami wyborowego zaciężnego żołnierza.

Na południowym, niskim brzegu Dniepru, tuż pod zamkiem zaległ obozem Prozorowski z Biełosielskim, dalej półkolem wygiętym ku południowi otoczyli gród: pułkownik Kitti – Szkot, Charles Hubert – Anglik, Damm i Jacobi – Niemcy. Wszystko doświadczeni wojacy, szczególnie sprawni w forsowaniu twierdz i robotach ziemnych, w podkopach, fortelach, czyli szanćach, także w używaniu dział. Artyleria i piechota stanowiły dla nich najcelniejszą część armii, przedniejszą nad inne przy uzyskaniu zwycięstwa.

Sam Szein z wielką potęgą (ogółem siły jego liczone na dwieście tysięcy) znajdował się o pół mili dalej na wschód, oddzielony od miasta gęstymi lasami. Wojska Szeina obozowały po obu stronach rzeki, przekroczonej w tym miejscu dwoma łyżwowymi mostami. Szein spodziewał się nadejścia odsieczy, czuł w głębi duszy lęk przed Rzeczpospolitą, której złamał wiarę, a że czasu

miał dość – cały rok – zamienił swój obóz w twierdzę warowniejszą jeszcze bodaj niż sam Smoleńsk. Szańce i fosy, wielokrotne rzędy kobylic zjezonych dwułokciowej długości grotami utrudniały dostęp. Na szanćach stały gęsto działa. Na północ od Dniepru leżące wzgórze Dziewicza Góra, połączone z obozem, stanowiło ostrożek równie obronny jak Pokrowska.

Tuż za obozem Szeinowym rozciągał się kosz tatarski, jak zwykle niechlujny, rozwleczone i nie obwarowany wcale. Od północnego wschodu osłaniała go Skowronkowa Góra, punkt daleki i działami wojennymi nie objęty. Umocnień na niej nie było.

Przybyły wcześniej od króla hetman litewski Krzysztof Radziwiłł zapadł w lasach nieopodal Prozorowskiego i budował śpiesznie most. Podczas gdy czeladź pracowała dzień i noc, rycerstwo czuwało na zmianę z bronią u nogi, spodziewając się każdej chwili dywersji moskiewskiej. Stuk siekier niósł się daleko po lesie i trudno było przypuścić, by Prozorowski nie wiedział dotychczas o nadejściu wojsk litewskich. Jednakże dywersja nie następowała. Nikt budujących nie niepokoił. Uwaga nieprzyjaciela zdawała się być skierowana na ostateczne zdobycie zamku. Od nieustannego huku dział ziemia drżała, dym chmurą kołował nad lasem.

– Strzelają ze wszystkich stron naraz – stwierdził król stanąwszy w Radziwiłłowskim obozie. – Widzi mi się, że most do jutra będzie gotów? Rozdzielimy się, aby uderzyć z dwóch brzegów...

– Lepiej, miłościwy panie, parę dni poczekać, drugi most bodaj na tratwie zbić, dwoma się przeprawiać, bo na Pokrowską siła ludzi trzeba...

– A jeśli twierdza tymczasem upadnie? Jeśli resztkami się gonią?

– Ej, żebyż tam kogo podesłać! Języka od nich zasięgnąć! – westchnął kasztelan kamieniecki Piasoczyński.

– Ptakiem nie przelecisz, wężem się może przesu-
niesz... Na Boga, to jest myśl! Ogłóścież, waszmościo-
wie, po regimentach, że szczególnie nas ukontentuje, kto
by do twierdzy przedarł się i żywy wrócił!

– Rezolutów nie brak, przecie nie na siły ludzkie ta
impreza. Chyba żeby czapkę niewidkę wdział... Ale
ogłosić nie zawadzi.

Jakoż otrąbiono życzenie królewskie po chorągwiach i
jeszcze tego wieczora zgłosił się do pana generała
Arciszewskiego czeladnik kowalski, którego wołano
Szpadą, ofiarowując się, że pójdzie i wróci.

Chłopaczyna był szczupły, piegowaty, rozgarnięty.
Nie strwożył się zbyt, gdy go zaprowadzono przed
króla.

– Kiedy pójdiesz? – zapytywał Władysław.

– Zaraz, ino słoneczko zajdzie, bo po ómaku to nie
trafię.

– Za to ciebie wnet spostrzegą.

– Taki już sposób wymyśliłem, że mnie nie uwidzą...
A co mam w twierdzy powiedzieć?

– W twierdzy powiedz, by dali znać, wiele czasu
wytrzymają. A toć jeszcze rzekę: wrócisz szczęśliwie,
ostaniesz Szpadowskim.

Pachołek królowi do nóg padł i zaraz jął się zabierać
do drogi. Panowie Mogilnicki i Żegota z otoczenia
królewskiego poszli za nim, wiedzeni ciekawością, jaki
też wymyślił sposób. Nie zważając na ich obecność,

chłopiec jął łamać gałęzie leszczyny i witki leśnego chmielu. Potem rozdział się do naga, ubranie wepchnął pod jodłę, gałęzi naręcz wzięwszy opasał się nimi jak kiecą i rzemykiem w pasie ściągnął.

– Sylwą czy fauna udaje? – zadziwił się pan Żegota.

– Chyba chochoła. Widzi mi się, że prześcipny to pacholek.

Szpada, okrywszy zielenią dół ciała, przymocowywał teraz gałęzie sterczące ku górze. Otoczyły mu głowę, ramiona. Chmielem tak zręcznie witki stojące oplątał, że z dala wyglądał całkiem jak kierz.

I posunął się z wolna na skraj lasu. Miał teraz przed " sobą otwartą przestrzeń mokrawej łąki, usianej kępami krzów podobnych do niego. Miejscami wznosiły się wysokie czuby olszyn. Spętane konie kozackie pasły się między kępami. Na lewo ciągnęły się szańce nieprzyjacielskie, płonęły ogniska, stały warty, za rzeką czerniały poszarpane mury twierdzy. Od strony rzeki panował względny spokój, armaty stojące na Pokrowskiej Górze milczały, lecz z obozu Prozorowskiego, leżącego tuż za rzeką, z fortów Damma i Huberta padały gęsto na twierdzę pociski. Huk odbijał się od brzegów i płynął po wodzie.

Ukryci w gąszczu panowie Żegota i Mogilnicki śledzili ubawionym wzrokiem żywy krzak posuwający się wolnusięńko po łące. Pacholek zatrzymywał się i stał przez dłuższy czas nieruchomo, zapewne nasłuchiwał i rozglądał się, to znów szedł naprzód ostrożnie, by po dwóch krokach znowu się zatrzymać.

– Do jutra będzie tak szedł – ziewnął pan Żegota.

– Póki, to fraszka, bo tylko konie go widzą. Koniuchy pewnikiem śpią, jak to koniuchy. Za moment, gdy przed szańce wyjdzie, nie będzie taki bezpieczny...

– Zmierzchnie się do tego czasu... Dalibóg, już mi się z innymi krzakami pomieszał: sam nie wiem, który to... ów na prawo?

– Nie, tamten w środku. Rusza teraz... Dobry fortel wymyślił. Król jegomość uszlachcić go obiecał.

– Lekką ma do tego rękę miłościwy pan... Sam starożytnej jest krwi, a szlacheckiego honoru nie ceni... Pacholek rezolut, owszem, podać wiadomość do twierdzy ważna rzecz, ale żeby zaraz klejnotem nagradzać? Talara za fatygę rzucić i dość...

– Słuszna, słuszna... Czekajcie no. mości panie... Ninie już naprawdę nie widzę; gdzie on?

– Niedaleko rzeki. Gapy Duńczyki nic nie widzą. Dojdzie, jak mi Bóg miły, dojdzie... Przybywa nam pan brat dobrodziej...

– I Niechaj waszmość żartów, bo sam nie wiem. czego życzyć: żeby doszedł, czy żeby go ustrzelili... Darujże mi, Zbawicielu, bluźnierstwo... Jeno że o klejnot idzie... Czemu żaden z naszych nie poszedł?

– Nim się zdążyli dowiedzieć, już ten poskoczył. Zresztą urodzony nie zna podobnych sposobów... Na koniu z szablą podjechać, choćby przeciw stu. jawnie na nieprzyjaciela iść... Nie chyłkiem, ciszką... Ten ci pewnie swoim liściastym manierem snopy z pola ciągnął albo jabłka w sadzie kradł, i tak to wypraktykował...

– Bo pewnie... Ciekawym, do jakiego herbu go przypiszą? Jak myślisz waść?

– Myślę, że mu nowy stworzą z witką i szpuntek od beczki...

Pan Żegota urwał, bo w oddali buchnęła nagle wrzawa. Padły strzały, na brzegach zaroilo się od ludzi.

– Bodaj nas! Już go odkryli! Już mu anielski herb piszą... Szkoda, mości panie, szkoda...

– Jeszcze go nie ustrzelili, bo bieżą i wrzeszczą... Nie widać nic... Dla Boga, widzę, owszem... Odrzucił witki... Sadzi goły niby Adam... Hulnął do rzeki...

– Skoro oba brzegi zaalarmowane, już żywy z wody nie wyjdzie. Dopilnują go. Ano, rejterujemy, mości do-brodzieju, bo gotowi las przetrząsać...

Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu pacholek Szpada nie zginął. Skoczywszy do rzeki, skrył się w tym samym miejscu pod wysokim brzegiem. Woda podmywała łąd, obsuwały się płyty murawy, wisiały, pokąd nie urwały się ze wszystkim.

Szpada schował głowę pod wielki płat darni. Siedział tam nieruchomo tak długo, aż Duńczycy, szukający go po jednej stronie, i Wielkorusy, przetrząsający brzeg po drugiej, doszli do przekonania, że na wir trafił i zatonął.

Siedział wytrwale, na wpół żywy z zimna. Nareszcie, gdy noc zapadła, a na brzegach zostały tylko zwykłe strażę, przepłynął nurkiem przez rzekę i wylazł u podnóża twierdzy, gdzie mury schodziły ku wodzie. Tam zdołał zwrócić na siebie uwagę załogi, która wciągnęła go do środka po sznurze. Pan Sokoliński, ranny przed kilku dniami odłamkiem granatu, leżał bezprzytomny i na wieść o gońcu królewskim nadbiegł jedyny obecnie komendant twierdzy, pan porucznik Wojewódzki. Był czarny od dymów prochowych i utrudzenia, wyschły z bezsenności, wychudły z głodu. Własnym kożuszkciem okrył zziębniętego, a widząc, że chłopiec z zimna zwarte ma szczęki i słowa nie może przemówić, siadł obok na

zwalonej kupie rumowia i czekał, nie spuszczać z pośtańca błyszczących gorączką oczu. Czekał cierpliwie, ni słowem nie przynaglając. Ostatni rok nauczył go wielkiej cierpliwości. Myślał z żalem, że gdyby przybyszowi wlać w gardło wódki czy miodu, przemówiłby od razu, ale podobnych napoi z dawna już nie było w zamku. Na koniec jednak Szpada przestał szczękać zębami i odzyskał mowę. Wcale przytomnie zdał sprawę z polecenia królewskiego.

– Wiele czasu możemy się utrzymać? – powtórzył pan Wojewódzki jak echo. – Pójdź, pokażę. Bo co rzekę, łatwo zapomnisz, a co uwidzisz swoimi oczami, spamiętasz. Jenó wybacz waść ciekawość: urodzonyś? Bo w tym stroju łatwo uchybić...

– Czeladnik kowalski jestem. Ale miłościwy pan obiecał mi szlachectwo dać, jeśli wrócę...

Pan Wojewódzki skrzywił się lekko, ale nic nie odrzekł. Wiódł chłopca wokół tego, co było potężnym zamkiem, a dziś zupełną ruiną. Padające od roku pociski nie zostawiły kamienia na kamieniu z ogromnej budowli.

Idąc wzdłuż murów rozwalonych wież mijali ludzi równie jak komendant wyszłych i szerniałych. Korzystając z mroku naprawiali wyrwane za dnia szczyby, budowali z gruzu osłony dla nielicznych pozostających im dział. Czeladnik Szpada na ich widok kulił się nie tylko z zimna, lecz z zabobonnej obawy. Zdawało mu się, że trafił do kraju upiorów. W zamku nie było ani światła, ani ognia, tylko ci ludzie-mary poruszający się jak lunatycy.

Jednakże nie były to upiory. Pan Wojewódzki pozdrawiał ich przechodząc. Mówił: „Dobra nasza, wasz-mościowie! Goniec królewski przybieżał! Miłościwy pan

stoi na Hłuszycy"... – na co oni podnosili głowy, gadali coś niezrozumiale i wracali do swej pracy. Zresztą Szpada nie mógł pozierać za nimi, gdyż należało uważać, by idąc nie wpaść w otwierające się znienacka pod stopami otwory, dziury uczynione przez miny.

– Ta wyrwa zrobiona onegdaj – objaśniał pan Wojewódzki – a tamtą basztę zważyło już dawno. Z tej strony armata nieprzyjacielska jest bardzo potężna. Pięć dział po sześćdziesiąt funtów, trochę mniejszych kilkanaście, nie licząc zwyczajnych polnych. Jeszcze zimą tałająstwo obaliło mur na całym tym flanku, czyniąc przystęp szturmowy bez drabin... Do tego miny... Myśmy ze swej strony kopali podsłuchy, żeby im w tej robocie przeszkadzać... Miły Boże, po co ja do ciebie, chłopie, gadam? Przecie i tak nic z tego, co mówię, nie zrozumiesz... Szkoda darmo gęby strzępić... Aby się wygadać... Grzesznemu człowiekowi miło jest wygadać się przed śmiercią. A może coś spamiętasz w chłopskiej głowie i powtórzysz?... Żeby miłościwy pan wiedział, jako do ostatka... Do pośledniej możliwości...; Tu, mimo podsłuchów, inżynierzy szkockie podłożyły wielką minę z dwudziestu czterech beczek prochu albo więcej... Pora była wtedy żniwna, burze częste, jak latem... Jak raz burza nadciągnęła. Piorun wyrzwał w ową minę... Wcześniej niż Szkoty zamierzały. Nam basztę zważyło, ale im tysiąc ludzi na amen przygniotło. Dowódca, główny inżynier, też zginął... Mieliśmy przez to parę dni spokoju od nich i mogliśmy z rumowia przedpiersień wystawić..

Tu mamy prochy... Wszystko, co nam pozostało. Po-cisków ze dwadzieścia i ta jedna beczuleczka... Jak wyjdą, będziemy bronić toporkami, berdyszami... Nie

nowina nam, bo już tak bywało... A tu spizarnia... Osiem bochnów chleba i dwa garnce mąki...

– Spleśniał chleb – zauważył czeladnik.

– Ano. Piekli my go tydzień temu, a tu wilgoć. Więcej już nie upieczemy, nawet gdyby mąki starczyło, bo drzewa w całej twierdzy ni szczepeczki. Przez to i ognia nie palimy. Rzemienie i końskie skóry zjedli my już dawniej, póki gotować można było... Tę dziurę tutaj dziś rano granat wyłomił...

Wiódł dalej ślaniającego się ze znużenia pachółka, powtarzając co chwila: „Zapamiętaj! Zapamiętaj! Choć chłop jesteś, zapamiętaj!” Nareszcie, gdy obeszli wkoło zrujnowane mury, zatrzymał się mówiąc:

– To wszystko powiesz miłościwemu panu. Było załogi trzy tysiące ludzi, dzisiaj ledwo półtorasta...

– Jejeje! Tyłuż zginęło!? – zdziwił się czeladnik.

– Tyłu. Do Dniepru musielim ich rzucać, rybom na pożarcie, by w twierdzy nie było zarazy... Dobrych towarzyszy bez pochówka chrześcijańskiego precz miotać... Moskiewskie hultajstwo strzelało do nich. bojąc się, by z trupami żywy człek nie uszedł... Półtorasta nas jest i mieszczan kilkudziesięciu. Mieszczany dobrze stawały ale ich mało ostało. Więc taki zdasz raport miłościwemu panu: jeśli rozkaże, będziemy jeszcze trzymać parę dni...

– Żarcia nie starczy – zauważył sennie pachółek, wspomniawszy osiem zapleśniałych bochnów chleba.

– Nie zjedliśmy wiele więcej przez ostatni tydzień. Niech miłościwy pan czyni, jak chce. My żywi zamku nie zdamy, a teraz śpij, durniu, bo baczę, że nie słyszysz nawet, co do ciebie gadam...

Pan Wojewódzki wzruszył gniewnie ramionami i poszedł sprawdzać warty;

Szpada istotnie zasypiał, stojąc. Pozostawiony sam sobie, zwałił się pod pierwszym załomem muru i zasnął kamiennym snem. Ludzie z załogi przechodzili obok niego wznosząc cierpliwie szańce, które pierwsze uderzenie miało rozrzucić. Zatrzymywali się nad śpiącym, patrzyli na niego z dziwnym uczuciem wzruszenia i niedowierzania. Nie dbali już, czy to był poddany, czy równy im szlachcic. Przychodził z zewnątrz, z wolnego, szczęśliwego świata. Od roku trwając w straszliwym piekle oblężenia, zapominali, iż taki świat istniał inaczej niż w wyobraźni. Ten chłopiec przyszedł od króla. Król z potęgą stoi blisko, ukryty w tych lasach. Będzie nacierał... kiedy? Jutro? Może pojutrze? Rzeczpospolita upomni się o nich, wytrwałych, wiernych obrońców. Sądziła niejednokrotnie przez ten rok przeklęty, że zbyła ich całkiem z pamięci, że się nigdy nie zbierze ku ich ratowaniu. A oto przyszła. Nierychliwa jak Bóg, ale sprawiedliwa i potężna. O pochwalona bądź, droga ojczyzno!... Dobrze, że wytrwali dotąd... Że doczekali w obronionych murach odsieczy...

O świcie rozległ się huk. Baterie Prozorowskiego, Darnina, Huberta i Jacobiego rozpoczynały swe codzienne powitanie. W powietrzu wzniosł się gęsty pył wapienny i gryzący dym z pocisków. Szpada przebudzony wcisnął się głębiej w kryjówkę i próbował jeszcze zasnąć, ale nadaremnie. Zimno kąsało dotkliwie, bo kozuszek porucznika był krótki, a chłód wrześnieowego ranka przenikliwy. Chłopiec głodny był przy tym potężnie. Nie mogąc zasnąć, myślał o tym, by wydostać się szczęśliwie z twierdzy i do króla wrócić. Jeśli mu się uda, będzie wolnym i rycerzem. Lecz jak to sprawić? Szpada był prześcipny, co słusznie ocenił Żegota, lecz

nic wymyślić nie umiał. Moskwiciny pilnują tak, że pono do trupów nawet strzelają, w obawie, czy to nie żywi...

„Sądzą, że trup mógłby być żywym człowiekiem...
Czeladnik ziewnął, wstał i rozejrzał się. Gęsta biała

mgła leżała nad rzeką. Tak gęsta, iż oba brzegi ginęły w niej całkowicie. Czuby olch sterczały nad mgłą jak wysepki. Dolne oszańcowania Góry Pokrowskiej były również mgłą objęte, tylko groźny szczyt czerniał nad równiną.

„Jeśli ruszać, to tylko teraz” – pomyślał Szpada i pobiegł szukać porucznika Wojewódzkiego. Ów siedział przy łożu pana Sokolińskiego, który konał. Nie wiedząc, czy towarzysz słyszy jeszcze cokolwiek, pan Wojewódzki prawił mu o nadejściu króla i rychłym natarciu. Szeptał z przejęciem, z twarzą przy twarzy, lecz dusza podwojewódzkiego była w innym świecie, na inne już patrzyła szanice i odsieczce. Ku nim uśmiechał się waleczny żołnierz... Po chwili porucznik wstał. Z nieporuszoną obliczem zamknął powieki przyjacielowi.

– Do Dniepru go nie rzucim – rzekł głośno. – Może Bóg da, że się uczciwego pochówka doczeka...

Lecz Szpada, czekający opodał, podszedł z szacunkiem i jął coś z przejęciem mówić. Porucznik słuchał chmurniejac. Trząsł głową odmownie, znów słuchał, targał wąsy i rozważał. Na koniec spojrział na sztywniejące już lice zmarłego. Przeżegnał się, musnął szybko, wstydliwie oczy, odwrócił się twardo.

– Juści, gdyby mógł przemówić, przystałby na twoje. Jeno mi luto, że to na niego wypadło...

– Mgła później może się rozejść...

– Sprawiedliwie gadasz. Ano, jak trzeba to trzeba. Chociaż wolałbym sam... Żeby mnie...

Szybko, by nie tracić czasu, odprawiono modlitwy. Wychudli jak widma ludzie oddali swemu komendantowi cześć żołnierską. Potem zawinięto ciało w zgrzebne radło. Dwa ciała, żywe i zmarłe. Szpada zwłókł kożuszek

i chłód zmarłego przejął go tchnieniem śmierci. Pan Wojewódzki jeszcze rzekł:

– Było mi mrużno, że za poselstwo masz otrzymać klejnot, ale ci go już teraz nie zazieram i za brata uważam, czy zdołasz wrócić, czy nie...

Szpada nic nie odpowiedział. Trup leżał na nim. Czeladnik trzymał kurczowo przy piersi końce płachty łączącej ich razem. Żołnierze ujęli podwójny ciężar. Byli osłabli z postu i we czterech zaledwie zdołali podźwignąć to i spuścić w wodę. Na odgłos plusku zaroilo się na obu brzegach. Padły strzały. Znowu plusk. Łódka odbiła od brzegu.

– Przepadło – wzdycha pan Wojewódzki. – Towarzyszam pogrzebu zbawił, a chłopca i tak ubiją...

Patrzy nasępiony. We mgle nie widać ciała. Słyszać natomiast głosy płynących na łodzi.

– Tfu! Gdzież to ścierwo?!

– Tam płynie, o...

– Rusz je, Semen, drągiem, czy trup sprawiedliwy....

Głosy giną w oddali. Rzeka pluszcze. Mgła bieleje.

Porucznik nie wie, co zaszło. Trudno stać dalej – nic tu nie wypatrzy, trzeba się zająć obroną. Kartauny grzmia po dawnemu. Basowym, głębokim głosem odzywa się już bateria Matissona na Pokrowskiej. Rozbite mury tryskają w górę fontanną kamieni. Pan Madaliński ostatnią beczułkę prochu wytacza z piwnicy...

ROZDZIAŁ VII

Syruciowi robota leciała z rąk, aż Kazmierz zniecierpliwiony wyrznął go w kark parę razy.

– Wałkoniu! – fuknął. – Śpisz czy blekotu zeżarłeś?! Trzeci raz wołam o skórznie, a ty mi podajesz kubraki

Syruć zawstydzony przeproszał, panowe kolana całował, leciał duchem po paradne skórznie, otwierał łuby – i znów zapominał, czego miał w nich szukać. Siadał na ziemi znękany, trzymając oburącz skołataną głowę.

— Hołoweńko moja, hołoweńko..., – powtarzał. – Już lecę, paniczu! Już lecę!...

Hej, jakże tu spokojnie myśleć, pamiętać, co skórznie, co kaftan, co zbroja, gdy głowa zaprzątnięta jedną tylko myślą, jedynym obrazem – niedawnego czeladnika Szpada, obecnie dragona Szpadowskiego...

...Szpada... Szpadowski... A tu od rana wałą do obozu Kozacy mołojcy. Ataman Andarenko wie dzie swoje pułki. Same chłopcy,; jak Syruć, jak Szpada, jak Anton Filemonów a przecie żołnierze. Sotnika mają nad sobą, asawułę, nie ekonoma. Odziani prostacko w świty, w szare samodziałowe kubraki... Rzucają czapki w górę, aż niebo się ćmi.

Ledwo przeszedł Andarenko, ciągnie kawaler Radziwiłł, hetmanów syn, z tysiącem najprzedniejszej zaciężnej niemieckiej piechoty. Za nim regiment Platera i rajtaria Gizy...

Syruć nie może zdzierżeć z ciekawości. Odziewając starościca (do pierwszej bitwy trza się ubrać jak do ślubu) pyta:

– Upraszam łaski jaśnie wielmożnego panicza, te piechury to ze szlachty?

– Głupiś – burczy Kaźmierz. – Szlachta w piechocie nie służy.

– To czemu nas nie zwołają, jeno obcych ciągną?

– Kto by w polu robił? – odrzuca niechętnie starościc. Przychodzi mu na myśl, że słusznie twierdzi komisarz Korolko, iż chamom przewraca się w głowie.

Zresztą nie mają obaj czasu na dalszą rozmowę, bo już trąbią wsiadanego. Syruć trzyma panu strzemię, po czym sam skacze na swego kasztana. Chorągwie ustawiają się na szerokiej polanie, wilgotnej, porostej bujną, żółtkłą trawą. Kaźmierz stanął w szeregu tuż przy Konstantym. Krewniak spojrzął na niego przelotnie, prawie obojętnie. Równie jak Kaźmierza nie obchodziło go w danej chwili nic poza mającą się rozpocząć walką. Bitwa! Bitwa! Przeznaczenie rycerskie, racja istnienia szlachcica, jedyny sprawdzian wartości człowieka. Dopiero ujrawszy w boju, można orzec, kto kim jest. Bo nie mądrość znaczy, nie kunszty, nie wiedza, ale tylko jedno: męstwo i gotowość zdania życia.

Tak wierzyli współcześni, tak wierzył Kaźmierz Korsak, toteż rychłe starcie z wrogiem pochłonęło go zupełnie. Ściskając kopię w rozgorzałej garści patrzy uważnie na środek polany, gdzie hetman polny daje zlecenia rotmistrzom.

Rozkazy właściwie rozdano już wczoraj, uzupełniano je teraz ostatnimi objaśnieniami. Zwarty las rosnący wokoło, poprzerynany smugami bagien, ułatwiał wprawdzie zaskoczenie nieprzyjaciela, lecz utrudniał planowe przeprowadzenie zbiorowego uderzenia. Oddziały traciły się łatwo z oczu, mapy tych stron nie istniały, ludzie miejscowi (o ile tacy się znaleźli) byli niepewni jako przewodnicy. Toteż król, zagrzany prze-

ciwnościami i opowieścią Szpady o niedoli twierdzy, sam osobiście czuwał, zabiegał, doglądał, by plan należyte przeprowadzić.

Według planu hetman polny Kazanowski i wojewoda Gosiewski mieli zatrzymać na sobie Prozorowskiego, broniąc mu przejścia na północny brzeg Dniepru. Pułkownik Rożen, dowódca pieszej gwardii królewskiej, wyruszył nocą okrężną drogą, lasami, by zająć Pokrowską Górę od wschodu i nie dopuścić do niej posiłków Szeina. Król polecił mu naćcinać drzew i kłodami zaważyć drogę. Sam miłościwy pan z hetmanem litewskim miał uderzyć wprost na ostrożek Matissona, na Pokrowskiej Górze leżący. Skoro ostrożek ten uda się zdobyć, zamek będzie ocalony. Toteż ledwo świt zabłysnął, już Koroniarze związali się z Prozorowskim, któremu na pomoc śpieszą Hubert i Damm. Walka nie jest łatwa. Prozorowski posyła coraz nowe regimenta. Koroniarze spychają je, prą aż pod przyczół mostowy, wpadają sami między fortele, pod ogień dział i muszkietów. Najwięcej dokazuje regiment pana Arciszewskiego, Krzysztof owego brata, największe też straty ponosi.

Porucznik Wojewódzki patrzy na to z murów ze zmarszczoną brwią. Nie może pojąć: czemu królewscy marnują tu ludzi? Nagle słyszy odgłos palby i rozjaśnia się. Zrozumiał. Biegnie na drugą stronę, skąd widać most i Zadnieprze. Tam, na płaszczyźnie za rzeką, toczy się właściwa bitwa. Góra Pokrowska, wiedźma przeklęta. zasypująca od roku dziedziniec zamkowy gradem kul. zdaje się sama być dzisiaj w niezgorszych opałach. Czarne mrowie napastników otoczyło ją z trzech stron. Pchają się na kobylice, na szańce, na stoki.;.: Piekielna wrzawa dolatuje aż do zamku.

Porucznik Wojewódzki patrzy, patrzy, patrzy, waży w myślach przedsięwzięcie. Zwołuje swoją załogę. Półtorasta głodomorów, obszarpańców, co własne pasy już zjedli. Pięćdziesięciu z nich zostanie, aby strzec twierdzy, stu innych uderzy z porucznikiem od tyłu na Maitissona. Z tej strony nie spodziewa się Duńczyk ataku na pewno!

I przez zrujnowany mur (bram ani furty zamkowej otwierać nie trzeba), przez wypalone miasto wychodzą na most. Sztandar swój niosą wysoko. U wylotu mostu dwie hakownice stoją paszczami Zwrócone na zamek. Przy nim kanonierzy zagapieni na ostróżek. na toczącą się pod nim walkę. Nim zdążą krzyknąć: „Hospody!” – już są zdławieni, rzućeni do Dniepru, już Smoleńszczanie obrócili działa i wałą w serce ostrożku.

W królewskich szeregach zauważono porzecz i ludzi na moście. Pan Mogilnicki podjeżdża zobaczyć, co zacz? Nie dba, że zza rzeki ustrzelić go mogą łąco prozorowscy.

– Wycieczka z zamku! Wycieczka! – krzyczy do króla wracając.

...Wycieczka z zamku... Sam król posyła regiment Henryka Denhofa, by przedarł się do tych ludzi i przyprowadził do niego. Denhof obsadza swoimi most i prowadzi głodomorów. Wojewódzki kroczy przodem jak we śnie. Twarz ma groźnie namarszczoną. Król zsiada z konia i zdejmuje kołpak, wszyscy wkoło odkrywają głowy.

– Cześć bohaterom – powiada Władysław biorąc porucznika w objęcia.

Namarszczone lico Wojewódzkiego kurczy się, mięknie, rozpręża, wilgotnieje łzami, porucznik osuwa się do kolan królewskich.

– Czekalim cię, miłościwy panie, czekalim... rok blisko...

– Wieki o was nie zapomną – zapewnia najszczerzej król. Sam jest głęboko wzruszony. – Nie ma – mówi – w mowie ludzkiej dość superlatywów, by wyrazić waszą chwałę... Wiemy, coście przecierpieli... Pachołek wrócił...

– Wrócił... – uśmiecha się Wojewódzki. – Pod ciało pana Sokolińskiego się skrył...

– Przytaszczył i zewłok pana Sokolińskiego, któremu hetmański pochówek sprawimy po szturmie... Jeno czemu teraz czas tracimy? Dajcież sam żywo wina, chleba smoleńszczakom! Toć od Wielkanocy poszczą!

Porucznik potrząsa głową.

– Nie pora teraz na jadło, miłościwy panie. Tak jak na pogrzeb, czas będzie po bitwie...

– Dosyć się nawojowałeś, mości poruczniku. Pora ci sfołgować i odpocząć przy mnie. Denhof zamek obejmie.

– O, nie! – zaprzecza żywo Wojewódzki. – Nie uczynisz tego, miłościwy panie, by cię kto inny witał w wyzwolonej twierdzy niż ja?!

Król uśmiecha się serdecznie.

– Ano, rób, jak chcesz. Jednego mi nie zabronisz: bym za zdrowie wasze wypił.

Tłoczą się zewsząd rycerze, kto z manierką, kto z bukłakiem. Jeszcze raz król bierze w ramiona porucznika, piją wzajemnie swe zdrowie. Całe towarzystwo huczy

na cześć smoleńszczaków, którzy wraz z Denhofowymi cofają się z powrotem do mostu. Za nimi król posyła pięćdziesiąt wozów ze spyżą, z prochem, z knotami, z kulami. Rozwścieczeni prozorowscy dopiero teraz poznają swój błąd. Pochłonięci walką o most (nie ten miejski – ich własny, łyżwowy, niżej położony), zlekceważyli zamek. A mogli z łatwością uporać się z pozostawioną w nim garścią. Obecnie za późno. Denhof już obsadził mury. Porucznik jeszcze stoi na moście, pilnując przejazdu wozów. Na most bowiem i na wozy zwróciła się teraz cała złość Prozorowskiego. Osadzony w miejscu przez Kazanowskiego, nie mogąc się ni rozwinąć, niż pójść na pomoc Matissonowi, sypie na most gradem kul. A tu prochy... Wojewódzki i jego towarzysze porywają beczki z wozów, toczą je sami po moście, byle ukryć jak najprędzej. Kilkudziesięciu Moskwićinów usiłuje przybyć z tamtego brzegu wpław, by przeszkodzić taborom wejść w mury, lecz konie ulgnęły w bagnistym wybrzeżu. Już wozy weszły do zamku. Wojewódzki odwraca się, macha ku strzelającym ręką, potem coś woła w kierunku króla. Nigdy już nikt nie dowie się, co wołał, bo w tejże chwili pocisk trafia pana Wojewódzkiego i rozrywa na strzępy.

– Kawalerska śmierć – stwierdzają rycerze.

Walki powyższe, toczone dnia siódmego września, nie osiągnęły znacniejszego rezultatu poza wzmocnieniem załogi zamkowej. Ostrożek Matissona na Pokrowskiej Górze pozostał niezdobyty. Po zrąbaniu kobylic, zajęciu pierwszych szańców, wypadło pięć się po stromych stokach ku drugim szansom, jeszcze bronnejszym, z których Duńczycy prażyli napastników ulewą kul i pocisków. Pod wieczór król musiał się cofnąć z ciężkimi

stratami. Nie mniejsze straty odniósł Kazanowski, dawszy się niebacznie wciągnąć zbyt blisko forteli Prozorowskiego.

Zły z powodu odniesionej porażki, król cofnął się w lasy, by tam obmyślić skuteczniejsze uderzenie. Poprzedni plan zostawał właściwie bez zmiany, tylko przeciw Prozorowskiemu w miejsce Kazanowskiego miał ruszyć Radziwiłł, Kozakom zaporoskim zaś zlecono obejść nieprzyjaciela szerokim kręgiem i natrzeć z tyłu, od południa na pozycje Huberta i Damma.

Rotmistrz Puciata, obaj Korsakowie stali jak poprzednio przy chorągwi pana Sulmirskiego. Rotmistrz nie przestawał żałować, że ustąpił młodemu i zgodził się przystać do armii koronnej. Żałował tym bardziej, że nieimiły Korsakom wojewoda smoleński również przy Kazanowskim, nie przy Radziwille ostał, a to z powodu osobistej niechęci, jaką czuł do pana hetmana litewskiego. Mały oddziałek głębocki niczyjej uwagi nie zwracał, ale o panu Aleksandrze Gosiewskim głośno było wszędy. Ludzie dziwili się, że sam Litwin, dla prywaty Litwę zdradził – i nie szczędził złośliwych uwag na ten temat. Większość tych kąśliwych docinków Korsakowie mogli przyłożyć do siebie, bolał więc nad tym pan Puciata, człek poważny i stateczny.

Król przejeżdżał przed czołem wojsk mających ruszyć za chwilę. Witano go okrzykami brzmiącymi serdecznie, Władysław IV był bowiem powszechnie lubiany. Dawno już, dawno żaden miłośnicy nie przypadł narodowi do serca tak jak on. Nie fircyk wykpiiony Walezy, nie twardy, groźny Batory, nie kukła sztywna Zygmunt, lecz ten dopiero był panem wedle myśli i pragnienia, delicias

generis poloni, Polak nad Polaki. Niewiele w nim po
prawdzie było owej polskiej kr wie.

Tyle co po babce Jagiellonce. Ojciec – Szwed zabity, matka Rakuszanka. Rzeczpospolita jednak miała w owym czasie tak wielką moc chłonną i przyciągającą, prężność geniuszu polskiego była tak rozległa, że młody król już przez samo wychowanie się wśród Polaków został najszczęśliwym Sarmatą. Uwielbialiby go też wszyscy bez zastrzeżeń, gdyby mniej górne marzenia o potęgę Rzeczypospolitej hodował i z Kozakami nie tyle się bratał.

– Pospólstwo strasznie miłuje króla jegomości – zauważył pan Sulmirski do Kaźmierza Korsaka, gdy mołojcy wychodząc z obozu wiwatowali na cześć swego korola tak gromko, że chwiały się czuby drzew.

– Ano – przyznał tenże – aż mi to, wyznaje, dziwno.

– Dziwu w tym nie ma, bo król jegomość ojcowskie ma serce dla wszelkiej biedoty. Chyba i Kaźmierza, którego królem chłopów zowią, prześcignął... Szymona Sanguszkę za ucisk witebskich mieszczan ostro gromił, podobnie Janusza Wołłowicza, starostę żmudzkiego, i Bazylego Konstantynowicza z Ususzek... Do urodzonej Rajeckiej z Borejkowa odręczne pismo słał, instygatorem grożąc, jeśli poddanych dręczyć nie przestanie, a przeciw szlachcicowi Andrzejowi Wyszkowskiemu inkwizycję kiedyś wytoczyć kazał...

– Inkwizycję?! O poddanych? Inne tam chyba gramina być musiały...

– Nie było żadnych, tylko nieludzkość dla chłopów. Stąd to plebs tak go nawidzi, a poniektórzy panowie się marszczą...

Kaźmierz nic nie odpowiedział. Zapomniana dawno twarz Antona mignęła mu przed oczami. Pomyślał, że

może troska o poddanych nie jest tak dziwaczna ni głupia, skoro sam król ją podziela.

Stojący tuż przed nim Konstanty obrócił się w tył, opierając pięść na zadzie swojego wałacha.

– Sądzę, że i różnowiercy miłują króla jegomości? – spytał z odcieniem szyderstwa.

Pan Sulmirski zmierzyl sędzica poważnym spojrzeniem – Zgadłeś waszmość. Miłujemy go za to, że każdą wiarę szanuje. Że wolność sumienia, tak za jego rodzica sponiewieraną, przywrócił. Niejednemu to nie w smak – wiem! Jezuci wszelkich swoich czarów używają, żeby go na swoje przekabacić...

– Jezuci czarów używają?! – wykrzyknęli ze zdziwieniem obaj Korsakowie. Stała im przed oczami zażywna, pogodna postać ojca Dominika, kapelana, tak mało przypominająca czarownika, że nie mogli się wstrzymać od śmiechu.

Zazwyczaj poważny arianin zaperzył się.

– Nie śmiecie się, waszmościowie, gdyż sprawiedliwą prawdę mówię. Dowodnie i nad wszelką wątpliwość stwierdzono, że jezuci bawią się czarami. Zmarły niedawno Skarga był wielkim charakternikiem. Przyłudzał na swoją stronę, kogo chciał, nie wymową, która prosta była, ale czarcią sztuką. Najtężsi nasi ludzie bali się z nim dyskutować, wiedząc, że omami ich i opęta... Skarga nie żyje, ale jest drugi taki sam, Bobola!

– Znam go! – wykrzyknął Kaźmierz poruszony. – Mówicie, że charakternik?

– Bez najmniejszego wątpienia. Równy Skardze albo gorszy. Zowią go venator animarum – łowca dusz... Każdego na swoje przeciągnie, jak gdyby więzy nałożył...

– Masz waść słusność, to prawda – przyznał nieoczekiwanie Kaźmierz i urwał szybko; nie zamierzał wyjawiać okoliczności, w których zetknął się z Bobolą; poza tym chorągwie ruszały już od lewego, ciągnąc pod Pokrowską Górę.

Trzeci dzień trwała bitwa, bez przerwy, bez odetchnienia, bez snu i bez posiłku innego niż łyk wódki lub wody z manierki i kawałek suchego chleba wyciągnięty z torby.

Znając niechęć szlachty do „kopanej” walki, król sam chwycił do ręki łopatę i z piechotą sypał lotne szańce, czyli laufgrabry.

Nolens volens towarzystwo musiało czynić to samo. Pierścień otaczający górę podnosił się ku szczytowi z wolna, lecz nieubłaganie. Rycerstwo biło się mężnie, ale sapało ze złości. Obecny bój był tak niepodobny do ukochanych walnych rozpraw szeroką ławą na rozległym polu, gdy świst wiatru, pęd koni, chrzęst zbroi, szum proporców gra w uszach najcudniejszą rycerską muzyką! Bodaj z piekła nie wyrżał Moskwin, który ich zmusza babrać się w wilgotnej ziemi, jak krety osłaniać głowy przed kamieniami lecącymi z góry i na piechotę zdobywać każdy łokieć gruntu! Konie z konowodami pasą się w lesie, a towarzysze muszą pracować na równi z piechotą i pachołkami. Nie wiedzieć nawet, czy pachołcy nie zdatniejsi są do tej roboty...

Do tego zmęczeni... Trzeci dzień, Panno cudowna! Król nie pozwala na chwilę odetchnąć, bojąc się, że wysłane naprzeciw Szeina chorągwie nie wytrzymają naporu i Szein zjawi się na polu bitwy. Więc niestrudzony zagrzewa:

– Kto na wieczny odpoczynek zarobi, odpocznie! — woła. – Kto żyw ostanie, wyśpi się później do syta!... Naprzód, waszmościowie! Naprzód!...

Duńczyki, Szkoty cofają się coraz wyżej. Polacy wspinają się coraz śmielej. Nic to, że gęsty trup zaściela stoki. Do wierzchniego ostrożka już niedaleko...

– Bij, zabij! – huczą szeregi litewskie, ścierające się równocześnie z Prozorowskim, Biełosielskim... Bo oprócz walki pod ostrożkiem Matissona na łągach nadnieprowskich, pośród lasów i wertepów sprawiają się dziś trzy wielkie bitwy – nie wiadomo, która krwawsza, która bardziej Zacięta i sroga. Naprzeciw zamku, z którego Denhof grzmi z dział, jak może – jedna, Kozacy z Hubertem – druga, z Szeinem na leśnych drogach trzecia. Sześćdziesiąt tysięcy prowadzi Szein Matissonowi na odsiecz. Sześćdziesięciu tysiącom stawiają czoło chorągwie pułkownika Rożena, Platera, Gizy i młodego Radziwiłła. Przeciw sześćdziesięciu tysiącom oddziały polskie walą zasieki z drzew, wznoszą zapory z własnych swoich ciał. Trzymając walecznie drogę, baczą, gdzie bokami usiłują się przemknąć Tatarzy, z której strony mierzą zdradziecko zza krzaków. Najcięższą mają robotę. Król zdaje sobie z tego sprawę i choć sam ma mało ludzi do zdobywania ostrożka, posyła na pomoc Rożenowi chorągiew królewicza Jana Kazimierza oraz oddział głębockiej jazdy.

Po mozolnym wspinaniu się na szanice – skoczyć na konia, chwycić kopię w garść, to odpoczynek, zabawa. Pędzi rycerstwo, schylając się popod gałęziami, przesadza sterczące kłębami korzenie. W wilgotnej ciemni puszczy niesie się gwar walki.

– Przyszlście w porę – mówi kawaler Radziwiłł. – Ustajemy całkiem.

Strudzone wojska schodzą w las na boki, puszczając naprzód tych, co świeżo przyszli.

...Świeżo przyszli, lecz od trzech dni nie mieli jadła ni snu. Ha, trudno! Kto na wieczny odpoczynek zarobi – odpocznie. Nie pora teraz myśleć o zmęczeniu. Miarowo, zgodnie podnoszą się i opadają ramiona. Miarowo, zgodnie, choć błyskawicznie tną miecze. Kaźmierz Korsak znalazł się w pierwszym szeregu. Rozpalają mu się w duszy uczucia, o których sam nie wie. Któż by miał czas w takiej chwili zwracać uwagę na własne myśli!? Staroście czuje tylko mocną jak wino radość, że walczą tak razem, niby jedno ciało, że cała chorągiew to jedna wola i ramię. Że każdy gotów nadstawić ochotnie łba, by odparować cios grożący drugiemu, że to wspólnota silniejsza nad wszystko. Że wielki zakon rycerski istnieje jak niegdyś i że należeć doń to duma i największe szczęście...

Wirowały mu te strzępy myśli w głowie, błyskały niemal bez jego wiedzy, snuły się jakby poza nim. Wyteżał całą uwagę, by należycie odparować wroga. Zasłonić się w porę, zamachnąć, pchnąć mieczem. Gdy szabla spotykała miękkie opór ciał, nie wzdrygał się wcale. To był wróg. Wróg jest po to, by usłał się mostem do sławy, tak jak ostrożek Matissona i zamek smoleński istnieją po to, by szabla polska wypisała na nich jeszcze jedno swe zwycięstwo...

...Zwycięstwo?! Dumny młodziku! Czy się nie cieszysz za wcześnie?! Pod ostrożkiem Matissona coraz to goręcej. W pułku Butlera wybuchły od pocisku cztery beczki z prochem. Pięćset ludzi zabitych, rannych,

osmalonych... W szeregach czyni się popłoch. Król sam biegnie na miejsce wypadku, każe cyrulikom własne swoje królewskie koszule potargać na opatrunki. Matisson korzysta z zamieszania, naciera na szańce polskie, które przed godziną były jego szaniami. Władysław rzuca na atakujących ostatnie rezerwy: regiment swej gwardii przybocznej pod wodzą pułkownika Meydela. Gwardia zanurza się w dymie i ogniu. Niedługo Meydel zabity, oberst Podewels ranny, wielu oficerów pada, lecz Matisson cofa się z powrotem na sam szczyt, zostawiając trzystu zabitych i moc rannych. Równocześnie hetman litewski Radziwiłł, trwożny o syna, posyła w las na pomoc walczącym z Szeinem jeszcze jedną husarską chorągiew i oddział dragonów.

Południe mija, ubiegła trzecia doba bitwy. Niebo śmione jest dymami, świat dyszy od huku dział. Przewaga ciągle się chwieje. Mimo wysłanej husarii Tatarzy Szeina przedarli się bokiem, lasem, i wyjąc po swojemu, zachodzą od rzeki. Uderzą z tyłu na dobywających ostrożka...

Lecz nim król zdąży oderwać któryś z tak potrzebnych tutaj regimentów, by pchnąć go przeciw nowemu nieprzyjacielowi, zgiełk niespodziany wybucha za Dnieprem. Widać pędzące w popłochu pułki rajtarów, dragonów, muszkieterów. Świetne cudzoziemskie regimenty Huberta, Jacobiego, Damma... Rozsypane, bezładne, biegają nad brzegiem. Gromadami klękają na ziemi, podnoszą ramiona w górę na znak, że się zdają. Za nimi walą jeźdźcy ze spisami, na małych, kudłatych koniach. Siedzą wysoko na łąkach, wrzeszczą niegorzej Tatarów. Nie zważając na prośby rozbitych, kłują, rąbią, tratują,

spychają końmi do rzeki, która pieni się od wtłoczonego w nią mnóstwa ludzi. Ci ludzie giną. Toną. Woda ich unosi...

– Zaporoscy! Zaporoscy! – krzyczą z uniesieniem Litwini. Mołojcy rzucają czapki w górę.

Za czym błyskawicznie rozdzwiewają się, zrzucają odzież, łuki, spisy. Nago, z szablą w zębach, skaczą do Dniepru, płyną każdy za swym koniem. Pokrywają całą rzekę ruchomym pomostem. Po drodze dźgają czepiające się jeszcze nadbrzeżnych trzciny niedobitki Hubertowe. Już pierwszy szereg wyskoczył na brzeg, już drugi, trzeci, dziesiąty. Sadzą w bok ordy, podobni centaurom. Połyskują blade mokre nagie ciała, błyszczą dziko szable. Już się zwarli z Tatarami.

Z chwilą gdy ta nowa, goła, zawierucha wtłoczy się na pole walki, los przeszło trzydniowej bitwy zostaje nareszcie przesądzony. Trzymający się dotąd krzepko Prozorowski na widok porażki Huberta i Damma traci ducha, podaje tył, cofa się poza miastem ku Szeinowi. Matisson na szczycie ostrożka wywiesza białą chorągiew, którą po chwili zastępuje polska. Władysław IV, przy zapadającym mroku oświetlony luną pochodni, wjeżdża zwycięsko w mury Smoleńska.

O pół mili na wschód w swoim warownym obozie Szein pieni się ze złości. Okłada laską Prozorowskiego, wymyśla Matissonowi. Sam nie wie, co począć. Uderzyć na zwycięskiego króla? Uchodzić? Czekać w obozie? Z oblegającego samemu stać się obleżonym?

ROZDZIAŁ VIII

Tandem tuszę, iż waszmościom nie zbrakło okazji, by królewską uwagę animuszem na siebie zwrócić, a w ślad za uwagą i fawor nakłonić. Jak podobna cyrkumstancja ważną jest dla Konstantego, nie potrzebuję chyba waszmościom przypominać? Błogosławieństwo moje ojcowskie oparte na fundamencie szczerzego afektu rad przesyłam, stale je kontynuując, a kilka dukatów na godziwe ekspensa waszmościów dołączając..."

Krótki był list pana starosty rochaczewskiego. Męczył go wszelki wysiłek, przeto i dłuższa epistoła. Pani matka była równie zwięzła. Nie z obawy wysiłku, lecz że dłoń jej, odwykła od pióra, z pewną trudnością stawiała litery. „Najukochańszemu synowi – pisała – przesyłam pełne wszelkiej uprzejmości pozdrowienia zarówno od siebie, jak od jejmościanki Beaty, która za moim pośrednictwem uczciwe swe afekta wieczyście miłemu Kaźmierzowi dołącza."

Z uwagi na zimową porę listom towarzyszył ciepły przyodziewek, szuby, wyściełane futrem buty oraz moc wszelakiego prowiantu.

Obfitszym w słowa niż rodzice, chętniejszym do pisanania okazał się pan Bies Korolko. W długim elaboracie zdawał sprawę starościcowi z ważniejszych wypadków zaszłych w gospodarstwie czasu ubiegłego półrocza. Żrebczyk od Dalili zapowiadał, że wyrośnie na pięknego konia. Czyby nie warto nazwać go Samsonem? Pan starosta zostawił tę sprawę synowskiej decyzji. Śliczna klaczka od arabskiej kobyły Fatymy złamała nogę na grudzi i trzeba było ją dobić. „Splakałem się tego dnia jak bóbr – zapewniał komisarz. – Cybela ma znów szczenięta, nie gorsze od dawnych. Zeszłoroczne mło-

dziaki puszczałem już za jeleniem ze starymi. Niech się przyuczają. Trzymały ślad aż miło i bardzo zajadłe. O przewagach naszego rycerstwa wszędy już głośno, nawet dziady pieśni o obronie Smoleńska śpiewają. Gratuluję szczerze waszmościom, iż w tak młodym wieku w równie sławnej potrzebie mogliście wziąć udział. Ksiądz kapelan dobrodziej powiada, że to swoimi prośbami wymodlił, gdyż od czasu wyjazdu waszmościów codziennie Mszę świętą na ich intencję odprawia. Jejmość dobrodziejka pani starościna o to go molestowała. Nie w smak nam jeno, że Kozaków miłościwy pan tyle faworują (jeżeli prawda jest, co gadają ludzie). Podobnie z nadaniem klejnotu owemu Szpądzie czy Gądzie... Nie wyimaginujesz waść, mości starościcu, jak się to rozeszło. Rychlej niżli nowina o liberacji Smoleńska doszła nas wiadomość o uszlachceniu jednego z synów Chamowych i zrównaniu go z potomstwem uczciwym Jafeta. Jakobyś waszmość żaru podsypał, tak się wszystko na oną śpiewkę kręciło, a po kątach szeptało. Iwan i Daniło szczególnie się zrywali, że suponując, iż o ucieczce do obozu zamyślają, dybki im na noc kazałem zakładać i do gąsiora zamykać..."

„...A cóż Anton? Żyje czy nie? O Antonie ani słowa – myślał Kaźmierz, przebiegając szybko list oczami. – Można by zapytać posłańca... Et, jakoś głupio się pytać. Syruc sam z siebie wszystkiego się dowie, a ja potem nieznacznie od niego wyciągnę..."

Odwrócił się, bo drzwi zaskrzypiały przeraźliwie. Konstanty wchodził do izby.

– Listy są z domu podobno? – zapytał. – Pomimo mrozu płaszcz miał rozpięty, oczy zaiskrzone. Snadż szybko szedł.

– Są, owszem – odparł Kazmierz podając mu plik papierów. Usunął się z pieńkiem, na którym siedział, od ognia, by krewniakowi nie zasłaniać światła, lecz Konstanty z tej usługi nie skorzystał. Przysiadł na kłodzie w ciemnym kącie izby, prawie za plecami brata.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, było raczej szałasem, budą, klecią niezdarnie wzniesioną niż chatą. Z zewnątrz jednak ogacono je tak starannie liśćmi i nawozem, na gać nałożono śniegu tak obficie, że wewnątrz było ciepło mimo srogich mrozów. Mrozy trzymały, jak zwykle przy końcu stycznia. Śnieg pokrył ziemię warstwą dwu i trzyłokciową. Przysypał białym kożuchem ślady walk jesiennych, czarne wyrwy min, rowy, szanice i aprosze. Wyrównał mogiły poległych, tak licznych, że ich rachubę stracono. Jak wielu, jak wielu Polaków, Moskali, Tatarów, Kozaków, najemnych Skandynawów znalazło w tutejszych puszczech i na bagnistych nadnieprzańskich polanach kres ziemskiego bytowania! Strach powiedzieć. Strach rachować. Od krwi, co tutaj spłynęła, ziemia stała się urodzajna i można było mieć niechybnie, że z wiosną trawy wzrosną bujniej niż zazwyczaj, baldachy liści i wiotkie pierze paproci staną się jeszcze rozłożystsze, a jagody miększe.

Najwięcej ludzi poległo w drugiej połowie października, gdy król okrążył Szeina. Nim to uczynił, wypełnił dobrze wszystkie drogi. Podjazdy myszkowały, bobrowały po jednej i po drugiej stronie Dniepru, a tak tajnie, tak ostrożnie, że nieprzyjaciel celu tych zabiegów nie poznał. Najbardziej zajmowała wywiadowców Góra Skowronkowa, której lesisty czub wznosił się nad puszcza. Osiemnastego października całe wojsko królewskie rzuciło Pokrowską Górę, ruszając prosto na

północ. Zginęli w lasach. Zatoczyli sierp wielomilowy, zasłali Szeina od wschodu. Korzystając z padającego cały dzień ulewnego deszczu, Radziwiłł wprowadził na Skowronkową Górę trzy regimenty i kilkanaście dział, nie będąc zauważonym od nieprzyjaciela. Równocześnie Kazanowski przeszedł przez rzekę Kołodną i wytknął miejsce na główny obóz królewski. Dopiero nazajutrz, przy jasnej pogodzie, wojewodowie moskiewscy spostrzegli, że na zaniedbanej przez nich górze już sypią szańce Polacy. Uderzono w bębny, w dzwony. Na larum, na gwałt, na trwogę! Łodziami, tratwami, mostami pchał Szein swoich żołnierzy przez Dniepr. Wiadrami rozdawał wódkę, żeby szli jak diabły. Pijane Moskwiciny parły się ku górze, wyjąc. I ginęły, ginęły, ginęły, koszone celnymi strzałami niechybnego artylerzysty, pana Krzysztofa Arciszewskiego. Szeregi, sotnie, pułki, dywizje kładły się na zwilgłą, błotnistą ziemię, pachnącą grzybami i mchem. Kładły się na wieczny sen. Gdy ze szczytu działa wała, aż rozgrzane lufy parzą dłonie puszkarzy, z boku dopada husaria, zgarnia upartych ze stoków. Lecz Szein ma dużo ludzi. Nie oszczędza ich. Wciąż nowe watahy zastępują dawne. Na górze Arciszewskiego brakuje już prochu. Król posyła beczułki na jucznych koniach z taboru. Luzacy gnają je cwałem pod górę, krzycząc: Ho, ho! Ho, hol... Konie chrapią z wysilenia, grzęzną po kolana w opadłych liściach, w borowinowych wykapach. W ślad za amunicją zdążają Arciszewskiemu w sukurs regimenty Wejhera, du Plessy i Butlera. Ten ostatni nieliczny, bo zdziesiątkował go wybuch pod ostrożkiem Matissona.

Hej, gorący dzień! Szczęśliwy, kto po nim zobaczy następny. Szein stracił kilkanaście tysięcy ludzi. Polacy

około sześciu. Na koniec jednak wojska moskiewskie cofnęły się za Dniepr, opuszczając pozycje na Dziewicziej Górze. Objął je natychmiast Radziwiłł, ustawił działa przeciw Szeinowi, zamkniętemu odtąd bez ratunku w swoim warownym obozie, ściśniętemu jak niegdyś załoga polska w Smoleńsku.

Jeszcze parę razy wojewoda moskiewski zrywał się do walki, usiłował przerwać otaczający go łańcuch. Uderzał w dwu punktach równocześnie, aby odwrócić uwagę, lecz zawsze odparty cofał się za swe częstokoły i kobylice, pozostawiając bez liku trupów i rannych.

Wojska litewskie i koronne strzegły go jak wilcy osaczonego na lodzie łośia. Zaczęło się żmudne i nużące oblężenie. Niby ciasna sieć oblegający otoczyli obóz. Przez oka tej sieci nie przekradłby się niepostrzeżenie nawet szarak, zwłaszcza że wrychle spadł śnieg, uwiłdocił wszelkie ślady ludzkie czy zwierzęce. Kozacy tropili i wyłapywali gońców, których zrozpaczony Szein usiłował przesłać do cara, uważając tę zabawę za naj-udatniejsze łowy.

A śnieg sypał, sypał. Mróz ścisnął ziemię, aż rzeka stanęła lodem, a drzewa trzeszczały. Oblegający i oblężeni tęsknili jednako do ciepłych chat pełnych sosnowego dymu, do zimowego spoczynku, do spokojnego otulenia się kozuchem. Królewscy pobudowali sobie szałas, budy obłożone liśćmi i śniegiem, pojedyncze lub zbiorowe, na kilkudziesięciu ludzi. Od szałasu do szałasu przekopane były w śniegu ścieżki głębokie jak małe wąwozy. Kto chciał zejść ze ścieżki, kładł karpie i stapał w nich po wierzchu śnieżnej pokrywy, rozstawiając szeroko nogi. Wilki podchodziły stadami pod sam obóz, bo Gromniczna była blisko, i koniuchy strzegący szop z

końmi musieli całe noce palić ognie, a nieraz strzelać z samopałów, by odstraszyć głodnych i zuchwałych drapieżników.

Konstanty prychnął z niezadowolenia, przeczytawszy w liście stryja o nadziei na zwrócenie uwagi królewskiej. Kaźmierz zrozumiał parsknięcie i roześmiał się potakująco. Łatwo panu staroście pisać! Obaj czynili, co mogli, lecz wszyscy naokół też wyłazili ze skóry. Przykłady męstwa, waleczności, poświęcenia mnożyły się z każdym dniem, najdoświadczszej szabli trudno byłoby się wyróżnić. I tak dobrze, że w chorągwi powiada się: „Korsakowie młodziaki tego stają... Dobra krew!” Zwrócić uwagę królewską – ba, ba!

Konstanty szeleścił papierami porywczo, jakby czegoś szukając. Na koniec zapytał: – To wszystko?

– Wszystko – zapewnił Kaźmierz.

– Wszystko, co dajesz, bo już cię nie dziwuję się, że listu od przyrzeczonej mi nie pokazujesz...

– Nie miałem od Beaty osobnego listu; w piśmie pani matki jest od niej posłanie...

– Widziałem – mruknął Konstanty. W głosie czuło się drwinę i ulgę. – Więc tylko tyle? Phi!

– O co ci właściwie chodzi? – zdumiał się Kaźmierz obracając się ku bratu.

– Och, o nic... – Konstanty opamiętał się. – O cóż mogłoby mi chodzić? Dziwuję się tylko... Sądziłem, że jejmościanka Beata cię miłuje...

– Miłuje na pewno – odparł Kaźmierz z przekonaniem. – Przecież jest moją przyrzeczoną. A w liście pani matki pisze...

– Pani matka mogła pozdrowienie napisać sama przez uprzejmość. Może wcale jejmościanki nie pytała?

Każmierz zmarszczył brwi, zniecierpliwiony.

– Wiem, że Beata mnie miłuje – powtórzył stanowczo.

– Pismo, jakie dostałem, wystarcza mi. Nie spodziewałem się innego. Dziewka urodzona nie pisuje listów do kawalera, chociażby narzeczonego...

– ...Wiecześnie miłego... – dopowiedział z cicha, urągliwie Konstanty.

Czuł, że postępuje głupio, najgłupiej, że się zdradza, a nie mógł złej chęci drażnienia Kaźmierza powstrzymać. Syczał dalej:

– Skoro ci to wystarcza, no to doskonale, doskonale...
Ja bym się nie...

– Dość tego! – Kaźmierz poderwał się z miejsca. – Zwady ze mną chcesz? O co? Masz chętkę bić się?!

– Nie szukam zwady – warczał Konstanty – ale bić się mogę.

– Dojadły mi twoje dogryzki, jakbym co przewinił, kiedy przeciwnie...

– ...ty i jegomość starosta świadczycie mi dobrodziejstwa... Wiem, wiem... Mnie też one dojadły... Kiedy się rozprawimy?

– Choćby zaraz. Po co zwlekać? Syruć!

Lecz Syrucia nie było. Wymknął się cichaczem przed chwilą. Prawdopodobnie związek z jego zniknięciem miało nagłe wtargnięcie rotmistrza Puciaty. Na widok obu krewniaków zaperzonych jak koguty, trzymających szable w garści, spokojny zwykle rotmistrz uniósł się gniewem.

– Szable do pochew! – ryczał. – Hańby rodowi nie przyczyniajcie! Pod bokiemi miłościwego pana, w obozie, pojedynek – to gardłowa sprawa! To infamia! Dziecka jesteście?! Praw nie znacie? Rzucić szable, powiadam!

Rzucić co żywo! Pojednać się natychmiast! Co za bies do was przystąpił? Chce się jednemu z was być Kainem, niech się bije z bratem doma! Nie tu! Tfu! Tfu! Wstyd!

Zmieszani odłożyli szable.

– Ślepiami umykacie od siebie jak wilcy... Dłonie sobie podajcie! O co wam poszło?

Każmierz wzruszył ramionami.

– Żebym ja wiedział, o co! Nic przeciw Konstantemu nie mam, a on mi ciągle dogryza.

– Czym?

Nie odpowiedzieli. Pan Puciata spoglądał z politowaniem to na jednego, to na drugiego.

– Zdarza się, że w młodych łbach bywa pstro – zauważył sentencjonalnie – takowej jednak głupoty dawno nie spotkałem. Żeby mi się podobne spory nie powtórzyły, bo parol szlachecki daję, że związanych, jak barany jegomości ojcu na przykładne ukaranie odeślę. Nie będę za was oczami pośród koroniarzy świecił.

Burczał jeszcze dłuższą chwilę, na koniec odszedł. Każmierz przypiął karpie, narzucił szubę i wyszedł również. Czuł potrzebę powietrza, oddechu. Dygocąc wewnątrznie od uciszającego się z wolna gniewu, minął rząd bud okrytych śniegiem, szopy dla koni, sznur wart i wszedł w puszcę. Słońce właśnie zachodziło malując różowo śniegi. Na tej różowości cienie drzew kładły się ciemnym, chłodnym szafirem. Z głębi lasu szedł ostry, rosnący mróz. Z ust były obłoki pary, cienkimi szklistymi igłami zamarzały na kołnierzu. Od polskiego obozu dolatywały stłumione przez śnieg tysiączne odgłosy, szmery, skrzypy i nawoływania, lecz im dalej wchodził w las, tym głębsza stawała się wokoło cisza. W tej ciszy Każmierz posłyszał za sobą szelest kroków. Obrócił się,

sądząc, że Syruc za nim podąża. Zobaczył Konstantego. Pacholek lazał po śniegu także, ale dalej.

– Nie chciałem z tobą kłótni – rzekł chmurnie Konstanty. Brzmiało to niby przeprosiny i wytłumaczenie.

– To i dobrze – stwierdził krótko Kaźmierz i machnął ręką na znak, że sprawa skończona i nie ma co do niej wracać.

Szli dalej jeden za drugim w milczeniu. Konstanty myślał: „Chwyć go za ramię, zatrzymam, krzyknę: „Czyś ślepy? Ja ją miłuję! Miłuję! Rozumiesz?! Słuchaj! Masz wszystko: ojców, dziedzictwo, dostatki... Ja nie mam nic. Oddaj mi ją jedną... Bo miłuję ją więcej niż ty... Nie żyć mi bez niej, a ty znajdziesz sobie inną...”

Myśli te ogarniały go tak mocno, pragnienie ich wypowiedzenia było tak silne, że chwilami wyciągał rękę ku Kaźmierzowi, otwierał usta, by powiedzieć: „Stój!” – lecz wnet refleksja stulała mu wargi, opuszczała dłoń z powrotem. I cóż stąd, cóż stąd, nawet gdyby Kaźmierz się zgodził? Wszak Beata nie przystanie. Nie wyjdzie za hołysza. Powiedziała to sama wyraźnie. Należałoby więc od Kaźmierza zażądać, by wraz z nią oddał dziedzictwo... Należałoby zażądać, by w ogóle przestał być...

Zacisnął zęby, spojrział na plecy brata nienawistnie. Ten mydłek nie widzi nic, nie rozumie... Doprawdy! Gnida! Głupiec! Nie spostrzega, co się z towarzyszem dzieje, nie czuje, że tamtego trawi ogień gorzej niż piekielny...

Rzeczywiście Konstantego trawił ogień. Jesienią, czasu krwawych bojów, nie pomniał o swej udreće. Czuł się prawie szczęśliwy i spokojny. Któż by myślał odziewczynię, gdy świat palił się wokoło, a wszystkie

siły pochłaniała rycerska potrzeba? Ale bezpośrednio, zacięte walki minęły, jednostajnie, nudno poczęły płynąć dni oblężenia, nic się nie działo, nie groziło niebezpieczeństwo i dawne uczucia buchnęły ze zdwojoną siłą. Walka pochłania człowieka całego, ogarnia go, aż wszystkie inne uczucia wydają się przy niej drobne i nieznaczące, lecz gdy uniesienie bojowe przemienie, tamte sprawy powracają, biorą odwet, zgłaszają swoją supremację. I Konstany gorzał. Kojący śnieg, całunem zapomnienia otulający świeże mogiły i rozorane szańce, nie dotykał jego serca, nie przynosił ulgi.

Natomiast Kaźmierz wysapał swe rozdrażnienie, opił się bielą i w pewnej chwili obrócił się do krewniaka prawie swobodnie.

– Szkoda, że nie mamy psa – rzekł. – Ot tu ślad, nie wiedzieć czyj. Racice niby łosie, krok nie łosi. Pies by nam wyszlakował...

Wlokący się z tyłu Syruć posłyszał te słowa.

– Ja się już dawno przyglądam, proszę łaski panicza, co to za licho szło tędy... Każdy ślad zarutko poznam, ale tego nie.

– Ja też, bo niby łos...

– A człowieczy krok...

– Szpieg jakiś buty podbite racicami wdział! – domyślił się Konstany.

Syruć potrząsnął przecząco głową.

– Upraszam łaski panicza, to nie człowiek, bo się bardzo głęboko zapadał, a przecie ślad został wąski. Człowiek jakby tyle wpał, to by go rozbuchał.

– I to prawda – zastanowili się obaj Korsakowie. – Jednakże łos nie skakał na dwóch nogach?...

– Może postrzelony albo poszarpany?

– Byłaby jucha... Ej, psa! Psa!

– Jeśli kaleka, dogonim go sami. Jeżeli człowiek, dogonim go także. Chodźmy, a żywo!

Zapomnieli o niedawnym sporze, pochłonięci łowiecką ciekawością. Ruszyli za tajemniczym śladem, jak mogli najszybciej. Zwierzę czy ludzka istota, którą szlakovali, wybierała miejsca otwarte, w wysokim lesie, omijając zarośla, przez co łatwiej mogli nadążyć jej śladem.

– Stój! Kto idzie!?! – zakrzyknięto naraz z boku.

– Swój! – odkrzyknęli. To pan Żegota z oddziałem obchodził las, pilnując, czy się kto do Szeinowego obozu lub z obozu nie przebiera.

– Postrzałka tropicie? – zapytał.

– Bóg jeden wie, zali to postrzałek... A nuż jakie cygaństwo? Pójdź waszmość z nami, obaczym.

Szlachcic niechętnie wzruszył ramionami.

– Żadne cygaństwo. Widziałem ten sam ślad onegdaj. Kulawy łoś snadź się włóczy. Idźcie, jak chcecie. Ja mam tu swoją robotę.

Szli dalej. Szli dobrą godzinę. Dzień zgasł, na niebo wypłynął miesiąc. Śnieg z różowego stał się zielonawy, mróz brał coraz to silniejszy. Pomimo mrozu, że szli prędko, zagrzali się tęgo, do potu. Naraz Syruc pociągnął Kaźmierza za połę.

– Hospody, Hospody! Paniczu, złe przed nami, złe!

Ręką trzęsącą się z trwogi wskazywał przed siebie.

Bracia spojrzeli, zdrętwieli. O jakie sto kroków pomiędzy drzewami poruszała się wyniosła, nieczłowiecza postać. W księżycowym świetle zdała się wysoka, prawie na równi z drzewami. Sunęła z wolna,

pochylona silnie w przód. Ją to właśnie szlakowali. Jej śladem kroczyli diabelskim.

Obaj Korsakowie poczuli, że włosy jeżą się im na głowie. Stali jak wryci. Syruć dygotał niby w febrze i skomlał cicho:

– Uciekajmy, paniczu, uciekajmy!...

Widmo, jakby korzystając z ich zatrzymania, ruszyło śpiesznie przed siebie. Ten nagły pośpiech ocucił Kaźmierza.

– Ucieka, zatem się boi! Gońmy go! – krzyknął.

– Paniczu! Paniczu! – jęczał rozpaczliwie Syruć, ale obaj stryjeczni nie zważali na jego wołanie. Z palcem na spuście króciicy szli, nie spuszczać oczu z tajemniczej zjawy. Zbliżali się do niej z każdą chwilą. Rzekome lichy zapadało w śnieg, wyciągało sztywno i niezdarne nogi.

Naraz Kaźmierz, jakby olśniony, zakrzyknął:

– To człowiek! Człowiek na szczudłach!

– ...Na szczudłach! Oczywiście! – Teraz wszyscy trzej, nie wyłączając Syrucia, biegli tak szybko, jak tylko im na to pozwalały karpie. Dognali dziwo, obalili. Spod długiej płachty wyrżał chłop brodaty, skulony, przerażony. Końce szczudeł wyrzeźbione były przemyślnie w kształt łosiej racicy.

– Zwiąż mu, Syruć, paskiem ręce i bierz na postronek. Z Szeinowego obozu widno się przekradał.

Zawrócili, prowadząc z triumfem jeńca. Pan Żegota na ich widok aż zbladł z konsternacji.

– A, zdrajca! – zawołał. – A, pieskie nasienie! Do takiej chytrkości tylko Moskwicin jest zdolny... Gratuluję waszmościom, szczerze gratuluję. Dowie się król jegomość o waszej determinacji. Nie zataję przed nim,

żeście go sami capnęli. Pewnikiem listy ma przy sobie, jeżeli ich zjeść nie zdążył.

– Związałam mu zaraz ręce, więc nie miał kiedy... Ej, ty, kacapie! Masz listy?!

Więzień nie odpowiadał nic. Rzucił wkoło przerażone spojrzenia pojmanego leśnego zwierzęcia. Jak się później okazało, niósł istotnie pismo ukryte w podeszwie buta. Zwał się Artemij, był rodem z Dorohobuża. Wysłany z listem cara do obozu, powracał z odpowiedzią Szeina. W odpowiedzi tej wojewoda moskiewski donosił carowi o głodzie straszliwym, dziesiątkującym wojsko zamknięte w obozie. „Miłościwy jasny carze – pisał – kończą swój żywot twoje wierne raby. Jeżeli nas twoje ramię, ojczyzna najjaśniejszy, słoneczko błogosławione, rychło nie wesprze, wypadnie zdać się przeklętym Polakom...

...Ulituj się nad nami, carze, ojczyzna miłościwy...”

Wiadomość o schwytaniu gońca obiegła miasteczko, wywołując żywe zadowolenie. Przemysłnego szlachty, chłopów Artemij a, po dokładnym wybadaniu powieszono naprzeciw szańców nieprzyjacielskich, tak by Szeinowi ujrzeli naocznie niefortunny koniec swojego wysłańca, a nadzieję na otrzymanie carskiej pomocy stracili. O Korsakach poczęto mówić szeroko, sławiąc ich odwagę. Męstwo w boju stanowiło istotnie cechę tak ogólną, iż trudno było zadziwić nim kogokolwiek – natomiast przewyciężenie wrodzonego lęku przed nieznanym stworem, pościg za tym, co się wydawało zjawą, był wypadkiem niepowszednim i godnym rozgłosu. Sam król zapragnął poznać obu rezolutów. I tak nieoczekiwanie szybko spełniło się pragnienie jegomości pana starosty rochaczewskiego.

Zaprawdę, szczęsne zdarzenie! Choć Kaźmierz pierw-

szy krzyknął w lesie: „Gońmy za nim!” – teraz usuwał się w cień. całą zasługę przypisując krewniakowi.

– Nie bądź głupi! – mówił, gdy Konstanty, zawsze hardy, zachał się na to i zżymał. – Bardziej ci łaska pańska potrzebna niż mnie... Kto wie, może się jakiego urzędu ziemskiego dochrapiesz?

Od ucałowania dłoni królewskiej do otrzymania urzędu była wprawdzie daleka droga, niemniej pierwszy krok został na tej drodze zrobiony. Pierwszy krok bywa pono najtrudniejszy. Oby nadarzyła się teraz okazja do dalszych!

Okazji jednak mogło zabraknąć, gdyż oblężenie miało się ku końcowi. Szein w przejętym liście nie przesadzał. Gonił już ostatkiem sił. Nareszcie pierwszego marca nastąpiła ostateczna kapitulacja obozu. Zmurszały śnieg zalegał jeszcze dno lasu grubymi zaspami, lecz na polanach ustąpił już miejsca zeszłorocznej trawie. Dniepr był wzdęty, suty, groźny. Nad szumiącą falą na wzgórzu stanął król z bratem, królewiczem Janem Kazimierzem, z kanclerzem Zadzikim przybyłym świeżo z Warszawy, obu hetmanami i najprzedniejszym rycerstwem. Dwie chorągwie husarskie stanowiły asystę królewską. Wiatr łopotał skrzydłami orlimi, podrywał skóry tygrysie i wilcze. Od wzgórza, wzdłuż rzeki stanęło szpalerem dwanaście tysięcy wojska. Król siedział na białym neapolitańskim ogierze o małej garbonosej głowie, wyniosłej szyi i grubym zadzie. Grzywa i ogon rumaka barwione były purpurą. Idąc stępą ogier podnosił przednie nogi wysoko i kroczył dumnie, tanecznie. Przyuczać konie do takiego kroku umiano tylko w Hiszpanii. Król patrzył bystro przed siebie. Twarz jego,

nie oszpecona jeszcze późniejszą otyłością, była spokojna, pełna poczucia siły i słuszności.

Wojsko moskiewskie znędzniałe, stopniałe, sunęło bez muzyki i bez broni, ze zwiniętymi na znak żałoby sztandarami. Obok siebie szli pieszo: Szein – wyschły, siwy, niefortunny i genialny, Izmailow, Prozorowski i Bieliowski. Stanęli przed królem, a chorążowie składali u stóp Władysława sztandary. Sztandary carskie, buńczuki tatarskie, proporce, chorągwie zaciężnych regimentów Charlesa Huberta, Matissona, nieboszczyka Sandersona, nieboszczyka Kitta, Lesleya, Jacobiego i innych. Złożono ogółem chorągwi pułkowych sto dwadzieścia dziewięć.

Każmierz Korsak patrzył na to i serce biło mu mocno. Zdało mu się, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie szczęśliwy. Doznane kiedyś w toku bitwy uczucie dumy z przynależności do swego narodu powróciło, rozszerzyło się, objęło świadomość. Zali jest na świecie nacja, co by ze szlachtą polską porównać się mogła? Nie ma, nie ma i nie będzie. A któż by zdołał tyle przenieść i dokonać? A gdzież znajdziesz tyle męstwa, poświęcenia, tyle rycerskiej najprzedniejszej cnoty? Wraz z tym uczuciem rozparła go radość, że jest sobą samym, wolnym szlachcicem polskim, Kaźmierzem Korsakiem, urodzonym i herbownym. Nie chciałby być nikim innym za wszystkie skarby na świecie. Ani królem korsykańskim, ani cesarzem niemieckim. Miłość do ojczyzny, ojczyzny mężnych i wolnych, przepoiła go, wzruszyła do łez; poczuł ochotną gotowość położenia życia za kraj, za króla, za wielkość Rzeczypospolitej. W sercu bezwiednie składał ślubowanie, że miłość owa będzie w nim zawsze żywa i najpierwsza...

Pokonani już odeszli. Teraz rycerstwo śpiewało Te Deum. Potężny głos huczał ponad rzeką, nad smoleńskimi murami, spływał z Dnieprem w Ukrainę. Kaźmierz dołączył się do hymnu, grząc pełnym głosem, aż koń jego strzygł uszami. W pewnej chwili obrócił się w siodle, by spojrzeć na Konstantego. Choć niemiły, krewniak na pewno czuje to samo co on. Miał sędzica jednak spotkał wzrokiem markotną, osowiałą twarz Syrucia, nie licującą z ogólnym nastrojem.

„Kaźmierz się raduje, tylko taki cham kozła stawia, nie rozumiejąc” – pomyślał Kaźmierz z gniewem i głośno rzekł:

– Ty durniu, nie cieszysz się, że król jegomość wielką wiktoria odniósł?

– Co się mam cieszyć? – odparł pacholek. Że pod komisarski bat wrócę?

I szybko cofnął się z koniem, bo starościc, oburzony, zamierzył się czekaniem. Otóż, otóż rozumowanie ludzi niskiej kondycji, pospółstwa, nad którym on, Kaźmierz, niepotrzebnie się nieraz lituje! Wiekopomne rzeczy się święcą, triumf Rzeczypospolitej, a taki syn myśli o sobie i o komisarskim bacie... Ano, niech myśli. Wróci podeń rychło... Wojna skończona. Na Wielkanoc wszyscy doma się już znajdują...

Na myśl o domu ciepła fala uczucia zalała mu serce.

ROZDZIAŁ IX

Nie wrócili jednak tak szybko, jak się spodziewał, i pani starościna darmo wyglądała jedynaka piekąc świąteczne placki i kołaczki. Car nie uznał kapitulacji Szeinowej i zarówno wojewodę moskiewskiego, jak pozostałych wodzów kazał zaknutować na śmierć, wzbraniając się podpisać pokoju. Zatem, by go do rozumniejszego myślenia przymusić, król nie rozpuścił wojska, prowadząc je dalej trzema kolumnami. Kasztelan kamieniecki Piasoczyński z częścią wojsk koronnych ruszył na Dorohobuż, pan Mikołaj Abramowicz na Biełoje, król z hetmanami ku Polanówce. Rotmistrz Puciata i obaj Korsakowie znaleźli się w pierwszej kolumnie.

Acz Dorohobuż nie mógł się równać co do obronności i wielkości ze Smoleńskiem, obleganie grodu szło tępo. Załoga moskiewska, powiadomiona już o losie Szeina, walczyła zawzięcie, nie mając nic do stracenia, rycerstwo polskie zaś nacierało miękko, uważając właściwie wojnę za skończoną. Czas mijał. Była już połowa kwietnia. Na drzewach strzelały pąki. Znikły już dawno ostatnie reduty śniegu. Gdy połowa towarzystwa zabawiała się strzelaniem do murów grodu, druga połowa patrolowała starannie okolicę, krążyły bowiem uporczywe pogłoski, że car zebrał wielkie wojsko i niespodzianie zamierza uderzyć z boku. Toteż pan kasztelan kamieniecki surowo przestrzegał, by podjazdy ruszały codziennie na zwiady.

Z tych podjazdów towarzysze wracali stąpiani w błocie, wychłostani smagającymi twarze gałęziami, z uszami pełnymi ćwierkania ptaków i ciurkania wody. Spoglądali z niechęcią na gródek, ani myślący o kapitulacji, i po cichu sądzili, że pora byłaby już powracać do siebie.

– Chyba Syrucia pchnę do domu z listami – postanowił któregoś dnia Kaźmierz. – Dziwują się tam pewnie, czemu nas nie widno...

– Kiedy wyślesz? – ożywił się Konstanty.

– Bo ja wiem, jutro, pojutrze, skoro pismo zdołam wykoncypować...

Kaźmierz rzucił się na kupę zimowej odzieży zwalanej w kącie namiotu, służącej mu za łożo, i zasnął od razu, zdrożony będąc całym dniem spędzonym na koniu. Konstanty siedział nieruchomo, patrząc tępo przed siebie. Od pewnego czasu czuł się bardzo źle, tak iż nie wyobrażał sobie, by mógł czuć się gorzej. Chwilami ogarniało go uczucie podobne do ostatecznej rozpaczyny. Może wiosna i ciepło, i ciekoty ptasie, i nieustannie napotykanne zaloty wszelkiego zwierza leśnego sprawiały, że miłosna jego tęsknota wzmogła się nad wszelką miarę i wytrzymałość człowieczą. Obok zaś tęsknoty zgryzota go żarła, beznadziejna, uporczywa. Wprawdzie na wojnie uzyskał dobre imię, pochwycenia Artemija sam król mu winszował, przyjmą go teraz z otwartymi ramionami do każdej chorągwi, zostanie może nawet rotmistrzem albo porucznikiem, ale co z tego? Nie przybliży się przez to do Beaty. Więc wyrzec się jej i nie wrócić? Czy wrócić po dawnemu jako krewniak-rezydent, po dawnemu patrzeć na szczęśliwe narzeczeństwo Kaźmierza i bliski jego ślub?... Nie! Za nic, po stokroć za nic!

Wolej jej nie widzieć wcale!

...Nie widzieć wcale Beaty...

...To wolej zamrzeć od razu, świata nie oglądać. Świat cały cenny wtedy tylko, gdy jest na nim pożądana... Co życie warte bez niej?... „Będiesz moją, choćbym miał Kaźmierza zabić” – powiedział jej na pożegnanie.

Szczerze powiedział, tak myślał. Ale inna rzecz zamierzać, a inna zamierzenie wykonać. Łatwo zabić wroga w walce, bardzo trudno być mordercą... Gdybyż Beata zechciała na niego poczekać! Gdyby zawierzywszy, że Konstanty zdobędzie fortunę i sławę, zerwała zaręczyny z Kaźmierzem, a bodaj odwlekła ślub... Gdybyż zechciała...

...Jak ją nakłonić, przekonać, namówić?... Kaźmierz posyła gońca... Może skorzystać z tego i napisać?... List do Beaty?... Pacholek odda jej tajemnie... To Syruć ma jechać, Syruć jest niegłupi. Sprawi się należycie za talara... Trzeba pisać, pisać, pisać...

...Jak pisać?... Wszystko, otwarcie... Nikt tego listu prócz niej oglądać nie może, więc nie potrzeba sobie wędzidła nakładać, dukać ceremonialnie: „Jejmościanko dobrodziejko!” Napíše po prostu: „Beato!”

...Kiedy pisać?... Ależ zaraz, zaraz! Ten tu śpi jak suseł, nie obudzi się na pewno... Zaraz, bo szkoda tracić każdej chwili, bo jutro mogą wyprawić z podjazdem, a tymczasem Kaźmierz chłopca wyśle nie mieszkając...

Gorączkowymi fuchami wydobył z podróżnego sepetu papier, inkaust w pękatej butli (jedno i drugie zabrano dla porządku, lecz dotychczas nie były używane ani razu) i pióro. Do licha! Złamane! Trzeba je zastrugać. Niewprawną dłonią zacinał, skaleczył się w palec, rozcapierzył pióro. Było na nic. Na szczęście na dnie skrzyni leżało ich więcej. Wyciągnął ostrożnie, by szelstem odsuwanych przedmiotów nie zbudzić krewniaka. Na koniec usiadł na kulawym stolku i rozłożywszy papier na wieku skrzyni, jął pisać. Palec skaleczony trzymał przy ustach, bo krwawił... „Mógłbym epistołę własną posoką napisać, niby cyrograf na duszę” –

pomyślał. Ręka mu drżała, litery kładły się nierówno. Mniejsza o to, mniejsza o to! Byle zrozumiała, pojęła, przeczytać zechciała!... Pisał:

„Ulubienie moje! Życ dłużej bez ciebie nie mogę. Nie dbam, co powiesz spojrzawszy na to moje pismo. O jedno proszę: byś przeczytała do końca, a z uwagą. Zza grobu przyjdę do ciebie, jeśli tego nie uczynisz. Przeczytaj, miła, kreuję cię trybunałem. Srogiś trybunał, bo życie moje od ciebie zależy. Nie dla figury powiadam o życiu, ale sprawiedliwie, bo jeśli mi nie odpowiesz albo odpowiesz opacznie, śmierć sobie zadam bez zwłoki. Zamiłowałem cię bardzo od pierwszego zobaczenia. Kaźmierz nigdy nie miłował cię jak ja, ani tak miłować będzie. Posłuchaj teraz, co chcę...”

Pisał długo. Pióro skrzypiało, przyskało. Kaźmierz spał nadal beztrąsko. Konstanty skończył, przetarł dłonią zroszone potem czoło, wyciągnął z sepetu воск czerwony i zatlił łuczywo. Czerwony воск rozgrzany kapał na złożony papier. Przyciśnięty sygnetem, rozstąpił się w kształt do serca podobny. Stąpając ostrożnie, na palcach, Konstanty włożył z powrotem do sepetu papier, butlę, воск i pióro. Zamknął skrzynię i wysunął się i namiotu. O parę kroków Syruć, siedząc na ziemi, czyścił potężną zbroję starościca. Konstanty podszedł ku niemu.

– Panicz chce cię posłać i listami do Głębokiego – zaczął bez wstępu.

– Słucham pokornie łaski panicza, panicz nic mi jeszcze nie mówił...

– Skoro ja ci mówię, to widno tak jest. Uważaj. Dostaniesz też list ode mnie. Schowasz go osobno i nie pokażesz nikomu... tylko...

Zatrzymał się, odchrząknął. Nielekko było wtajemniczać sługę w najtajniejsze swoje sprawy. Pacholek czekał służyć, nie okazując zdziwienia.

– Nie pokażesz nikomu – ciągnął Konstanty – aż zdybiesz chwilę, że jejmościanka panna Beata będzie sama, w ogrodzie czy w polu... Całkiem sama, rozumiesz?... Wtedy jej to pismo oddasz i powiesz, że to ja dałem... Pojąłeś?

– Jużci, co pojąłem. Jaśnie panience, żeby nikt inny nie widział...

– Masz tu talara. Sprawisz się dobrze – dorzucę drugiego. Sprawisz się źle – skórę zdejmę... Jeśli komu słowo piśniesz, ubiję jak psa.

– Co bym miał piskać... Oddam list jaśnie panience i już.

– Ale sekretnie, osobno...

– Toć rozumiem.

– Tu jest list. Nie wiem, kiedy cię panicz wyśle. Może mnie wtedy w obozie nie być, dając od razu. Gdzie go skryjesz?

Syruć rozpiął sukmanę, ukazał wszytą od wewnątrz kieszeń płócienną.

– Nie wypadnie? – troszczył się jeszcze Konstanty.

– Zaśby wypadł! To mocna, głęboka kieszeń...

Chłopiec wsunął ostrożnie pismo i zapiał kapotę.

Konstanty śledził jego ruchy. Twarz miał posepną.

Stało się. Kości rzucone. Co mu teraz Beata odpowie i czy odpowie?...

Syruć czekał jeszcze chwilę mnąc czapkę w rękę, na koniec widząc, że dalszych rozkazów nie otrzyma, powrócił do czyszczenia pancerza. Za nimi rozległy się kroki. Konstanty obejrzał się.

– Biegaj żywo, zbudź panicza rzucił do pacholka. – Pan rotmistrz i pan Sulmirski idą do nas w odwiedzin.

Po czym, oblókłszy z trudem twarz w uśmiech, sam poszedł naprzeciw gości.

Wino było natoczone, pierniki (przysłane zimą jeszcze z głębockich zapasów) podane. Panowie zasiedli przed namiotem, bo dzień był gorący i parny, jak letni. Syruc przeniósł się z robotą nieco dalej. Tak, by na oczach nie siedzieć, a co mówią, słyszeć. Był markotny. Wcale go nie ucieszyła wiadomość, że w najbliższym czasie ma jechać do domu. Czy też go z Głębokiego odeślą z powrotem paniczowi? Może nie odeślą. Skończone już wojowanie! A tak marzył, że się wsławi, że zyska szlachectwo jak czeladnik Szpada! Cóż, nie poszczęściło się... Zostanie nadal poddanym. Na pociechę przypomniał sobie otrzymanego talara. Wyciągnął go z kieszeni, spróbował zębem, czy dobry. Owszem, uczciwy talar. Pan by innego nie dał. One już takie, że nie szachrują. Nie cygany.

...Talar wielka rzecz. Może by z nim zbiec? Nie wracać wcale do Głębokiego?... Będzie miał konia z siodłem i talara. Nim się spostrzegą w jego ucieczce, minie tyle czasu, że zdąży odjechać Bóg wie gdzie... Ejże, ejże, może zbiec?!

...Ale dokąd? Gdzie się oprze? Gdzie zatrzyma?

Wszędzie poznają, że biegusem jest bezpańskim. Chyba do obcych uciekać? Do Moskali czy do Szwedów? Co będzie u jednych lub drugich robił? Trafi tam może na sroższych panów niż dotychczasowi... Oj, dolo, dolo... Nie ma gdzie uciekać...

Rozzalił się sam nad sobą. A ten list, zapłacony tak suto, talarem... Też mogą z niego wynikać kłopoty.

Sędzic ma jakieś sprawy z panną. Pomiedzy służbą głębocką gadano już o tym dawno. Pokojowcy zauważyli, że między młodymi panami nie ma ani krzty przyjaźni i że panna temu winna. Panowie często wadzą się o dziewczki. Człek pańszczyźniany nie ma na to ni czasu, ni ochoty. Jaką mu tam żonę przeznaczą ojcowie czy podstarości, taką ma. Inaczej u panów. Nie dziwota. Mocne są, dobrze karmione, wypoczęte. Jurność ich nosi. Gotowi sobie do oczu skakać o byle kobiety...

...Panna albo list weźmie, albo się zgiewa i każe posłańca osmagać... Jejej! Nieszczęsna moja głowa!... Cóż ja pocnę, sierota?... – biadał, po raz pierwszy ujrawszy tę możliwość swojej misji. – Każe oćwiczyć i wygonić z psiarni na folwark... Hospody!"

Przed namiotem, popijając wino, panowie gadali:

– Wstyd szczery, żeby przed nami, którzyśmy Smoleńsk zdobyli, ten gródek tyli czas wytrwał... – narzekał rotmistrz Puciata.

– Wielki dziw parsknął pan Sulmirski. – Artylerzyści strzelają jak z łaski, a nasłuchują tylko, czy pokój już zawarty i czy można wracać doma...

– Każdy by już rad wracał – westchnął Kaźmierz. – Mnie samego, przyznaję, aż rwie, że to już wiosna ubiega, że siewy pewno pokończyli, a beze mnie...

Pan Sulmirski odstawił cynowy pucharek.

– Wszyscy podobnie powiadają, wszystkich jednako rwie i to jest wielkie nieszczęście. Przez tę pochopność możemy frukta odniesionej wiktorii utracić... Nie daj Bóg; żeby pokój mdlejszy był, niżli orężna przewaga wskazuje... Panowie towarzysze winni się w cierpliwość uzbroić. Skoro ojczyzna miła potrzebuje, warto stać choćby dwa i trzy lata, a ciągle ochotnie...

– Święte słowa waszmość pana. Od tego najjaśniejszą ojczyzną matkę mamy, żeby dla niej niczego nie szczeniść... Jak hetman Żółkiewski powiadał: Dla niej krwi rozlać, żywota położyć nie żałuj...

– Jaż bym żałował! – bronił się Kaźmierz. – Co jeno mam, to ojczyźnie oddam. Tak sobie ino gadam, że cni się za domem... Bo się cni...

Syruć czyścił zbroję piaskiem i popluwał na nią, żeby zwilżyć. Przysłuchiwał się przy tym rozmowie. „Cięgiem o tej ojczyźnie gadają – myślał. – Pełno jej u nich w gębie... Nie dziwota... Żebym był panem, też bym ojczyzną miłował. Bo to im źle? Mają wszystko... Mnie ta jedno, gdzie jestem, w tej ziemi czy w cudzej, byle nikt z batem nade mną nie stał i żeby mnie bieda nie żarła... Ale ona chłopa żre wszędy...”

Dotykał ręką kieszeni, gdzie spoczywał list i talar, a z tym dotknięciem przypominał sobie całą sprawę i znów się martwił. Co z tego poselstwa wymknie? Może należałoby powiedzieć paniczowi o liście? Hospody! Nie można. Sędzic ubiłby na pewno. Od razu...

Czyścił nadal, popluwał, tarł zawzięcie, jakby z urazą. Przed namiotem pan Sulmirski ciągnął:

– Indyferencja panów towarzyszy jest i z tego niebezpieczną, że nieprzyjaciel może nas zająć niespodzianie, kubek w kubek tak, jak my zaszedliśmy Szeina nieboszczyka...

– Co za nieprzyjaciel? O kim waszmość mówisz?

– O carze mówię, którego niepotrzebnie lekceważym. Szein zniesiony, ale ludzi jeszcze w Moskwie nie zabrakło. I dukatów w skarbcu carskim też... Za dukaty można wystawić łącno nową armię... Bo nie suponujecie chyba, waszmościowie, żeśmy zniesli również

wszystkich Duńczyków, Szkotów, Niemców, jacy na świecie żyją. A do wojska radzi się oni zaciągają, nie mając co w domu zjeść...

– Tego nie suponuję – zaprzeczył rotmistrz Puciata. – Argumenta waści dobrodzieja słuszne, owszem, od tego wszakże nasze podjazdy czuwają...

Pan Sulmirski machnął ręką.

– Nie bardzo one czuwają! Żeby pan kasztelan kamieniecki nie pilnował, dawno by przestały chodzić, uważając, że to zbytńia fatyga... Ależ parno dzisiaj! Jakby się na burzę zbierało...

– Niechby była burza. Dobra wróżba – grzmoty w kwietniu...

– Nie zawsze. Jak w której kwadrze... Bywa, że tylko urodzaj gadów i robactwa zapowiadają... A teraz co mamy? Nów?

– Nów od środy. Pamiętam dzień, bo wyszedłszy od pana Arciszewskiego musiałem cały czas lewe oko przymykać, żeby nowika źle nie zobaczyć.

– Cichajcie no! O burzy mówim, a zda mi się, że już grzmi...

– Armaty od twierdzy słyhać.

– O, nie, nasi dzisiaj nie strzelają, że to sobota i po południu... Moskwiciny zaś, rade, że mogą prochów zaoszczędzić, na pewno też cicho siedzą.

– Czy grzmoty, czy strzały słyhać... O, teraz wyraźniej...

Podnieśli wszyscy głowy nasłuchując.

Pan Sulmirski poderwał się pierwszy, rzucając kubek na ziemię.

– Na Boga! – krzyknął. – To nie nasze działa... W tej stronie nie ma baterii! To nieprzyjaciel podchodzi! Do koni! Do koni!

Zaroilo się wokoło. Pułkownik i rotmistrz pognali każdy do swoich. Syruć biegł z pancerzem starościca w połowie wyczyszczonym, świecącym, w połowie zasutym piaskiem. Biegając, ocierał go rękawem. Inni pachołcy kręcili się jak w ukropie, kielznając konie, kulbacząc, ściągając popręgi. Strzały słycać było wciąż w tej samej odległości, regularne salwy dawały do poznania, że prócz artylerii bije się tam piechota. „Na pana kasztelana uderzyli” – domyślał się Kaźmierz, siadając na konia. W tejże chwili z prawej strony rozległo się wycie ordy. Tatarzy! Zaszli sierpem, są tuż, tuż! Siedzący już w siodle towarzysze zbierali się pędem w szereg, ustawiając się czołem do nieprzyjaciela. Pan Puciata wypadł z gaju z resztą głębockiego konnego oddziału.

– Naprzód! – krzyczał – Naprzód! Nacierać!

Rozumieli, czego chciał. Tatarzy odcięli ich od pozostałych chorągwi. Muszą się przez nich przerać. Innego wyjścia nie ma, zwłaszcza że od tyłu dolatują nowe wrzaski. Wycieczka z twierdzy! Trzeba rozdzielić się na dwie połowy. Konstany z częścią jazdy przeciw załodze, Puciata z Kaźmierzem przeciw ćmie tatarskiej. Nie wiadomo, którzy znajdą się w gorętszym tańcu. To pewne, że jedni i drudzy w dobrych są opalach. Cud będzie, jeśli ktokolwiek z nich żywy zostanie. Nie dbając o to (możliwość śmierci nie bywa troską rycerza) ujmują mocno kopie, zniżając je w pół ucha końskiego. Bij zabij! Na pohybel poganom! Konie biorą pęd największy. Brzuchami muskają trawę. Wiatr świszczy w uszach.

Pędzą przeciw siebie. Tatarzy wiele liczniejsi, Polacy tętnią żelazem. Od napastników wyleciał rój strzał, zaciemnił niebo niby lot szarańczy. Już się dopadli. Konie przysiadły na zadach. Tatarzy znanym manewrem rozstępują się na boki, by wpuścić jazdę i zamknąć się za nią. Nie chcą dopuścić do tego Polacy. Trzymają szerokie czoło. Dopieroż rzeźba, łomot, siekanina! Tu już nie o harce idzie, nie o wykazanie odwagi czy cnoty – o życie, o samo życie... Odwrotu nie ma. Przerąbać się trzeba lub zginąć. Oddział topnieje jak śnieg na słońcu wiosennym, a końca nawały nie widać. Nie wiadomo też, co z tamtymi? Zatrzymali wycieczkę czy polegli? Miecze migają szybkie niby błyskawice. Konie walczą wespół z jeźdźcami. Wspinają się, miażdżą kopytami skośnookie żółte głowy. Kaźmierz Korsak rąbie na odlew Tatarza, który mu zajeżdża z prawej, a równocześnie drugi godzi sztychem w nie osłoniony prawy bok rycerza. Szybki jak ryś, jadący tuż za panem Syruć sięga pohańca, przecina mu ramię. „Bóg zapłać! – krzyczy Kaźmierz. – Wolnyś!” – I walczą dalej. Przepowiadana przez pana Sulmirskiego burza nadchodzi, niebo się mroczy, zmierzch szybciej zapada. Pierwsze ciężkie krople i nagła ulewa pomieszana z gradem poczyna łoskotać po zbrojach, po hełmach. Robi się ciemno i biało zarazem. Burza huczy. Wicher szarpie drzewa w lesie. Ostre gradowe kulki tną twarze jak nożem. Mimo całej zawziętości ni Polacy, ni Tatarzy nie są zdolni walczyć dłużej. Konie obracają się tyłem do wiatru. Jeźdźcom deszcz i grad zaślepiają oczy. Uratowany od działek przebija się przez ulewę, ginie w lesie, korzystając, że żenią.

– Gdzieś niedaleko są budy smolarskie – przypomina sobie rotmistrz. – Widziałem je kiedyś, będąc tu z podjazdem. Musimy się do nich schronić.

Skrecają w las. Szczęście im sprzyja, bo po krótkiej chwili widzą przed sobą majaczący w mroku długi niski dach. Wejście dość wysokie, by można wprowadzić konie. Grad wali w chruściane poszycie szopy, jakby kto kamieniami sypał – ale wewnątrz prawie nie zacieka. Można odetchnąć i zastanowić się nad położeniem.

Wydostali się i żyją. Oto najważniejsze. A co z resztą wojska? Czy kasztelan zdążył w porę zebrać chorągwie do kupy? Gdzie reszta głębozczan z Konstantym? A gdzie orda? Roztrzasał te pytania pozwlekali z siebie przemoczoną odzież, zabijając ręce dla rozgrzewki, bo ziąb ich przenikał. Powietrze ochłodziło się nagle, jak zwykle przy gradzie. Szczękali wszyscy zębami, zwłaszcza że rotmistrz ognia nie pozwolił rozkładać, słusznie mniemając, że może to spowodować nieprzyjaciela. Ciemno było tak, iż własnej ręki nie dojrzałeś. Burza w międzyczasie zaczęła przycichać i tylko oddalające się błyskawice oświecały wewnątrz szopy. Po kątach leżało sporo mierzwy i zeszlórocznego siana, przeto jedni towarzysze zagrzebali się w nim dla ciepła, inni wycierali sianem boki skulonych, osowiałych koni..

– Do rana nie ruszymy się stąd – zawyrokował pan Puciata. – Po ciemku łatwo w łapy nieprzyjacielowi wleźć. Warty wystawimy, sam będę też czuwał, a waszmościom radzę zasnąć, bo od rana pewnikiem nowa się zacznie mitręga...

Nie potrzebował zalecenia powtarzać dwa razy. Ludzie byli setnie przemęczeni. Skulili się, ścisnęli do kupy, zasnęli twardo od razu. We śnie każdy szukał bliskości z

drugim, by się jego ciepłem ogrzać. Kaźmierz z Syruciem oparli się wzajemnie o siebie plecami i tak spali, niepomni, kto jest pan, kto sługa. Pan Puciata nie spał. Stojąc we drzwiach nasłuchiwał odgłosów, jakie noc niosła. By go sen nie zmorzył, odmawiał zdrowaśki licząc dziesiątki na palcach. Odmówił jedną koronkę, drugą, trzecią, w połowie czwartej wydało mu się, że słyszy jakąś wrzawę. Wyteżył ucho, bystre jeszcze i chwytlive. Znow bitwa. Bitwa w tej samej stronie, co z wieczora. Widać Tatarzy znowu się zwarli z kasztełańskimi. Biją się nasi... Skoro się biją, nie może tam braknąć nikogo. Niewiele tu szabel, przecie nawet taka garstka może los walki przeważać...

Nie wahając się dłużej, począł budzić śpiących. Ledwie zdążyli zapaść mocno w sen, więc niełatwo przychodziło im się ocknąć. Posłyszawszy jednak, o co chodzi, pozrywali się na równe nogi, chwyтали szable, przecierając równocześnie nieprzytomne ze snu oczy, odziewając się pospiesznie w wilgotne odzienie. Kaźmierz po ciemku nie mógł znaleźć przedniego płątu pancerza. Syruc chciał skrzesać ognia, ale rotmistrz nie pozwolił. Niektórzy, już gotowi, wyprowadzili konie z szopy i Kaźmierz zaklął pod nosem.

– Nie szukaj – mruknął. – Szkoda czasu, pojedę bez blach...

Odziewał się Spiesznie, wciągając, co znalazł pod ręką. Ramiona z trudem wchodziły w zmoczone i z tego powodu zapewne ciasne rękawy. Na koniec wszyscy byli gotowi i kulbaczyli na dworze konie. Noc była ciemna wciąż, choć oko wykol. Ciężkie chmury sunęły nisko nad lasem, wróżąc ponowną ulewę. Przebrali się ostrożnie przez las na gościniec, znajomy z wczoraj, pokryty

majaczącymi w mroku kałużami. Bitwa toczyła się gdzieś niedaleko. Słysząc było charakterystyczny jej zgiełk, złożony z okrzyków jeźdźców, kwiku koni i szczeru oręża. Goście wyprowadził ich na polanę, tę samą, na której połowa ich legła wczoraj. Stali na skraju lasu. Na otwartej przestrzeni było nieco jaśniej, dawała się odróżnić linia widnokregu, a gdy oczy ich przywykły do ciemni, rozpoznali nawet walczące kłębowisko jeźdźców, nie oddalone więcej niż o parę staj.

– Nie wiedzieć, kto jest od naszej strony – nasi czy poganie —i rozmyślał głośno rotmistrz – W każdym razie uderzymy ostro a szeroką ławą i krzyżąc, wiele sił stanie... Jeśli to nasi, odkrzykną od razu i zdołamy wstrzymać konie... Jeżeli pogany, natłuczemy ich sporo, nim się spostrzegą, że nas tylko garstka... Rozciągnąć się, waszmościowie! W Imię Boże! Naprzód!

Ruszyli cwałem, ściągnając mocno wodze, by koń się po ciemku nie potknął na niewidocznym pieńku czy korzeniu. Krzyżeli: „Bij, zabij!!” i „Trup! Trup!” i „Bogurodzico!” Konie chrapały skacząc przez niewidzialne przeszkody. Widno na łące leżały wczorajsze trupy ludzi i koni. „Ała! AłaL.” rozległo się tuż przed nimi. Dobrze trafili. W plecy poganina. Pędząc różniali na tle nieba kołyszający się tuż blisko buńczuk.

Ejże! To przednio! Wpadają na samego chana. „Bij, zabij!” „Trup! Trup!” Jacyś ludzie, jakieś konie. Szable łomocą po czychich grzbietach, po karkach. Buńczuk oddala się szybko, rozkołyszany. Z naprzeciwnika słysząc radosne okrzyki. Z niewidocznych w cieniu wrogów mało który stawia opór, tak ich zaskoczył niespodziany napad. Przypuszczają, że to król z całą potęgą nadciągnął

od Polanówki. Zmykają chyżo, po tatarsku. Polacy jedni i drudzy jadą im na karkach, nie przestając zwoływać się, by nie rąbać swoich.

Kaźmierz Korsak ogląda się za rotmistrzem Puciatą z uznaniem. Dzielny stary, mądry żołnierz! Jak dobrze ich poprowadził! Lecz pana Puciaty nie widać. Koń jego biega tam i sam luzem z rozbujanymi strzemionami. Snadź stary upadł. Kaźmierz zawraca, woła na Syrucia. Ale pachotka ani śladu, zagnał się gdzieś daleko za uciekającymi. Starościc sam schodzi z konia i szuka ojcowego przyjaciela. Mrok już rzednie, majowa noc nie jest długa. Po chwili udaje mu się odnaleźć rotmistrza. Jest ciężko ranny, lecz przytomny.

– Kazik – szepcze, poznawszy nachylającego się nad nim – Kazik, weź komendę oddziału. Tobieć oddaję... Zwołaj teraz ludzi... Niech się za daleko nie zapędzają... To zdrażliwie... Mnie ostaw...

– Nie ostawię. Zaraz tu kogo zawołam i przeniesiemy waści do kwatery.

– Kazik, słuchaj rozkazu. Żołnierzowi milej umierać na ziemi niż na kwaterze. Ziemia dobre wezgłowie. Ludzi prędko zbieraj, bo ci się cały oddział potraci... Jak ty wyglądasz?

– Abo co?

– Nic, nic... We łbie mi się widno miesza... No jedź, jedź...

– Jadę, a tu zaraz kogo przyślę, – Kaźmierz rusza przed siebie, zwołując swoich. Pomału ściągają. Są prawie wszyscy, którzy nocowali w szopie. Tylko pana Puciaty brak. Dwóch towarzyszy już go poniosło na noszach. Kaźmierz wraca na polanę. Tam już stoi cho-
ragiew pana Sulmirskiego – on to bowiem ścierał się z

Tatary; i sam kasztelan kamieniecki nadjechał przed chwilą. Jest i reszta oddziału z Konstantym.

– Żeby nie głęboczanie, którzy na pogan z tyłu uderzyli, nie odparlibyśmy pohańców – powiada uczciwie pan Sulmirski do kasztelana. – I dwudziestu ich nawet nie było, a dywersję sprawili za dobrą chorągiew...

– Wiwat głęboczanie! – krzyczą wszyscy wkoło. – Gdzie dowódca!/? Gdzie dowódca!/?

– Rotmistrz Puciata ranny – objaśnia któryś z towarzyszy. – Kaźmierzowi Korsakowi przekazał dowództwo...

– Niech żyje Korsak! Dawajcie Kaźmierza Korsaka!

– To nie ja... Rotmistrz wszystkim zarządził – tłumaczy Kaźmierz opuszczając szeregi. Dnieje już na dobre. Świat otula biała wełna mgły. Wiwaty nie ustają, więc podjeżdża bliżej, zmieszany i szczęśliwy. Rad jest, że walczył bez pancerza, że go takim widzą. Otaczający kasztelana towarzysze patrzą na niego ze zdziwieniem. Wiwaty milkną. Kaźmierz sądzi, że dla pancerza właśnie. Wyciąga dłoń powitalnie i mimo woli spostrzeżona niezwyczajną szarość rękawa. Toćże miał kubrak wiśniowy... Co za odzienie na nim?... Och! Syruciowa sukmana! Wciągnął ją po ciemku w szopie... W ciemności, w zapale wojennym nie zauważył tego wcale, dopiero teraz... Nie dziw, że towarzysze, wiwatujący przed chwilą na jego cześć, zmilkli i zagryzają wargi, by nie parsknąć śmiechem... „To ci dopiero przygoda – myśli zawstydzony. – Syruc tam gdzieś paraduje w moim czerwonym kubraku... Do licha! Trzeba co prędzej jechać na kwaterę... A tom się pięknie przedstawi!!...”

Zły jak bies chciał zaraz zawracać, lecz pan kasztelan kamieniecki go zatrzymał.

– Nie przejmuj się waść omyłką, dowodzącą jeno gorączki, z jaką leciałeś do bitwy – rzekł z powagą. Po czym szpikując gęsto przemowę łaciną przypominał towarzyszom, że ostrzegał, że prosił, by się zbytnio nie ubezpieczali. Miał słusność czy nie? Gdyby nie rezolucja i męstwo kilku jednostek – tu spojrział w stronę Kaźmierza – gdyby nie Opatrzność, co zesłała w porę grad, żywa noga nie uszłaby z tych chorągwi... Bardzo to jest po sarmacku: lekkomyślnością zawinić, a potem bohaterstwem zło odrabiać...

Słuchali w milczeniu. Naraz Konstany podjechał z tyłu do Kaźmierza.

– Co za maskarada? – zapytał ze złością. – Co ty masz na sobie?

– Głupstwo – sarknął brat niechętnie. – Kapotę Syruciową po omacku wdziałem. Zaraz jadę się przedziać.

Twarz Konstantego pobladła pod opalenizną.

– Syruciową? – powtórzył jakby z przerażeniem – Gdzieżeś ją wziął?

– Ubieraliśmy się po omacku. On wziął widno mój kabat, ja jego sukmanę...

– Zrzuć to! Zrzuć to zaraz! – krzyknął natarczywie krewniak. – Wyglądasz jak prosty chłop!

– Samemu mi wstydno, toteż już jadę. Byle kasztelan skończył nareszcie gadać.

– Daj mi to, a ja ci przywiozę odzienie.

– Co się będziesz fatygował? Albo dobrze. Wdzięcznyć będę. Przywieź.

– Oddaj mi to.

– Przeoblekę się, jak przywieziesz, bo i tak zimno. Koszula jeszcze na mnie całkiem nie obeschła.

– Nie przywożę, aż to oddasz!

W natarczywości Konstantego brzmiał nacisk, który zgniewał Kaźmierza. To niech nie przywozi! Prosił go o grzeczność? Sam się ofiarował, a teraz warunki stawia. Zresztą kasztelan już skończył.

– Dziękuję! – woła do Konstantego. – Jadę sam i zaraz powrócę...

Zatoczył koniem, kierując się na przelaj przez las ku kwaterze. Nie dalej będzie jak ćwierć mili. Mgła się rozproszyła i słońce wyjrzało, złotymi palcami sięgając w głąb boru. Ptaki ćwierkały w zaroślach. Świt był tak piękny, że Kaźmierz zapomniał o gniewie wywołanym przygodą z sukmaną. Będą go teraz towarzysze nazywali chłopem, to nie ulega wątpliwości. Ten przydomek mu zostanie. Mniejsza jednak o przydomek, skoro sam kasztelan go chwalił za męstwo. Dobrze jest żyć... Spojrzał na siebie i roześmiał się prawie głośno. Ależ się wystroił! No, no!

Szelest rozległ się za nim. Nie zwrócił na to uwagi, pogrążony nadal w rozpamiętywaniu ubiegłej nocy. Uch, jak dobrze będzie teraz wyspać się, wypocząć... Przeciągnął ramiona, napinając tym ruchem przyciasną sukmanę. Wewnątrz niej zaszeleściło coś niby papier, Papier? Niezwyczajna to rzecz w kieszeni pachołka. Kaźmierz zaciekawiony rozchylił kapotę. Kieszeń. W kieszeni list... Zapieczętowany... Coraz bardziej zaciekawiony, wyciągnął go, spojrział na pieczęć. Kotwice Korsakowskie spięte barkami... Jego lub Konstantego pieczęć... Dla kogóż ten list?

„Do własnych rąk jaśnie wielmożnej, urodzonej jejmościanki dobrodziejki Beaty Żukówny”...

– Do Beaty? List do Beaty?!?! Od kogo?!...

Oszołomiony, zaskoczony obracał złożony ciasno papier w rękę, darmo szukając wyjaśnienia. Znów tuż poza nim zatrzeszczały gałęzie, niby pod czyjąś stopą. Nie zwrócił na to uwagi. Patrzył na list jak urzeczony. Nagle stanowczym ruchem puścił wodze na szyję konia, rozłamał pieczęć i rozłożył papier.

– „Ulubienie moje! – czytał. – Życ dłużej bez ciebie nie mogę...”

Obrócił gwałtownie kartkę, spojrzał na podpis. Konstanty! Konstanty w takich słowach pisze do Beaty! Pościemniało mu w oczach, krew uderzyła do głowy, aż się zachwiał w s-"odle. Myślał, że runie na ziemię, jak niegdyś kasztelan dziad. Wściekłość oszłomiła go na chwilę, lecz wnet chwycił wodze, zdarł konia, aż stanął dęba, wykręcił w tył, by zawracać, wiarołomcy szukać, i... ujrzał go tuż przed sobą, mierzącego doń z króciicy.

– Zdrajco! – ryknął Kaźmierz, rzucając się ku bratu. Rozległ się huk. Owionął go dym, blask, ogień w piersi, mrok w oczach, zapadanie w nicość...

Konstanty zeskoczył z konia, szybki jak ryś podbiegł do leżącego. Obrócił go twarzą ku górze. Nie żyje! W samą pierś dostał! Koń spłoszony strzałem pognął przed siebie. Konstanty wyrwał list z kurczowo zaciśniętej ręki i skoczył na powrót w siodło. Wargi mu latały jak w febrze, oczy błyszczały. Nim dojechał do oddziału, zawrzała tam bitwa na nowo. Trzecia od wczorajszego odwieczera! To załoga z twierdzy próbowała ponownej wycieczki, nie wiedząc jeszcze o rozbiciu

Podobnie jak Kaźmierz, Syruc nie spostrzegł zrazu swojego przebrania. Słowa starościca: „Bóg zapłać! Wolnyś!” dźwięczały nieprzerwanie w uszach pachółka. Wolny, wolny! A przecież się tego doczekał. Przeczynał,

że tak będzie, choć bałko się śmiał... Jest wolny! Bił się ze zdwojonym męstwem. Krzyczał z innymi: „Bij, zabij!” i własny głos zdawał mu się odmieniony. Orda pierzchała. Gdy brzask rozwidnił świat i Syruć ujrzał siebie samego w czerwonym kubraku, pomyślał, że to uzyskana wolność wszystko odmieniła. Nawet odzienie. I znowu krzyczał z innymi: „Za miłą ojczyznę! Bij zabij!”... Teraz rozumiał ten okrzyk. Ojczyzna... To honor o nią walczyć. Samym zaszczytem tego boju już się przeobraził. Gdzie Syruć psiarczyk, poddaniec? Nie masz go! Oto jest żołnierz waleczny, żołnierz Rzeczypospolitej. Pierwszy dopada nieprzyjacielskich szeregów, prze się, gdzie ciemnieje buńczuk. Przez łeb chorążego! Przez łeb czterech innych, usiłujących pochwycić drzewce w przelocie. Buńczuk upada. Syruć go porywa, trzyma mocną garścią, z pełnego gardła, z szczęśliwości serdecznej krzyczy co sił: „Na pohybel poganom! Niech żyje Rzeczpospolita!”...

I gdy kilka pchnięć równoczesnych zgasi to wołanie, śmierć nawet nie zdoła zetrzeć z twarzy parobczaka radosnego uniesienia...ordy.

Konstanty wepchnął wystrzeloną króciwą w olstro i chwyciwszy szablę wpał się w najgęstszy wir walki.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ X

Każmierz podniósł z trudem powieki i patrzył tępo na pułap z krzywych dyli, leżących skośnie tuż nad jego głową. W żaden sposób nie mógł pojąć, gdzie jest i skąd się tu wziął. W ścianie po lewej ręce wyrżnięty był podłużny, wąski otwór zastępujący okno. W zimie zamykano go grubym bierwionem o płasko ściętych końcach, osadzonym na kołku. Obecnie zaporą była obrócona prostopadle do ściany chaty, zostawiając po obu stronach wolne otwory. Wpływał nimi blask letni, słoneczny, jaskrawy. Niezdolny rozproszyć mroku panującego w niskiej izbie, przechodził dwoma wąskimi strugami przez barłóg, na którym spoczywał chory. Lotne błyszczące pyłki wirowały w tych smugach świetlnych, wirowały tak uparcie, że ranny poczuł zawrót w osłabionej głowie. Oderwał oczy od światła, spuścił je w dół. Szorstka brązowa materia, którą był nakryty aż pod brodę, wydała mu się znajoma, chociaż nie wiedział, dlaczego. W dalszym ciągu nie pojmował też – nie tylko skąd się tu wziął, ale także, kim jest; nie mógł przypomnieć sobie ni swojego miana, ni żadnego bliższego szczegółu. Jedną tylko posiadał świadomość: osłabienia, w jakim trwał, osłabienia tak wielkiego, że zdał się sam sobie wiotki jak komar, nietrwały jak panna wodna.

Cień przeciął smugi jasności. Chory zobaczył nad sobą twarz. Szpetne, zmarszczone lico starej baby. Spłowiata chusta okrywała ciasno głowę. Spod chusty wymykały się kosmyki włosów równie bezbarwnych i płowych. Maleńkie oczy, skryte w sieci zmarszczek,

patrzyły chytrze i bystro. W zapadłych ustach sterczał jeden szerniały, wysunięty do przodu zęb. Palcami podobnymi do szponów wykonywała koliste ruchy nad chorym, szepcząc coś monotannie i niezrozumiale. Z trudem chwycił pojedyncze wyrazy:

– Idi precz! Idź precz! Cisnę ciebie! Cisnę ciebie... Prasnę ciebie, prasnę ciebie – Bólu, bólu... Niemoco, niemoco... Żeby cię nigdy nie było, nie było... Idź precz... idi precz...

„Czaruje mnie” – pomyślał i poczuł trwogę własnej bezradności. Wiedźma może go zadusić, może, co gorzej, zamienić w nieme bydlę, w stwora albo wilkołaka, a on, niezdolny nawet dłoni podnieść, by znakiem krzyża się bronić, wydany jest w jej moc jak niemowlę, które dopiero co przyszło na świat,

Z najwyższym wysiłkiem próbował poruszyć się, coś rzec, zaprotestować, lecz przenikliwy ból przeszył go na wskroś i przygwoździł. Zlany potem, chwycił z trudem dech, patrząc tępo na babskie zabiegi.

Ona, jak gdyby nie dostrzegając jego przebudzenia, mruzczała nadal rytmicznie. Kuchy jej dłoni z kolistych stały się odganiające, jak gdyby zgarniała coś niewidzialnego z łoża, i Kaźmierz uspokoił się nieco. Wszelkie zamawianie odmiatające jest dobre, a nagarniające – złe. Mimo odrażającej powierzchowności baba była widocznie lekarką, nie czarownicą. Z tym stwierdzeniem zapadł ponownie w sen, a raczej w niewiedzę. Poprzez odpływającą świadomość słyszał za ścianą szum przeciągły, pewnie puszczy. Puszcza... Co to jest puszcza?... I kim jest on sam?... Kim?...

Z samego dna zaginionej osobowości podniósł się instynkt tajemnym ostrzeżeniem; „Nie pytaj... nie szu-

kaj... śpij". Zasnął więc. Gdy się przecknął, światło padało z drugiej strony izby przez takiż sam otwór wyrżnięty w przeciwległej ścianie. Nie wiedział, czy to późniejsza godzina tego samego odwieczera, czy też następny dzień. Był nadal słaby jak jesienna mucha. I znów jak przedtem nachyliła się nad nim okropna wiedźma. Łachmany, w które była przyodziana, wydierały kwaśny odór właściwy nędzy. Przytknęła do ust chorego wyszczerbioną glinianą miseczkę z odwarem ziół. Dopiero teraz Kazmierz uprzytomnił sobie, że dręczyło go dokuczliwe pragnienie, i jął pić chciwie. Odwar był mdły, niesmaczny, niemniej z żalem oderwał wargi od pustej już miski. Poczul się nieco rześ- wiejszy, myśli znów poczęły szukać zagadki własnego ja. Poruszył z trudem zeszywniałym językiem i po chwili wyjąkał:

– Ktoś jest, babo?

Wykrzywiła się rodzajem uśmiechu.

– Jewdokia Artemijowa.

– A ja kto?

Wykrzywiła się jeszcze silniej.

– Ty durny. To ja mam znać?

– Dawnom tu jest?

– Miesiąc już minął.

– A skądem ja przyszedł?

– Toż z wojny, gołąbku, z wojny...

...Wojna. Z tym słowem światło przeszło świadomość, lecz nim je zdołał pochwycić, zgasło. Nie wiedział znowu nic. Starucha ciągnęła skrzekliwie:

– Strzelali, strzelali, rąbali, rąbali... Hospody, pomiłuj! Jak odeszli, naszła ja ciebie pod drzewem. Całkiem ubity... Nie całkiem. Jeszcze się ducha drobina

kołaczce, o żywot mizerny prosi... Mojego chłopca ubili. Ja stara, za robotą nie nadążę, parobka mnie trzeba. Taki wzięła cię do chaty, złe odczyniła, śmierci wyrwała... Oj, stała śmierć przy twojej głowie, stała rano i wieczorem, i w południe, a ja jej: „Idź precz! Idź precz!”... I poszła.

– Bóg ci zapłać za ratunek – szepnął słabo.

– Odśluzysz mi. Żeby ty był pan, ubiłabym cię za mojego chłopca Artemija, a żeś służebny pacholek, to zabrała...

„Ja pacholek służebny? – pomyślał Kaźmierz, patrząc tępo w pułap. – Dlaczego służebny? Kimże ja jestem?” Spojrzał mimo woli na bure okrycie, co takie mu się wydało znajome. Sukmana... Syruciowa sukmana... A któż to był Syruc?... Och!

Mgły niepamięci nagle się rozdarły i Kaźmierz obaczył jasno, najjaśniej wszystko i samego siebie. Ujrzał bitwę, nocleg w szopie Smolarzy, znów bitwę, zamianę odzienia, ogólny śmiech, złe oczy Konstantego, i list pewien... list... Ten list...

Zaskowyczał z cicha, aż stara nachyliła się nad nim, zaniepokojona. Przymknął oczy, by jej nie widzieć, zacisnął wargi, by nie jęczeć. Wszystko już było wiadome. Konstanty, widząc list, dowód zdrady, w ręku brata, strzelił doń. Zostawił w lesie jako umarłego. A on, Kaźmierz, żył. Baba, zmylona Syruciową sukmaną, zawlokła go do chaty, by mieć w przyszłości parobka... Tak, tak... Wszystko jest proste i wytłumaczone... Pozostaje jedna tylko rzecz nie rozwiązana: Co było dalej w nie doczytanym do końca liście? Czy Beata była niewinna i wierna, czy też uczestniczyła w zdradzie Konstantego? Może oszukiwali łatwowiernego poczciwca oboje?!

Słabość ogarnęła go znowu. Barwne płaty tańczyły pod zamkniętymi powiekami. W uszach przelewał się szum niby burzy. Gdy wydzwignął się z zapadni, po-słyszał skrzekliwy głos, powtarzający:

– Wiera, ubiłabym ciebie, żebyś ty był pan... Za mojego chłopca Artemija Mikołajewicza... Za to, że go panowie powiesiły na wysokiej szubienicy... Żeś słu-żebny, zbawiłam cię od lichej śmierci...

Każmierz otworzył oczy. Chciał powiedzieć: „Pan jestem, szlachcic, nie człowiek służebny! – ale nie po-wiedział nic. O, nie z obawy, że stara podniesie siekierę lub bodaj polano i słabego, niezdolnego do obrony, ubije, jak obiecywała. Nie. Było mu wszystko jedno, co by uczyniła. Zabrakło mu jednak odwagi mówić długo i tłumaczyć, dlaczego przyodziany był w chłopską suk-manę. Mniejsza o to. Przyjdzie chwila, że się i tak dowie starucha, kogo przechowała. Nagrodzi ją hojnie. Na razie głośno zapytał:

– Gdzie są wojska królewskie?

Roześmiała się szeroko, wyszczerzając swój jedyny ząb.

– Sława Bogu, nie ma wojska. Dawno nie ma... Mir zawrzyli z carem batiuszką miłościwym. Mir ugodzili i poszli...

– Nikt nie został?

– Te, co pomarły, i ty...

– Dokąd odeszli? Gdzie pokój zawarli?

– Prawili, że w Polanówce spisany był mir. Twój król wrócił do Polski.

– I nikogo nie ma? – powtórzył.

– Nikogo... Nikogo... Nie bój się. Nikt cię nie znajdzie.

...Nikt... nikt... Trzeba zatem co szybciej do sił wracać i wędrować samemu ku swoim... Swoim?... No tak, rodzice. – Ale w domu jest Beata... I brat, Kain... Stanie przed nimi niby Piotrowin wskrzeszony z mogiły. Jak też spojrzy na niego Konstancy? Co rzeknie ona? Rodzice oplakujący jedynaka?... Pani matka... Dobra, kochająca pani matka... „Leż tam ślozy matczyisko, leje – pomyślał ze szczerym żalem. – Całe noce przepłakuje, a tu ani listu pchnąć, ani wiadomości dać...”

Od tych myśli osłabł znowu i mąg ogarnął mu głowę. Zakotłowało się wszystko wkoło niego. Koślawe dyle pułapu spłynęły niby zniesione wichrem, tęczowe płaty migotały przed oczami, a szum w uszach wzrastał, wzrastał...

Otrzeźwiawszy myślał znowu: „Powrócić, pomścić... ukarać...” Ale myśli pozostawały myślami, on zaś nadal bezwładny i słaby, jakże mizerny i słaby...

Leżał na nędznym barłogu, pod siermięgą przez los narzuconą, i chwilami sam sobie zdawał się obcym człowiekiem, pogrobowcem innego Kaźmierza, którego brat ustrzelił i który już nie żył. Bezsilny cień, pielęgnowany przez starą Jewdokię, nie mógł mieć nic wspólnego z tamtym junakiem, rycerzem.

Wstyd powiedzieć – w owym czasie dominującym uczuciem chorego było nie pragnienie pomsty, nie żal, nie gorycz zawiedzionej wiary, lecz zwyczajnie i po prostu – głód. Cierpkie uczucie nigdy poprzednio nie doświadczane, nieznane. Wszak trudno nazywać głodem radosny wilczy apetyt po łowach lub konnych harcach,

wrychle i dostatnio nasycony. Obecnie dokuczliwe łaknienie, nie ustające od chwili, gdy wrócił do przytomności, przewierało na wskroś, ssało żołądek, czyniło lekliwym, słabym i spokorniałym. Och, jeść! Jeść! Nie uważał za jedzenie stawy, jaką darzyła go stara. Polewka ze szczawiu i lebiody bez soli, bez omasty, jagody-czernice, korzonki o mdłym smaku, których nazwy nie znał – ot i całe jadło. Stawiała przed nim co dzień sporą króbkę zbieranych świeżo czernic i czerpał z nich pełną garścią, jadł aż do wzdęcia, a jednak pozostawał czczy jak przedtem. Z rozrzewnieniem i tęsknotą myślał o polewce winnej, jaką podałyby mu pani stara, o ociekających tłuszczem pieczeniach, o zawiesistych juchach, pierogach, o sytnej, dobrze okraszonej kaszy... Nie wątpił, że gdyby choć raz pojadł należycie, odzyskałby szybko siły, kości stałyby się twarde, ścięgną sprężyste, ciało zwarte i jędrne jak dawniej. Mógłby wstać, wracać do domu, ale jada nie było. I wobec mdlącej ustawicznej czczości więcej myślał o swym głodzie niżli o zdradzie Konstantego i Beaty.

Czasem nie mógł wytrzymać i prosił:

– Jeść! Dajcie mi, babo, jeść!

Starucha rozkładała ręce wymownym gestem, śpiewnie zapewniając chorego, że byle wstał, najedzą się dobrze oboje. On pójdzie do lasu, upoluje co nie bądź.

– A zajączka przyniesiesz, a sarniuczka, a cieciorkę...
– powtarzała upajając się samym dźwiękiem tych słów. – Będziemy jeść mięso, dobre mięso...

– Masz rusznicę, a bodaj łuk? – zapytał, pociągnięty mimo woli nęcącym obrazem.

– Nie ma... Paści zastawisz, siodła zastawisz, to i zwierzyzna się złowi...

– Nie umiem paści zastawiać – wyznał z głębokim żalem.

Spojrzała nań ze zdumieniem.

– Nie umiesz!? Nie potrafisz!?

– Nigdy tego nie robiłem.

– A jaką robotę znasz? Przy czym byłeś? Zamyślił się. Jaką znał robotę? Ano swoją, rycerską.

Poza tym żadnej. Baba przeczekwała chwilę i znowu podjęła:

– Boisz się, że łowczy ujrzy i zachłostać każe? Nie bój się. Tu bojary nie zachodzą. Kniazie daleko. Artemij zawsze paści stawiał, a nikt go nie widział... Oj, myśliwiec to był, myśliwiec... Każdego zwierza podszedł... Bywało – zimą na szczudłach po śniegu szedł paści zakładać, a szczudła wyrobione miał niby kopyto...

Kaźmierz spojrzał bystro na mówiącą. – I pod Smoleńskiem go obwiesili? Co? Kiwnęła potakująco głową. On zamilkł. Przed oczami zamajaczył mu śnieg malowany zachodzącym słońcem, wpadającym poprzez bezlistne gałęzie. Siad ni ludzki, ni zwierzęcy. Gonitwa za nim. Skulony, przerażony człowiek..., Artemij się zwał... Ten sam... Z listem do cara wracał ze Smoleńska... Jewdokia jest wdową po nim... Dziw, dziw, jak życie się plecie...

Ponownie ogarnęła go chęć powiedzieć: „Pan jestem. Ja to złapałem twego Artemija. Przeze mnie poszedł na śmierć...” – i znów zmilczał, nieskory mówić o sobie samym. Zdało mu się, że byle zaczął o tych sprawach gadać, złe wspomnienia obsiadą go jeszcze silniej niż teraz, nie ucieknie przed nimi nigdzie...

I tak mijały dni głodne, śmiertelne jednakie. Rana Kaźmierza goiła się powoli, choć baba okładała ją świeżymi liśćmi babki i żywokostu, nie żałując okadzań i zamawiań. Na żarzące się węgle sypała miazgi pyłu z widłaków, zwanych wilczym lub lisim ogonem. Lotna substancja zapalała się w powietrzu od żaru, rozświetlając mroczną głąb izby krótko, wspaniale, niby letnia błyskawica. Kaźmierzowi, gdy patrzył na to, przychodziło nie wiedzieć czemu na myśl, że jego życie spłonęło podobnie jak ten pył wilczego ziela. Wprawdzie czuł już, że nie umrze – wierzył, że wróci do domu, do dawnych warunków – niemniej coś najważniejszego załamało się w nim i zgasło, i wiadomo było, że nigdy nie wróci. Nie wrócić bezpieczeństwo, ufność i pogoda. Nie wróci wiara w narzeczoną i uczciwość braterską.

Pomału dni stawały się krótsze, wieczory i ranki chłodniejsze. W miejsce czarnych jagód baba przynosiła brusznice, borowiki, maślaki i leszczynowe orzechy. Młoda miazga tych ostatnich była pierwszym posilniejszym pokarmem, jaki Kaźmierz miał w ustach od kilku miesięcy, toteż gryzł je chciwie. Jewdokia, sypiąca dotąd na kupie mierzwy i liści, narzekała, że od polepy zimno ciągnie, i przeniosła się ze spaniem na tapczan chorego. Wciskała się pomiędzy niego a ścianę i tam natychmiast zasypiała, skulona jak zwierzę. Kaźmierz znosił cierpliwie jej obecność, choć cuchnęła, czkała głośno i świstała przez sen. Sam wysypiał się w dzień do woli, przeto całe noce nieskończenie długie leżał na wznak, wytrzeźwiony, spoglądając w ciemność. Wolno wlokły się godziny znaczone chrobotaniem skorków lub szczypawek w ścianach i chrapaniem baby. Czując ją tuż koło siebie ranny myślał czasem, że to nie zwykła

chłopka ruska Jewdokia Artemijowa, lecz Zła Dola, co się z nim stowarzyszyła i pozostanie przy jego boku do końca. Los postawił ją na jego drodze, podobnie jak narzucił mu Syruciovą sukmanę, którą i teraz był okryty, a której zawdzięczał zarazem nieszczęście i ocalenie. Syruc... Co się też z nim stało? Gdzie jest?... Gdyby był, powiedziałby najważniejszą rzecz: zali list ów był pierwszym, zali też jednym z wielu?... Jakże to brzmiały pierwsze słowa? „Ulubienie moje!” „Ulubienie moje!”... Kaźmierz, choć narzeczony, nie pozwolił sobie nigdy nazwać Beaty w ten sposób. Narzeczona winna być szanowana, a ten: „Ulubienie moje!” Jakby kochanicą była!... A może?... Może?... Nie, nie! To niepodobna! Co było dalej? Dalej: „Życ dłużej bez ciebie nie mogę”... Jeszcze co? Otóż właśnie, że nie wiadomo co. Miast przeczytać do końca, zawrócił konia w miejscu i...

Straszliwie wlokła się noc. Przysypany popiołem żar przebłyskał mętnie. Z wieczora za oknami odzywało się ptactwo błotne – derkacze i bąki. Potem las poczynał szumieć innym, nocnym już rozgwarem, przerywanym głosami zwołujących się sów. Pokrzykiwały jękliwie: „Pójdź! Pójdź!” — a potem milkły i one. Nastawała najgłębsza cisza późnej nocy, trwająca przed pianiem kurów. Że był to sierpień, na ciemnym szafirze nieba padały gwiazdy jasnym rojem, ale chory ich nie widział. Ilekroć w dzień usiłował się dźwignąć do okna, chwycił go ból przejmujący i kaszel, po którym wypływał zapiekłe skrzepy krwi. Nie mógł zatem również oglądać gwiazd. Leżał na wznak nieruchomo, jakby znajdował się kędyś poza światem żywych, na padole pokutnych dusz.

Czasami zaczynał drzemać. Śniło mu się wtedy, że słyszy granie ogarów głębockich pędzących przez knieję,

że sam sady konno za nimi, mokre gałęzie chłoszczą go po twarzy. Las się rozwiewał, zostawał pan Bies Korolko. „Królu korsykański!” – wołał. Była i pani matka, przywoływała domowników na wieczerzę. Och, na wieczerzę, nareszcie! Biegł co żywo, lecz na drodze stawał dziad kasztelan, potrząsał groźnie ręką i mówił: „Wszystko, coć spotyka, to kara za pozostawienie mojej krzywdy bez pomsty”... „Chciałem – bronił się we śnie Kaźmierz – chciałem, tylko tamten – jakże mu tam? – tamten zakonnik nie pozwolił. To on winien”. Ledwo to wypowiedział, już zjawiał się winowajca. Jezuita, ojciec Andrzej Boboła wypływał z mroku uśmiechnięty, pogodny, krzepiący – i Kaźmierz ocykał się nagle z przeświadczeniem, że go coś dobrego spotkało. Wrażenie to jednak rozplywało się rychło w zetknięciu z rzeczywistością.

Potem przedświtową ciszę leśną przeszywał ostry krzyk najranniejszego ptaka. Kaźmierz nie wiedział, jaki to był ptak, uważał go jednak za przyjaciela, gdyż zwiastował koniec nocy. Wprawdzie po tym pierwszym sygnale panowała nadal cisza, wiadomo było jednak, iż nie będzie długa. W niskich zaroślach i w koronach drzew poczynały się odzywać ćwierki, wzloty i świegoty. Otwór okienka bladł, stawał się kolejno błąwy, chłodnoniebieski, zielonawy, a na koniec różowy i złoty. Z mroku chaty występowały zarysy kulawego stołu i ławy. Gdy złocistość blasku zmieniała się w snop promieni wędrujący w poprzek łoża, baba budziła się ze snu, ziewała przeraźliwie, przeciągała trzeszczące gnaty, szturchała przyjacielsko Kaźmierza mruczając: „Nu, jak zdrowie, synok?”, przełaziła przez niego ostrożnie, spuszczać na ziemię czarne, pokrzywione stopy, dra-

pała się w ciemność wsuwając palce pod chustkę, zęgnąła się i biła pokłony nie wiedząc komu – Stwórcy czy słońcu, nareszcie wychodziła nabrać z pobliskiego jeziora wody.

– Nie zawieraj drzwi! – wołał za nią Kaźmierz prosząco i z ulgą chłonał bijącą z zewnątrz operloną świeżość leśną.

Przyszedł nareszcie dzień, że czuł się na siłach wstać. Siadł na łożu czekając, by mu stara podała odzienie. Wyniosła z komory lniane, wystrzępione i łatanie portki oraz chodaki z lipowego łyka.

– To nie moje – zmarszczył się Kaźmierz.

– Prawie gadasz – przyznała. – To Artemijowe.

– Daj mi moje. Szarawary, buty i pas i szabla z rapcami...

– Gdzie one były twoje, synku! Pańskie, kradzione... Inom cię tutaj zwlokła, zaraz wyniosłam toto do lasu, żeby biedy nie napytać...

– To moje było... – zaczął stanowczo. Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Twoje – boś nosił, a nie twoje, boś z jakiegoś pana skradł... Starej nie otumanisz. Porządne były rzeczy, pańskie, nie czeladne... Pas skórzany... Ho, ho! Jakby wojaki przyszły, a u widziały...

– Powiadam ci, głupia babo – przerwał z gniewem – że to było moje. Przy pasie trzos, w trzosie pieniądze...

– Były – przyznała pogodnie.

– Schowałaś je?

– Nie. Porzuciłam w lesie ze wszystkim, bo jakby wojaki naszły w chałupie, to bieda...

Spojrzał na nią niby na szaloną. Przez chwilę błysnęło mu podejrzenie, że Jewdokia bojąc się utraty zna-

lezionej pieniędzy tumani go mało prawdopodobną bajeczką. Ukryła gdzieś dukaty na pewno! Nie miał zresztą zamiaru zabierać jej tego skarbu. Zarobiła nań dobrze, ratując mu życie. Wystarczy, gdy odda tyle, ile będzie trzeba na kupno podjezdka.

– Słuchaj, babo – zaczął pojednawczo. – Małe dziecko może wyrzucić pieniądze, bo głupie. Stary człowiek tak nie robi. Nie pytam, gdzieś je schowała. Daj mi jednego dukata, a reszta twoja.

Wzruszyła ramionami.

– Oj, jaki ty dumny, synok. Sam łiesz i na kradzione prawisz, że twoje, to myślisz, że stara Jewdokia też łże. Na Zbawiciela, na Matkę przeczystą, powiadam tobie, że wyniosłam pas razem z pieniędzmi do lasu, tam gdzie pobite leżały. Mnie pieniądze niepotrzebne. Zgryzota z nich tylko i strach. Póki nic nie masz, możesz żyć spokojnie. Choćby przyszły wojaki królewskie, carskie, czort wie jakie – nie znalazłszy nic, popatrzą i pójdą. Jakby naszły – Hospody! Na męki wezmą, nie przepuszczą, ubiją... „Tyle masz, to pewno jest i więcej... Oddaj!” A ty, człowieku, rabie Boży, nic nie masz... A oni: „Oddaj! Oddaj!” I biją, i ogniem żywo palą... Hospody!

Zapatrzyła się przed siebie przerażonym wzrokiem, jakby w życiu nieraz podobne zdarzenia widziała. Pamiętała wszak czasy „smuty”, okres samozwańców.

– Mogłaś nie trzymać pieniędzy w chacie – rzucił z gniewem Kaźmierz – a kupić za nie krowę, świnie...

– U kogo? – zapytała.

– Bo ja wiem... W grodzie... Bywają tu chyba targi?

– Na targu zaraz urzadnik zapyta: „A skąd u ciebie, babo, złoty pieniądz? Kto ci go dał?” I też z życiem nie

wypuści... Ot, dola... Chłopska dola nie do złota. Żebyś miał w pasie grosze, to bym zatrzymała – czerwoniców nie... Pański pieniądz, wielmożny pieniądz... Wielki pieniądz... Jakby cię nie postrzelili, byłbyś bogaty, ho, ho! Kupiłbyś sobie ogiera gniadego... Kabat czerwony... jak pan... Wojaki nie patrzą sobie na ręce, swoich nie pytają... I ciebie by nie pytali... Aleś ty teraz leśny, służebny rab, ubogi człowiek, to i nie możesz mieć złota...

Gadała długo jednostajnym, śpiewnym głosem. Kaźmierz przestał zważać na jej słowa. Myślał, że oto utracił resztę przyodziewku, wszystko, co świadczyć mogło, że jest rycerzem, nie chłopem. Z dawnego bytu pozostała mu tylko sukmana pachółka Syrucia. Prócz sukmany posiadał lniane wystrzępione gacie, odziedziczone po powieszonym chłopie Artemiju, i łapcie plecione z kory. W tym miał wędrować do domu oddalonego o dziesiątki mil.

Zły i markotny wciągnął ten żebraczy strój, przeszedł przez izbę na uginających się, odwykłych od chodu nogach i usiadł na progu opierając się plecami o odrzwia. Mimo słonecznej pogody powietrze tchnęło jesienią. Pożółkłe liście opadały z drzew wirując z wolna, zanim spoczęły na ziemi. Wielki stary jawor stojący opodal, wsparty nadpróchniałym pniem o sąsiednią jedlę, skrzypiał przeciągle, jakby się nad nędzarzem użalał. Skrzypienie to Kaźmierz słyszał nieraz nocami, nie wiedząc, co je wydaje; teraz dopiero rozpoznał przyczynę... „Wypróchniałe drzewo; zwali się kiedy” – pomyślał.

Oderwał wzrok od jaworu, by spojrzeć na swe własne dłonie, wychudłe, bezsilne, na zwiotczałe nogi, i dziwił się im, i myślał, że oto już rok, jak wyjechał z domu

świątym, strojnym paniczem, a cóż się dziś z niego ostało?

Pod ścianą stało wiadro z wodą, odbijając w sobie niewielki krążek błękitu. Wstał z wysiłkiem i nachylił się nad tym krążkiem, by ujrzeć samego siebie. Patrzył długo na zmierzwiony, kołtuniasty łeb, na wychudłą twarz, porosłą gęstą brodą, darmo szukając w niej podobieństwa do dawniejszych swoich lic.

„Gdybym tak stanął przed nimi – pomyślał – nie poznałaby mnie nawet jejmość pani matka...”

Usiadł z powrotem na progu, ciężko, jakby mu przybyło lat. Rozważał dalej sposoby wydostania się z puszczy. „Gdyby nie ta przekłeta baba, co mnie trzosa pozbyła – myślał – mógłbym bodaj do Dorohobuża, do moskiewskiej załogi iść, legitymować się i konia kupić. W tym przyodziewku któż mi uwierzy? Zagarną mnie jako chłopą. Że łacinę znam niby rodzoną mowę, nic mi nie pomoże, bo moskwiciny jej nie znają... Nie ma innej rady, tylko pieszo przebierać się do Orszy, a z Orszy do domu...

Słońce już zaszło. Na krańcach polany jęły wstawać białe mgły. Wierżono dawniej, że to nocnice, boginki, rusalki rozwieszają swoją kądziel. Jewdokia wyrzała z wnętrza izby i ostro krzyknęła, by wracał natychmiast, bo wieczorna pora najzdradliwsza. Troszczyła się o niego, żywnie pragnąc, by najprędzej wrócił do sił i wyręczał ją w robocie.

Każmierz wstał posłusznie. Zasiedli oboje przy ogniu, piekąc na patykach uzbierane z rana przez starą grzyby. Każmierzowi setnie już zbrzydły te bedłki.

– Gdybyż choć odrobina soli do nich, gdybyż choć zuchelek chleba! – westchnął, bo pobyt na powietrzu zaostrzył mu apetyt.

Baba spojrzała na niego szyderczo.

– Ot, u ciebie, gołąbku, pańskie nawyczki. Gdzieżeś ty z solą jadał? Może i z miodem? A właśnie miód jest, jest... Wzmoczesz się, pokażę, gdzie barcie. I leziwo leży w komorze. Chleb takie za rok będziemy jedli. Zaorzesz pole za chatą... Porosło całkiem, ale Artemij tam siał... Ziola poniosę na targ, dobrych ludzi poproszę o miareczkę żyta. Powiem: „Przez Spasa, przez Przechystą, dajcie mi zboża. Leki dam, chorość odgonię...” I dadzą. Za ziola dadzą... Posiejemy...

– Nie ma konia ani pługą – zauważył Kaźmierz.

– Radło jest w komorze, a koń na co? Sam pociągniesz.

Wrzesień minął, babie lato osnuło już polanę i Kaźmierz zrozumiał, że w tym roku do domu nie pójdzie. Sił nadal nie miał, nogi się pod nim chwiały, przy tym chłody mogły rozpocząć się z każdym dniem. Jakże nie odzianemu, głodnemu wędrować? Z rezygnacją krzątał się koło domu, pomagając Jewdokii przy gaceniu chaty i gromadzeniu zapasu chrustu na zimę. Pracowicie utykał szpary mchem i grabił liście. Baba poganiała go ostro, dziwiąc się jego nieporadności. Jej zdaniem parobek nie rozumiał się na żadnej robocie. Nawet rozniecanie ognia szło mu niesporo. Słuchając jej cierpkich uwag starościc nieraz miał ochotę rzucić: „Głupiaś! Ja nie do takiej roboty zrodzony!” – lecz zawsze wstrzymywała go obawa, że stara bądź nie uwierzy, bądź uwierzywszy pomyśli, że nie wyznał jej tego od razu ze strachu. Więc milczał. Zresztą w duchu przyznawał jej słuszność. Ze

zdziwieniem przekonywał się, że zajęcia spełniane przez służbę i ludzi podłego stanu wymagają nie mniejszej biegłości, uwagi, doświadczonej kolejności ruchów, niż służba rycerska. I z najlepszą wolą usiłował im podołać.

Równie ważne jak ogacenie chaty było zebranie zapasów żywności na zimę. Nauczony przez Jewdokię, Kaźmierz wyszukiwał spiżarnie wiewiórek i bez skrupułów zabierał przemyślnym zwierzętom nagromadzone przez nie orzechy. Próbował również dobrać się kiedyś do barci umieszczonej na wysokim dębie. Nie umiejąc jednak obchodzić się ni z leziwem, ni z pszczołami (które nie spały, bo dzień był ciepły, słoneczny) obsunął się z liną z drzewa, pokąsany i spuchnięty. Baba uznała go wtedy za ostatniego niedorajdę. „A gdzieżeś ty się chował!?” – pytała z głęboką pogardą. Pragnąc podnieść się nieco w jej oczach, sporządził po wielu usiłowaniach łuk. Lichy był, z cięciwą z łyka, niemniej udało mu się któregoś dnia ustrzelić zająca. Spożyli go oboje z najwyższym zadowoleniem. Choć bez soli, smakował Kaźmierzowi znakomicie. Pierwszy kęs mięsa od pół roku. Zaraz poczuł się silniejszy i obiecał babie, że wykopie dół na dzika.

Nieopodal, pod skrzypiącym, nadpróchniałym jaworem był szlak, którym dziki chadzały pić wodę do pobliskiego bajorka. Przeszło tydzień Kaźmierz mozolił się nad wykopaniem na tym szlaku jamy stromej i głębokiej. Kopał, kaszlał, pluł krwią, odkładał łopate, dyszał ciężko i znów wracał do roboty. Na koniec, gdy dół był gotów, nakrył go cienkimi żerdziami, przytrząsnął chrustem i ziemią. Lecz przez czas pracy zwierzyna odwykła od tej drogi, obierając sobie inną ścieżkę, i Kaźmierz darmo czekał. Chodził nadal z łukiem lub ćwiczył się w

rzucaniu krótką, grubą palicą wyrzniętą z gałęzi. Przypomnił sobie, że pastusi głęboccy strzegący trzody ciskali podobnymi nadzwyczaj sprawnie i celnie. Postanowił się tego nauczyć. Wszystko lepsze niż ustawiczny głód! Równocześnie rąbał drzewo, zbierał bukwę i żołędzie.

Któregoś dnia spadł pierwszy, nietrwały śnieg, a drugiego z rana Kaźmierz przechodząc w pobliżu jamy posłyszał w niej łomot, tupanie i fuki. Nie wierząc uszom pobiegł na skraj dołu. Był dzik, wielki samotnik, odyniec. Skakał i rył ściany, wspinał się po nich i opadał. Strzelał kielcami, spoglądając w górę na człowieka małymi oczkami płonącymi nienawiścią. Kaźmierz pobiegł po siekiere. Baba uszczęśliwiona wyskoczyła z chaty za nim.

– Trzeba poczekać, póki nie osłabnie z głodu – zawyrokowała.

– Ani myślę. Mamy jeść wychudłe ścierwo? I przykro patrzeć na mękę...

– Nie poradzisz inaczej.

– Poradzę.

Zebrał się w sobie, popróbował mięśni. Zagrała w nim dawna fantazja – jak gdyby sam widok złowionej zwierzyny obudził pasję łowiecką. Ścisnął mocno siekiere w garści, przeżegnał się i zanim baba zdążyła krzyknąć: „Hospody!” – już błyskawicznie skoczył odyncowi na grzbiet, już go rąbnął po kręgach karku z całej siły, raz, drugi, trzeci...

– Chyba go w dole poćwiartujemy, bo wyciągnąć nie damy rady; wielka bestia – rzekł pozornie obojętnie, wylazłszy z dołu. Co prawda osłabł, czarne i czerwone płaty latały mu przed oczyma, musiał się położyć na

trawie. Ale Jewdokia patrzała nań z podziwem. Od tej chwili przestała mu ciągle wymyślać i w głosie jej, gdy się do niego zwracała, przebijał odcień szacunku.

Najważniejsze jednak, że mieli zapas mięsa na długi czas. Jewdokia pokrajała umiejętnie zdobycz na długie, wąskie płaty, które wędzono nad ogniem, aż stały się suche, twarde i zabezpieczone przed zepsuciem. Przy tej robocie zesza ich zima, od razu sroga, mroźna i śnieżysta. Uwięziła Kaźmierza i Jewdokię w ciasnej kurnej chacie na długie miesiące, uwięziła do wiosny. Znowu dni wlokły się jednostajnie i pośpiesznie. Kaźmierz nie wiedział, czy adwent już się rozpoczął, czy rychło będą Gody. W czasie choroby stracił rachubę czasu, a stara żadnego kalendarza nie posiadała. Nie odczuwała potrzeby określania dni, których przemijania nazwa nie powstrzyma. Na świętach również jej nie zależało. Choć mówiła co chwila: „Hospody, pomiluj”, klęła się na Zbawiciela i przeczystą Jego Matkę, choć biła czołem i żegnała się znakiem krzyża świętego, w rzeczywistości żyła w prawym pogaństwie, nie znając kościoła ni sakramentów. W cerkwi była ostatni raz przed wielu laty i nie wybierała się tam ponownie. Ot, zwyczajnie, człowiek leśny. Więc też Kaźmierz codziennie patrząc, jak gwiazdy zapalają się na niebie, myślał: „Może dzisiejszy wieczór jest wieczorem wigilijnym? Może właśnie w tej chwili w domu dzieła się opłatkiem?... Stoją wszyscy społem: rodzice oplakujący syna, na pewno niepokieszeni, Bies Korolko, marszałek Kapusta, ojciec Dominik, kapelan... ona – Beata, Konstanty..”, Czy są już zareczeni? Może się nawet pobrali? Może ojciec przeznaczą Konstantego na dziedzica?” Na tę myśl ogarniała go determinacja podobna tej, z jaką skoczył

dzikowi na grzbiet, i zrywał się na równe nogi, by biec do domu natychmiast, nie zważając na nic. Jedno wyszcnięcie na dwór hamowało te zapaly. Mróz trzymał świat niby w kleszczach, zapierał dech. Trzeba było siedzieć w chacie i czekać, czekać, czekać...

Podobnie jak latem, gdy leżał chory i bezwładny, nawiedzało Kaźmierza uczucie, że życie toczy się gdzieś poza nim, huczy rzeką wypadków, foczą się dzieje, on zaś tkwi niby pusta muszla wyrzucona przez wodę na brzeg, odtracona przez nurt, zepchnięta na mieliznę. Znów dni i noce mijały. W dzień przy ognisku, nocą z babą na wspólnym barłogu. O gdybyż można spać, spać, przespać zimową porę jak niedźwiedź, jeź albo borsuki! Wilki podchodziły w poblize chaty i wyły. Tak samo wyły w zeszłym roku pod Smoleńskiem, inaczej jednak słuchało się tego chorału siedząc z towarzyszami w jasnej izbie przy dobrym winie, a inaczej w tej głuszy śmiertelnej. Bywało, że zgłodniałe a węszące zdobycz bestie drapały przyciesie chaty, usiłując się podkopać i Kaźmierz na wszelki wypadek brał w rękę siekiere, pilnie bacząc, czy gdzie polepa nie zaczyna się poruszać. W inne wieczory od wilków był spokój, natomiast przysiągłbyś, że po strychu coś chodzi, coś stąpa : to znów polana skwierczały dziwacznie w ogniu. Wtedy Jewdokia rzuciła ziele na płomień, mówiąc, że przyszła dusza Artemija Mikołajewicza. Kaźmierz usiłował nie pokazać po sobie trwogi, niemniej żegnał się i odmawiał pacierz za zmarłego. Siedząc w ustawicznym mroku, skapo rozjaśnionym ogniem, zdumiewał się nieraz, że życie chłopskie jest aż tak okropne i że tylu ludzi bytuje w ten sposób. „Oni nie odczuwają tego tak jak ja, nigdy innego życia nie zaznawszy" – tłumaczył sobie i milkł,

przed oczyma bowiem stawali mu Anton i Syruc i ich żarliwe pragnienie odmienienia losu.

Zima przeciągała się nieznośnie, zapasy topniały, choć baba gospodarzyła nimi ostrożnie. Głód doskwierał obojgu na dobre. Nie dbając na mróz i śnieg, Kaźmierz wybierał się na łowy, trudne, gdyż wszelki zwierz, równie wychudzony i głodny, pomykał ostrożnie, z daleka. Po długich szukaniach udawało się czasem znaleźć w dziupli na wpół zmarzniętą wiewiórkę, po śladach trafić do nory borsuczej i wyciągnąć stamtąd zaspanego jaźwca lub upolować zająca. Nie dbając o zimno, długouche szaraki odprawiały już swoje zaloty, w miłosnym zacierzewieniu zapominając o zwykłej ostrożności. Kiedy kicały naprzeciwko siebie, ruszając groźnie wąsami i tupiąc, Kaźmierz zaczynał się za drzewem i szył ze swego kiepskiego łuku lub miotał palicą. Nieraz udawało mu się trafić rozgrzanego zalotnika. Pozostali spłoszeni odbiegali wtedy, by o kilkanaście kroków dalej rozpocząć znów swój taniec. W powietrzu mimo mrozów i zwałów starego śniegu drżało już tchnienie wiosny i Kaźmierz, krocząc zadowolony z ubitym zającem, postanawiał nazajutrz wyruszyć. „Dość już, dość – powtarzał sobie. – Nie będę czekał ani dnia dłużej. Nie będę czekał, aż mnie wydziedziczą, zapomną, aż się Konstanty ożeni. Już idę!”

– Idę! – powiedział stanowczo Jewdokii pewnego wczesnego marcowego dnia. Wicher dał potężnie, wpa-dał w głąb puszczy, trząsał czubami drzew. Przenikliwe zimno przejmowało do szpiku kości, lecz w mroźnym tym powiewie czuło się nadchodzącą odmianę.

– Idę! – powtórzył, opierając niesione naręczce drzewa o pień skrzypiącego jaworu.

– Dokąd? – zapytała obojętnie, nic nie przeczuwając.

– Do siebie, do domu, do swoich... Do .Głębokiego. Za Orszą. Wiesz, gdzie Orsza? Pewno nie wiesz... Mniejsza o to. Stamtąd jeszcze kawał drogi. Będę parę niedziel laźl, ale zajdę. Nic się nie martw... Tylko powrócę do swoich, przyślę po ciebie podwodę. Zabiorę do siebie. Będiesz mieszkała w piekarni do końca życia, tłusto jadła, nic nie robiła. Nie zapomnę nigdy, żeś mi zratowała życie. Nie pozwolę cię skrzywdzić nikomu...

Mówił jednym tchem, gorączkowo, zapalczywie i najzupełniej zbędnie. Baba nie rozumiała z tej przemowy ani słowa. Pojęła jedno tylko: z trudem wyleczony parobek chce odejść, właśnie teraz, kiedy się poduczyl roboty, kiedy ona wybierała się z ziołami do grodu, by dostać ziarna na zasiew. Kiedy miał zaorać rolę!...

– Nie pójdziesz nigdzie! – zawołała ze złością.

Roześmiał się zapomnianym dawno śmiechem.

– Nie pójdę? Ejże! Może mnie nie puścisz? Przecież ja do swoich wracam... A po ciebie przyślę wóz. Pojedziesz z paradą...

– Nie puszczę! – wrzasnęła, już wściekła. – Nie puszczę! Mój jesteś! Ostaniesz tutaj!

– Pójdę! – krzyczał jej w samo ucho, usiłując prze-głuszyć dmący coraz silniej wiatr. – Pójdę, a po ciebie przyślę...

Skoczyła mu do oczu jak gadzina.

– Ty łotrze, zbóju, chacharze! Ty ladaszczy! To ja ciebie śmierci wyrwałam, jak detynę chowałam, a teraz odchodzisz?! Nie pójdziesz! Sznurem się do ciebie przywiążę, czaru zadam, kłać będę, ale nie puszczę!

– Puścisz, suko – warknął. – Puścisz, choćbym miał cię ubić... Muszę iść. Odejdź, bo...

Zamachnął się na nią, gdyż sięgała mu pazurami do twarzy.. Przytrzymał za napięstki. Wyrwała się wściekle, zionąc przekleństwami, charcząc ze złości. Wiatr zerwał chustkę z jej skudłanych włosów, zadzierał kieckę. Wyglądała jak czarownica i Kaźmierz pomyślał, że może istotnie zaczarować.

Lecz w tejsze chwili tuż nad nimi rozległ się przeraźliwy trzask. Ogłuszył oboje. Kaźmierz puścił ręce baby i stanął oniemiały. Jewdokia odskoczyła. Na złe jej to wyszło. Potężny konar odłamany od jaworu spadł na nią, przygniótł wpół ciała. Przygwożdżona, wyła z bólu wijąc się jak robak. Kaźmierz skoczył, by ją uwolnić, lecz zwalone drzewo było zbyt ciężkie na jego siły. Musiał iść do chaty po siekiere, rąbać mozolnie. Baba nie przestawała jęczeć, wpatrując się w niego z przerażeniem. Wicher huczał, rozdarte drzewo skrzypiało. „Zaraz zwali się na mnie” – myślał Kaźmierz, ale nie przestawał rąbać. Na koniec uwolnił starą. Nie mogła ruszyć się z miejsca, snadź przetrącona – zwisała bezwładnie jak szmata. Wziął ją więc na ręce i ponióśł do chaty, złożył na tapczanie. Przestała jęczeć, wodziła tylko za nim oczami z trwożnym błaganiem. W pewnej chwili chwyciła go za dłoń.

– Ubij, a nie zostawiaj... – szepnęła.

– Nie ostawię, aż wyzdrowiejesz – zapewnił i nagle zachwiał się, jakby sam sobie dopiero teraz uprzytomnił grozę tego, co się stało. Jeżeli baba zostanie kaleką, jakże mu odejść pozostawiając ją na niechybną śmierć głodową? O Boże wielki, Boże! Jakże mu odejść?!...

Wyszedł przed chatę, siadł na progu, mocując się bezradnie sam z sobą. „Muszę odejść!” – powtarzał i zaraz: „Jakże odejdę? Pielęgnowała mnie... Strzegła

mnie... Gdyby nie ona, dawno by moje kości rozniósł wiatr... Jakże odejdę?"

„...Ale pozostać nie mogę...”

Siedział, nie czując mijających godzin. Nie czuł, że łzy bezradnej męki kapąły mu na ściśnięte przy twarzy dłonie. Gdy wrócił do izby, uderzyły nań od wejścia oczy starej. Ten wzrok zagnanego, strwożonego zwierzęcia miał mu teraz towarzyszyć nieustannie. Jewdokia bała się zasnąć, nie dowierzała, by został, łowiła uchem kroki, gdy odchodził, oczekiwała z najwyższą trwogą powrotu, śledziła każdy ruch.

– Już ci rzekłem, że nie odejdę – powiedział kiedyś znużony.

– Naprawdę?

– Rzekłem.

Umilkła mamląc ustami, jakby coś przeżuwała. Na koniec wyznała:

– To ja teraz wiem, żeś ty pan... Skrzywił się gorzkim półuśmiechem.

– Skądżeś to nagle pojęła?

– Że nie odszedłeś... Wzruszył ramionami, ona ciągnęła:

– Już jesienią, kiedy na dzika skoczyłeś, myślałam: Chyba pan... Ot, teraz już wiem. Pan a pan... Twoje były tamte rzeczy... Nie łągałeś, nie...;

Nie odpowiedział nic. Było mu obojętne, co baba o nim myśli. Wykonując machinalnie domowe roboty, tropiąc pożywienie, spełniając przy chorej te same posługi, jakie od niej odbierał w roku zeszłym, myślał ustawicznie o jednym tylko: jak odejść? Nie będąc medykiem ni znachorem, spostrzegał jednak, że baba włączy w nogach nie odzyska. Kończyny jej były obumarłe.

Lecz jadła i trawiła, więc żyć może długo. Co począć? Co począć? Chodził jak błędny po lesie, daremnie szukając wyjścia. Życie starej Jewdokii nie było nikomu potrzebne. Czy ten stary grzyb tłucze się jeszcze po świecie, czy nie, nie miało dla nikogo a nikogo znaczenia. Niemniej wiedział, że nie zdobędzie się nigdy na to, by ją samą zostawić. Nienawidził jej, patrzył na nią z odrazą, wracając do chaty marzył o tym, że zastanie trupa, ale odejść nie mógł. „Dlaczego? – pytał sam siebie. – Czy to naprawdę owa »pańskość«, owo wmawianie od dziecka, że tak postąpić honor, a tak – niehonor?”.

„Dlaczego tu siedzę, zamiast utrupić staruchę albo po prostu wyszedłszy nie wrócić? To głupota!”

Tak burzył się, lecz zostawał. I wiedział, że nie odejdzie. Chyba gdyby się znalazł kto inny na jego miejsce. Przez jakiś czas owładnięty był myślą znalezienia zastępcy, który by pielęgnował Jewdokię, dopóki on po nią z Głębokiego nie przyśle. Wrychle jednak poznał niewykonalność tego zamiaru. Rok tu siedzi i przez ten rok nie widział nikogo prócz Jewdokii. Przypuściwszy nawet, że poszedłby do Dorohobuża i tam człowieka znalazł – czym go u jedna, zachęci, co mu obieca? Ofiarować nic nie mógł! Mieszkać w budzie w lesie, żywić się korzonkami, szczawiem i grzybami – nie żadna łaska, każdy może to zrobić nie biorąc na siebie ciężaru pielęgnowania niedołęznej baby. A w jego obietnice nagrody któż uwierzy? Kto ich nie poczyta za bajkę?

Nie było, nie było rady... Chwilami, gdy to sobie uprzytamniał, ogarniała go rozpacz tak wielka, iż tłukł głową o pień drzewa. A czas mijał. Las rozwielił się, pokrył zielenią. Był maj. Wschody i zachody słońca

zapalały się i gasły. Noce stały się krótkie, ciepłe. Kaźmierz sypiał przed chatą na dworze, słuchał kłaskania słowików i w męce gryzł palce. Głębokie, Konstanty, Beata i p przesuwali się przed oczyma nieustannym korowodem. Tęsknota, miłość, żal, pragnienie zemsty rozpieły serce. Czas mijał, mijał... Przyszła pełnia lata, a potem dni poczęły się skracać. Borówki, brusznice, żurawiny, grzyby, orzechy, buczyna, tłuste ptactwo błotne, ociężałe zające, łatwiejsze łowy – wszystko wracało w niezmienionej kolejności. Nowa zima nadchodziła nieuchronnie. Z uczuciem, że gotuje grób dla samego siebie, Kaźmierz przystąpił do gacenia chaty i gromadzenia zapasów. Polował, rąbał drzewo, wędził mięso, suszył grzyby. Baba leżała nieruchomo. Odzywała się rzadko, usiłowała zabierać jak najmniej miejsca, nie być kłopotliwa. A potem spadł pierwszy śnieg. I wszystko było znowu tak jak w zeszłym roku. Siedząc przy ogniu Kaźmierz nasłuchiwał wycia wilków, myślał, czy Gody już były, czy nie. Przypominał sobie zdarzenia dzieciństwa, obrazy młodości, wyprawę pod Smoleńsk, dzień triumfalny, gdy przed królem stojącym na wzgórzu rzucono moskiewskie sztandary. Gdzie jest teraz, co czyni król? Jakie wojny prowadzi zwycięskie? Ile przewag odnosi rycerstwo? Jak tam życie płynie hucznie i buńczucznie, wspaniale i pięknie? A ile dni pozostaje tutaj jeszcze Kaźmierzowi do końca zimy – i ile zim ma spędzić podobnych? Czy go nikt nigdy nie wyzwoli? Czy jeszcze ktokolwiek o nim na świecie pamięta? Matka... jedna matka... Ona nie zapomni... Z myślą o matce wracał cały dwór głębocki, przeszłe życie, Konstanty, Beata... Udręka, ukojona na chwilę obrazem matczynym, zaczynała się na nowo.

Śniegi spadły owej zimy wielkie, sięgały okapu dachu. Nocami głodne wilki wchodziły na strzechę, drapały poszycie. W obawie, że przedostaną się na strych, Kaźmierz wzmocnił, jak mógł, pułap z krzywych dyli i nieraz całe noce czuwał z siekierą w ręku. Czasem otwierał znieacka drzwi i ciskał na śnieg płonąca żagiew, płosząc napastników. Gorsze jednak były noce, gdy wilków nie było i wokoło leżała martwa, nieprzerwana cisza. Zdawało mu się wtedy, że grzęźnie po pas, po brodę, po oczy w czymś głuchym, nieprzeniknionym, z czego nie wydobędzie się już nigdy, nigdy...

Kiedyś, by przerwać to wrażenie przyprawiające o obłąd, począł śpiewać godzinki do Najświętszej Panny. Poczul beżmierną ulgę, a zarazem skrucę, iż czyni to pierwszy raz i że tak bardzo o Bogu zapomniął. Wszakże pomalu ani się spostrzegł, kiedy na równi z Jewdokią praktyki religijne ograniczyły się u niego do znaku krzyża skreślonego śpiesznie rano i wieczorem. Więc tak łatwo zostać poganinem? Jak kruchy jest człowiek i jego wierzenia, gdy pozostawić go samemu sobie! Śpiewał i zdawało mu się, że ze słowami pieśni znikają w duszy niewidzialne zapory. W pewnej chwili obrócił się, by sięgnąć po chrust, i napotkał oczy baby utkwione weń z zachwytem, uniesieniem, żarliwą radością. Nigdy jeszcze nie widział u niej podobnego wyrazu. I odtąd weszło w zwyczaj, że godzinami, dniami całymi śpiewał. Powtarzał po setki razy nieliczny zasób pieśni, jakie znał. A potem przyszła wiosna...

Dwa lata z okładem minęły od czasu, gdy Kaźmierz ocknął się w chacie leśnej, do chwili, w której stara Jewdokia zakończyła życie. Nic nie zwiastowało jej zgonu. Postękiwała jak zwykle, jadła jak zwykle, okryła

się do snu z głową jak zwykle ^rj i we śnie umarła. Z trudnym do opisanego uczuciem Kaźmierz wykopał dla niej mogiłę, złożył zwłoki, pomodlił się, przysypał grób ziemią i ubił porządnie. Na drzewie tuż obok rosnącym wyciął krzyż. Potem zamknął chatę, podparł drzwi kołem, wziął za pas siekierę, w garść palicę i ruszył na zachód. Był chudy, cerę miał ziemistą. Gęsta broda okrywała mu policzki łącząc się ze zmierzwioną, kudłatą czupryną. Odziany był w podarte lniane portki Artemija Mikołajewicza i sukmanę dawnego swego pachołka Syrucia.

ROZDZIAŁ XI

Po ukończonej smoleńskiej potrzebie król rozdał szereg beneficjów i godności. Między innymi mianował pana Żegotę rotmistrzem i komendantem niewielkiego zameczku granicznego w Braszni. O ile pierwszy zaszczyt ucieszył szlachcica, o tyle drugie— bynajmniej. Z chwilą zawarcia w Polanówce pokoju zwanego wiecznym (przetrwąć miał dwadzieścia lat) na pograniczu polsko-moskiewskim zapanowała senna cisza. Król z wojskiem wrócił do kraju, zaprzątnięty nowymi sprawami. W powietrzu wisiała wojna o sukcesję szwedzką, budowano śpiesznie dla obrony Pucka dwa forty morskie, Kaźmierzowo i Władysławowo. Pierwszy przy cieśninie koło Chałup, drugi przy siole zwanym Kusfeld. Ujednany korzystnym pokojem z Moskwą, sejm uchwalił nowe zaciągi i zwołanie w razie potrzeby pospolitego ruszenia. Hetman Koniecpolski już stał obozem pod Czerwonym Dworem, naprzeciwko Gniewu. Wszystkie umysły były tą nową wojną pochłonięte, a imię Żegota siedzieć musiał w lasach z dala od działań wojennych, wilków chyba i łosiów pilnując! Zły był przeto i markotny, znudzony i osowiały. Nawet wina nie mógł ciągnąć do woli. gdyż sprowadzenie nowego zapasu z Orszy lub Połocka było wielce uciążliwe. Tak siedział, popijając kwaśny cienkusz miejscowy, gdy pacholek Szymek zameldował, że jakiś dziadyga chce się z panem rotmistrzem zobaczyć.

– Dziadyga? Ze mną?! zapytał zgorzony.

– Z jegomością jaśnie wielmożnym panem.

– I ty, hultaju, nie powiedziałeś mu, że komendant z byle kim liczno nie gada?

– Powiedziałem, a on precz swoje. Mówi, że to ważna sprawa.

– Znam ja te ważne sprawy! Iwan Piotruszce puścił krowę w szkodę albo baby motykami łby sobie porozbijały. Właśnie będę z nim konferował... Jak wygląda?

– Jak to chłop... Obdarty, zarośnięty...

– Tutejszy?

– Nie. Prawi, że przyszedł z daleka. Pytał, kto tu panem, i ucieszył się, jak nazwisko waszej miłości posłyszał...

– Ucieszył się?! Cóż to, znajomy? Konfident... Zapytaj go, czego chce. I żreć mu dajcie, jeśli wygłodzony.

Pachołek pobiegł, pan Żegota został sam. Popił cienkusza i snuł dalej niewesołe rozważania. Nie wiedzieć skąd (nigdy nie miał dowiedzieć się, skąd) przyszedł mu na myśl zapomniane już boje sprzed dwóch lat. Smoleńsk... Jegomość pan Sulmirski, arianin, z którym przyjaźnił się pan Puciata, młodzi Korsakowie, dwa chwaty, dobrze się zapowiadające... Gdzież też oni wszyscy są?... Puciata podobno pod Dorohobuzem chwalebnie zginął, Sulmirski został pułkownikiem. Korsakowie doma siedzą, jeśli nie pociągnęli z królem nad morze. Kto im zabroni? Tylko on, Żegota, siedzi tutaj na uwięzi, z dala od sławnych czynów, miłych sąsiedzkich dworów, foremnych białogłów, dobrej myśli i rycerskiego obyczaju. Miasto z innymi używać żywota, siedź w puszczy, człeku, i trap się, a nie wiadomo, jak długo trzymać cię tu będą. | Te myśli rozeźliły go, więc fuknął z gniewem do wracającego pacholka:

– I czegoż chce ów włóczęga?

Cięgiem powtarza, że chce się widzieć z jegomością jaśnie panem. Aż tu za mną chciał iść, ledwom go za kark odrzucił.

– Toś dobrze zrobił... Patrzajcie, jaki zadufany! Niech ci powie, czego chce, albo niech się zabiera z Bogiem. A jeść dostał?

– Kazałem mu iść do czeladnej, on zasię prawi, że choć bardzo głodny, nie będzie jadł, aż się z jegomością komendantem zobaczy...

– Wściekł się czy co? Warunki będzie tu dyktował?! Fanaberie stroił?!

– Odprawić go, wasza miłość?

– Odpraw, do stu tysięcy diabłów! Nie ciekawym chamskich sekretów...

Pachołek zleciał, aż schody dudniły, zadowolony z rozkazu. Dziad był hardy i natrętny. Dobrze, oj dobrze, że mu jegomość kazał iść precz.

Każmierz stał przed bramą (dalej go nie puszczono), czekając z niecierpliwością na powrót posłańca. Po-słyszawszy, że komendant nie chce się z nim widzieć, postął chwilę niby ogłuszony, ważąc w głowie, czy nie rzucić pacholkowi: „Wracaj i powiedz, że urodzony Kaźmierz Korsak chce się pilno z nim widzieć!”... Dopieroż by biegł Żegota! Dopieroż by się sumitował. Ale tych spraw przed sługą wyjawiać nie można. Ha, trudno – jak nie, to nie. Trzeba znów wędrować dalej. Sądził, że tu już wypocznie, podkarmi się i przebierze. Źle sądził.

Szymek oczekiwał, iż uparty dziad zacznie piekłować, dając okazję do porządnej awantury, i z lekkim uczuciem zawodu patrzył, jak obdartus zabiera się i odchodzi. Wysoki, przygarbiony, kudłaty. Kaszle ciężko i spluwa.

Gdyby pan Żegota wyjrzał teraz z okna, ujrzałby go idącego gościńcem.

Lecz pan Żegota nie spogląda. Zadrzemał nad opróżnionym kuflem, myśląc z goryczą o złym losie, co go w tej puszczy osadził...

Każmierz szedł zmęczony i zawiedziony, mimo gniewu nie czując szczególnej urazy do pana Żegoty. Któż wie, czy sam na jego miejscu będąc nie postąpiłby podobnie? Nie zła wola przyjaciela sprawiła, że wędruje głodny i nędzny nadal, lecz granica nieprzebyta, nakreślona strojem, wyglądem, przynależnością stanową. Dwa odmienne światy żyją obok siebie §|j inny po tamtej, szczęśliwej stronie, inny po tej. Skoroś, człowiecze, z tamtego wolnego świata wypadł, zatonął w nędzy pośledniej, niełatwo czyjaś dłoń życzliwą uchwycić, dać znać o sobie i wrócić na miejsce. Niełatwo! Żegota, ludzki człowiek, kazał obcego włóczęgę nakarmić, lecz mówić z nim nie chciał. Cóż w tym dziwnego? Jakąż sprawę może mieć chłop do szlachcica tak ważną, że jej przez służbę powiedzieć nie można?!

Tej zaś właśnie nie można było zdradzać żadną miarą. Należało zamknąć się samodwa z Żegotą, opowiedzieć wszystko i w cztery oczy dokonać przeistoczenia, nie dbając o to, co plebs później powie. Niech sobie sługi tłumaczą wedle woli, jakim sposobem obdarty chłop znikł, a szlachcic pojawił się na jego miejsce. Niech się głowią, doszukując się przyczyny zdarzenia; jeśli chcą, niech wierzą w cud. Mniejsza o to. Nikt hołoty nie pyta o zdanie. Ale zwierzać się pachołkom, jeść z nimi w czeladnej, odsłaniać przed nieurodzonymi swoją biedę, mówiąc: „Otom jest szlachcic w takim upodleniu” – nie było godziwe, należne ani przystojne.

W miarę jednak, jak się oddalał od Braszni, a zadowiony głód ssał coraz uporczywiej wnętrzości, wędrowiec poczynił żałować, że tak pochopnie opuścił zamek, rezygnując zbyt łatwo z ujrzenia pana Żegoty. Mógł przecie nie gadać z pachołkami, a parę słów łacińskich do komendanta napisać. Po prostu. Że też mu to nie przyszło w porę do głowy! Żyjąc w puszczy od dwóch lat zapomniał widno, że istnieje sposób porozumienia się między ludźmi urodzonymi pewny i łatwy – pisanie. Parę słów, niezrozumiałych dla nikogo z plebsu, wystarczyłoby dla szybkiego sprowadzenia Żegoty. W braku papieru i pióra mógł napisać kawałkiem węgla na korze brzozonej, na cegle, na liściu, na czym bądź...

Nie ma co, sam pokpił sprawę...

Przystanął, gotów zawrócić. Obejrzał się za siebie. Uszedł spory kawał drogi, gdyż Brasznia leżała na wzgórzu i lekko schodziło się w dół. Więc piąć się pod górę z powrotem? Żał mu było przebytej przestrzeni, zbliżającej bądź co bądź do domu.

„Pal licha Żegotę – postanowił na koniec. – Nie dziś to jutro najdalej spotkam nową strażnicę i tam się już z komendantem dogadam. Podobnego głupstwa jak tu nie powtórzę.”

I ciągnął wytrwale na zachód szerokim wojskowym szlakiem. Wbrew oczekiwaniu jednak nie spotykał nigdzie żadnej załogi, żadnego prezydium. Nie spotykał w ogóle nikogo. Strażnice były opuszczone, wsie puste, niby wymarłe. Domy zabite deskami na glucho, podwórka zarosłe chwastami. W rozwartych chlewach nie było ani jednego krowiego ogona. Nigdzie ni ludzi, ni żywiny. Zdarzały się czasem chaty wyglądające na zamieszkałe, lecz na widok nadchodzącego zamykano je

pośpiesznie, ryglowano od wewnątrz, obyczajem ludzi żyjących od dłuższego czasu pod obuchem koszmaru i trwogi.

– Nowa wojna tędy przeszła, czy co? – rozmyślał Kaźmierz. – Dwa lata w puszczy siedząc, mogłem o niej nie wiedzieć...

Dobijanie się do zaryglowanej chaty było bezcelowe. Nie otworzą, natomiast można oberwać kijem po głowie. Kaźmierz zdążył już nabyć zasadniczej cnoty ludzi poślednich: cierpliwości. Udał, że się oddala, a o kilka kroków dalej przysiadł w lesie. Zbierał jagody, stanowiące podstawę jego obecnego pożywienia, i czekał. Pod wieczór otworzyły się drzwi chaty. Chłop wyszedł z koromysłem i dwoma próżnymi wiadrami. Kaźmierz wstał i podszedł ku niemu.

– Sława Bohu! – zaczął.

Człowiek podskoczył z gniewu na widok obcego i zawrócił, jak do ucieczki. Widząc, że zbiec nie zdąży, postawił wiadra na ziemi i chwycił za koromysło, stając w pozycji obronnej.

– Idź precz, ty diable! – zawołał.

– Jaż nie zbój – przedkładał Kaźmierz. – Z daleka idę...

– Idź precz, bo ci łeb rozwalę!

– Ani wiem, czego się sierdzisz... Połóż kij. Nie chcę nic złego.

– Idź precz! – powtarzał chłop uparcie. Oczy łyskały mu jak u wilka.

Widząc, że go nie ujedna, Kaźmierz zatrzymał się.

– Co tu się stało, że domy puste? – zapytał. – Wojna była?

– Skąd idziesz, że nie wiesz? – mruknął gospodarz. – Gorzej niż wojna – zaraza!

I nagle, niechając wiader, skoczył ku chacie, zamknął się w niej, zasunął zaworę. Wędrowiec nie próbował iść za nim. Wyjaśniły się puste domy, wymarłe wsie... Zaraza! Zaraza, najgorszy wróg, sroższy od Tatarów... Podszedł do chaty, zastukał w ścianę.

– Durny chłopie – wołał – nie bój się! Nie chcę cię widzieć. Powiedz tylko: dawno tu było powietrze?

– Rok będzie, jak się zaczęło – odpowiedział przez ścianę gospodarz.

– Czy królewskie załogi stoją po gródkach?

– W Braszni stoją, a tu nigdzie nie ma. Wojsko uciekło przed morem.

– A czego mnie nie chcesz puścić?

– Wiem ja, czyś nie zapowietrzony?

– No to ostawaj z Bogiem.

Każmierz machnął ręką i powlókł się dalej. Źle się składało, źle. Gorzko pożałował, że w swoim czasie do Braszni nie wrócił. Szkoda mu było wtedy iść pod górę, a teraz wypadnie wędrować. Bóg wie jak długo, nim swoich spotka. Szlachta niczego nie bała się tyle co moru.

I znowu szedł, szedł. Na wykarczowanych polanach rosło bezpańskie żyto, już bielejące. Każmierz wchodził bezkarnie w gąszcz zbożowy, zrywał niedojrzałe kłosa, tarł je i wyjadał miękkie jeszcze, mleczne ziarna. Chleb, dobry, razowy chleb, o którym tylekroć marzył, przychodził ku niemu w tej niestrawnej i mozolnej postaci. Szedł i szedł traktem ku Orszy, wszędzie napotykał ślady niedawno wygasłej epidemii, która wyludniła kraj. Patrząc na zbliżające się mury miasta

obmyślił sobie nie iść tym razem do komendanta załogi, lecz do fundowanego przez macierzystego dziada klasztoru, którego przeora dobrze znał. Do klasztoru puszczają każdą biedotę, nie bronią wstępu nikomu. Wszedłszy zażąda spowiedzi, której mu też nie odmówią. Dopieroż wyzna, kim jest. Dopieroż się przyoblecze. Dadzą mu jeść... Zaprowadzą go do łaźni...

Łaźnia... Westchnął głęboko na myśl o tej rozkoszy. Na równi z zaspokojeniem głodu marzył o gruntownym odczyszczeniu ciała. Wyparzony, ostrzyżony, ogolony, poczuje się znowu sobą. Mnisi niech go obleką, w co chcą, bodaj w habit, byle nareszcie zrzucić obmierzłe podarte gacie i Syruciovą sukmanę. Sukmanę przesiąkłą potem, gdy leżał śmiertelnie ranny, gdy kopał jamę na dzika, gdy się znoił szukając najlichszego pożywienia, sukmanę, co zawarła w sobie treść ubiegłych dwóch lat życia. Odrzucić ją jak najprędzej!

Lecz u bram grodu spotkała go znowu przeszkoda. Z obawy ponownego wybuchu zarazy nie wpuszczano do miasta obcych, szczególnie dziadów wędrownych, grajków, komediantów i wszelkiej podróźnej biedoty. W obecności Kaźmierza wjechał swobodnie w bramę bogaty orszak pański z licznym i sutym taborem, lecz gdy on chciał wejść, strażnik zastawił halabardę w poprzek piersi, sklął grubo wędrowca i kazał odejść. Staroście poszedł do drugiej bramy, w nadziei, że uda mu się jakoś przemknąć, ale nadaremnie. Strażnicy dobrze zważali. Może gdyby rozpaczliwie płakał i jęczał, i o pozwolenie szukania ratunku w klasztorze błagał, byliby go w końcu puścili, znudzeni prośbami, ale Kaźmierz tego nie uczynił. Tkwiła w nim hardość szlachecka, nie pozwalająca zniżać się do prośb. Straciwszy cały dzień

na próżne kołatanie do wszystkich bram kolejno, ruszył nie czekając rana w dalszą drogę. Upał letni trwał, przeto milej było iść nocą, a w dzień spać na miedzy. Kłosa zwierzały się nad śpiącym z szelestem, jakby dziwując się wracającemu. Słuchał ich urodzajnego chrzęstu i myślał, że sążone mu widocznie dojsć nie poznanym aż do rodzzonego domu.

Dwa miesiące wędrówki miały, kiedy nareszcie wszedł w ojcowe włości, w swoje włości, bo wszak on był jedynym dziedzicem. Jak okiem sięgnąć wszystko było jego: lasy pełne zwierza, pola uprawne, rybne stawy, młyny, wsie, folwarki i chutory. Dla niego owce porastały runem, roiły się niezliczone pnie, stadniny pędziły jak burza przez łęgi, dojne krowy wracały z pastwiska, w drodze kapiąc mlekiem z ciężkich wymion. Wszystko, co żyło i rosło, jemu przynależało. Dziwnie było uprzytomnić to sobie idąc z pustym żołądkiem, obolałymi nogami i wyglądem nędzarza.

Gdy w oddali ukazały się drzewa okalające Głębokie, jego rodową siedzibę, jego najwłaśniejsze gniazdo i dziedzictwo, poczuł zawrót głowy i osłabienie tak wielkie, że położył się na trawie przy drodze i leżał bez ruchu. Siłą nawoływał rozpierzchłe myśli do spokoju, do opamiętania. Którędy wejdzie w obejście? Komu wyjawi, kim jest? Ach, tylko matce! Jej jednej, nikomu innemu... Przejdzie przez tok do piekarni i powie, że ma do dziedziczki zlecenie od przeora bazylianów. Mnisi często przysyłali do dworu to za tym, to za owym, więc nikt się nie zdziwi. Matka dobra, miłosierna, nie odprawi go jak Żegota, wyjdzie sama albo każe wprowadzić do sieni... A może powiedzieć, że pielgrzymem jest, z daleka idącym? Ej, nie, zejdzie się tłum bab i służby, a

on musi zostać z matką sam. Więc zlecenie poufne od przeora... Zamknie drzwi, zostaną we dwoje. Dopieroż padnie jej do nóg i zawoła: „Jejmość pani matko! To ja! Kaźmierz!”... Przytrzyma niewiastę, bo się zachwieje, osłabła. „Matko, matuchno, to ja!” Ona odgarnie mu włosy z czoła, odnajdzie syna pod pokrywą nędzy, obejmie najczulszym uściskiem... Zdziwił się sam sobie, że szukał Żegoty, że chciał kołatać do przeora, gdy przecie jej, matce, jej jednej mógł się bez wstydu w swym poniżeniu pokazać... Tylko jej...

„...O matko...” Na myśl, że ją za chwilę zobaczy, że wszystko stanie się niechybnie tak, jak sobie wyobrażał, ogarnęła go ponownie słabość. Leżąc na trawie płakał radosnymi łzami. Na koniec wstał i powłókł się dalej. Nogi miał ociężałe, myśli bezładne, serce biło nieprzytomnie. Przy drodze rataj Iwaśko zaorywał rzepak ozimy, już zebrany. Zawracał właśnie i zobaczywszy obcego zatrzymał się. Woły spuściły głowy i zaczęły natychmiast skubać trawę.

– Ze świata idziecie? – zagadnął Iwaśko.

– Ano – rzekł wymijająco Kaźmierz.

– Do dworu za robotą?

– Przyjęliby mnie to? Obcego? – zdziwił się starościc.

– Dawniej by nie przyjęli, teraz każdego biorą, bo ludzi brak...

– Brak? A czemu?

– Gdzieście siedzieli, że nie wiecie? Zaraza była, powietrze... Kupa ludzi pomarła.

– Na folwarku? – zapytał Kaźmierz z roztargnieniem. Śpieszyło mu się. Chciał przerwać rozmowę.

– Na folwarku i we dworze... A dziedzic i dziedziczka nasamprzód...

ROZDZIAŁ XII

Słabiście... – stwierdził Iwaśko z odcieniem współczucia, gdy Kaźmierz osunął się bezwładnie do rowu. Nie czekając odpowiedzi zgromił woły, które w międzyczasie wywróciły pług, krzyknął: „Het'ia! k'sobie!” i jął orać na nowo. Kaźmierz pozostał bez ruchu, jak obuchem uderzony.

...Umarli! Oboje umarli!... Wszystko przewidywał, tylko podobna możliwość nie przyszła mu nigdy do głowy. Nie ma ojca, nie ma matki! Nie ma matki! To, o czym płacząc z radości marzył przed chwilą jako o rzeczy niechybnej, nie stanie się nigdy, nigdy... Ręce matczyne, co miały odgarnąć kołtun z czoła i rozpoznać jej dziecko, rozpręgiły się już w grobie, nie dotkną go nigdy, chyba we śnie. Wiele ciężkich rzeczy spotkało Kaźmierza w latach ostatnich, lecz ten cios był najśroźszy, niepowetowany, okropny. Rodzice nie żyją... Więc kto rządzi Głębokiem? Konstanty?... Któż by inny? Tak wypada z prawa. Najbliższy krewny, rodowiec. Konstanty... On... Co uczyni, gdy się dowie, że zabity przez niego brat żyje i domaga się dziedzictwa?... Czy ustąpi? Do najszczęśliwszego synowskiego żalu dołączyła się świadomość własnej klęski i porażki. Bieg rzeczy, dotąd tak prosty, począł się wikłać w przeraźliwy sposób. Dopóki żyli rodzice, wystarczyło, by rozpoznali syna, powiedzieli: „Ten ci jest!” – i Kaźmierz wracał w swoje prawa. Skoro rodziców zabrakło, kto poświadczy i przytwierdzi? Jeżeli Konstanty prawdzie zaprzeczy, ogłosi wracającego impostorem, Kaźmierzowi wypadnie chyba przeprowadzić uciążliwy dowód prawdy, zbierać świadków, co by zaprzysięgli, że on jest istotnie zaginionym starościcem...

Więc zamiast iść prosto do domu, do swojego rodzinnego, najważniejszego domu, wygnaniec musi udać się do biskupa, z biskupem przed stany sejmujące albo nawet do króla... Mozolnie szukać sprawiedliwości, zabiegać o to, co oczywiste, wyjaśniać, co jasne, wywlekać na forum publiczne nieszczęście swoje i zdradę krewniaka...

Usiadł na trawie, z bezbrzeżną żalością patrząc na drzewa i dachy wychylające się zza wzgórza. Był już u progu! A teraz musi znów odejść na Bóg wie jak długo. Sądy nie bywają śpieszne. Musi odejść... Już zawracał, gdy ogarnęła go gorzka, nieopanowana chęć zobaczenia ojcowizny z bliska. Wejdzie w obejścia, otrze się o ludzi, posłucha, co gadają... Może to bezpiecznie uczynić, bo przecież nie pozna go nikt, jak nie poznał Iwaśko... Gdy osiągnąwszy sprawiedliwy wyrok powróci tu jako prawowity pan, nikt nie pozna w młodym dziedzicu dziada, co kiedyś wałęsał się po podwórzu. Trzeba wejść... Rozpyta, zobaczy... Dowie się... Kto wie, może Konstancy nie rządzi Głębokiem?... Może Beata nie należała do zdrady i wierna jest narzeczonemu, tak jak obiecała?... Powiedział jej przy rozstaniu: „Czekaj na mnie, dziewczko moja”... Ona pocałowała go w czoło i powiedziała: „Będę czekać”... Może teraz ludzie powiadają: „Zginął” – ona zaś: „Dopóki jego ciała nie obaczę. dopóki jego prochów nie przyniesiecie – nie uwierzę...” Może istotnie czeka nań najmilsza?...

...Pójść... pójść... Nic pozna go nikt na pewno. Jenó trzeba baczyć pilnie na każde słowo, na każdy odruch, by się nie zdradzić przed nikim. Gdyby go służba poznała, jakżeby później mógł nad nią przewodzić?

Wchodził już w bramę, gdy przypomniały mu się psy strzegące obejścia, nie puszczające nikogo obcego. Nie

tylko głębokie ogary słynęły w okolicy, lecz i brytany podwórzowe, zajadłe i mocne. „Nie potrzebujemy, chwała Bogu, grodzić toku – mawiał często komisarz, pan Bies Korolko – bo psy każdego rozszarpią." Pieczę nad nimi miał stróż Matwiej, którego lubujący się w przezwiskach łacińskich komisarz nazywał Nocturnus.

Skoro Kaźmierz pojawił się w bramie, stary brytan leżący opodal na kupie mierzwy zawarczał groźnie i pocałował iść ku oberwańcowi z sierścią zjeżoną na karku. Wielki i płowy, sprężył się do skoku. Kaźmierz przystanął, zawołał półgłosem:

– Zagraj! Na tu, na, piesku! Na tu, na!...

Na dźwięk znajomego głosu pies przypadł do ziemi, nie przestając warczeć. Wpatrywał się w obcego, niuchał idący od niego zapach. Kły obnażał, a równocześnie ogonem kreślił nieśmiały znak powitania. Suka wypadła z boku, rozdrażniona i zajadła.

– Zagraj, Śpiewka, dobre pieski... – powtarzał Kaźmierz głosem zdławionym wzruszeniem. Poznały go! Przysiadły obok siebie, patrząc nieufnie, a zarazem czule na obcego, co nie był obcym na pewno. W ich uczciwych psich duszach panował niewątpliwie zamęt nie do rozplątania: Któż to przyszedł? Zapach dziada, wygląd dziada, a głos znajomy, pański... Niezdolne rozwikłać zagadki, odeszły i położyły się spokojnie przy budzie. Znaczyło to: „Nie wiemy, kim jesteś, ale nie będziemy ci bronić wstępu". I Kaźmierz wszedł. Nic nie zmieniło się w obejściu od jego wyjazdu. Wszystko było zupełnie tak samo. Rozległy majdan podwórzowy, stajnia otwarta, zagrodzona drągiem, w głębi gąsior z pręgierzem, spichrz, brama wiodąca wprost do dworu...

...Dwór... Dziwnie było patrzeć nań oczami parobka, patrzeć nie od wjazdu, lecz od chlewów i lamusa. W stajni parskały konie. Kaźmierz schylił się pod drągiem i wszedł do wnętrza. Naprzeciw w klatce jego koń, jego stary, dobry Wezyr, na którym bił się pod Dorohobużem! Serce załopotało wzruszeniem. Czy i ten pozna głos pana? Za Wezyrem stoja, jak dawniej, Sułtan, Grom, Ali Baba...

– A ty tu, gałganie, skąd? – Stajenny Prokop zerwał się ze skrzyni od owsa, na której drzemał, i podskoczył do włóczęgi. – Kto cię tu puścił?! Matwiej! Bywaj!

– Czego? – zapytał Nocturnus wyłażąc zza węgła.

– Dlaczego psy uwiązane?! Kto chce, po podwórzu chodzi!

– Psy spuszczone. O, tam leżą. A ten po co wlaź!

– Śrutę chciał koniom wyjadać!

– Nie chciałem śrutę wyjadać – odparł Kaźmierz.

– Nie łzyj! Widziałem, że zaglądałeś do żłobu! Ty dziadu! Wynos się, a pókiś cały!

– Ja za robotą... Na pańskie bym chciał... Kto tu rządzi?

Wzruszyli ramionami.

– A któż by? Komisarz.

– Weźmie mnie?

– Pewnie weźmie. Ludzi brak.

– Dziedzica nie ma, że komisarz panuje?

– Stary dziedzic zmarł, a teraz jest młody, ale one się do folwarku nie mieszają. Wiadomo, panowie!

– Ten młody to syn starego?

– Krewniak. Syna zabili na wojnie.

– Jak było synowi?

– Bo ja wiem? Widzi się: Kaźmierz.

– Żalowali go, że zginął?

Stróż i woźnica spojrzeli na ciekawego dziada ze zdziwieniem.

– Pana żalować? Wszystkie one jednakie, a każdy pies.

– Młody dziedzic żonaty?

– A jakże. Niedawno. Pół roku, jak się ożenił. Z panną, co się tu chowała.

– Jak ją wołają?

– Nie wiemy. My na nią gadamy gadzina, bo zła.

– Starą dziedziczkę (głos Kaźmierza załamał się wzruszeniem, aż musiał odchrząknąć) też nazywali gadziną?

– I... i... nie. Nieboszczka ludzka była. Jeno co komu z tej ludzkości, kiedy ona swoje, a szafarka swoje...

– Próźniaki! Łazęgi!... – grzmiał za nimi niespodzianie głos pana Korolki.

Kaźmierz obrócił się. Ujrzał tuż przed sobą dobrze znajome oblicze, nastroszone wąsy, gniewny wzrok męża słynącego z umiłowania sprawiedliwości.

– Ty, hultaju, skąd?! – grzmiał dalej komisarz. – Kto cię przyprowadził?

– Nikt. Sam przyszedłem ze świata.

– Do głupiego mów. Tu obcy nie wejdzie. Matwiej!

– Upraszam łaski jaśnie wielmożnego pana, on naprawdę sam wszedł. Psy są spuszczone, a nic mu nie powiedziały.

– Zestarzały się juchy. Zagraja warto by struć, a młodszego kundla wziąć... Więc czego chcesz? Roboty?

Przez twarz Kaźmierza przemknął cień uśmiechu. Ano owszem. Warto zobaczyć, jak wyglądają w praktyce

principia pana Korolki, którymi tak lubił się chwalić. Przyda się ta eksperyencja na później...

– Roboty – przytwierdził.

– Mówi się: proszę łaski jaśnie wielmożnego pana. Jak cię wołają?

– Kaźmierz.

– A ojcu jak było?

– Grzegorz – rzekł odruchowo starościc i z przerażeniem pomyślał, że już sam się zdradził. Lecz komisarz ani drgnął. Świat szlachecki i świat pospólstwa były tak od siebie odległe, że żadna koincydencja pomiędzy nimi nie mogła go zaniepokoić.

– Kaźmierz – powtórzył. – Chyba nietutejszy?

– Tutejszy, owszem.

– Czyj poddany? Od Moskwy wędrujesz?

– Święciański jestem – odparł Kaźmierz spoglądając spode łba i badawczo w twarz pana Korolki, który strzepnął palcami z niezadowoleniem.

– Święciański... – powtórzył z niesmakiem. – Uciekleś stamtąd, świniarzu?

Uciekłem.

– Dlaczego? Ciężko było.

– Aha, pracować się nie chce? Myślisz, że tu wolno próżnować? Zobaczysz, bratku! Nocturnus! Wołaj Kociuka!

Stróż Matwiej pobiegł co tchu. Prokop wziął zgrzebło do ręki i szeszywał z zadu Wezyra niewidoczny pył.

Kaźmierz stał nieporuszony. Zły śmiech aż go dławził. Ejże, panie Korolko, ejże, gdzie twoje maksyimy? „Cudzego poddanego zatrzymać, to jakby kradzioną rzecz przechowywać”... „Na sprawiedliwości wszystko stoi”... „Sprawiedliwość to najprzedniejszy fundament”... Tak,

tak... Dobre zasady, kiedy robotnika nadto. Dobrze, że on, Kaźmierz, na podwórze zaszedł. Nauczył się już niejednego... Stróż nocny wracał ze starszym ratajem.

– Kociuk! Jest parobek dla ciebie. Bierz go do przewracania siana. Karbowy niech wyda grabie.

– Jestem strasznie głodny – zauważył Kaźmierz.

– W południe dostaniesz żreć. A mówiłem ci już raz, że mówi się: proszę łaski jaśnie wielmożnego pana. Żebym drugi raz nie przypominał, bo baty... No, jazda!

Odszedł gwizdząc i trzepiąc się harapem po cholewach. Prokop odłożył natychmiast zgrzebło i wyciągnął się na skrzyni z powrotem. Kaźmierz z Kociukiem przyglądali się sobie wzajemnie. Kociuk był starym chłopem o łagodnej twarzy.

– To jak na was wołać? – zapytał nieśmiało. – Kaźmirek?

– Można – zgodził się Kaźmierz. – A na was?

– Mnie Dmytro.

– Mnie Matwiej – wtrącił się stróż. – Komisarz mnie przezwiał jakimś Nokurnusem. One zawsze tak. Jak na psa na człowieka wołają. Bodaj je zaraza!

– Uch – rzekł Prokop urągliwie, przeciągając się na skrzyni. – Tęgiego dostaliście, Dmytro, parobka. Niewiele się wasza pożywi...

– Chodźmy po grabie – zwrócił się Kociuk do przybysza.

– Słyszeliście, co powiadam? – śmiał się stajenny.

Kociuk machnął ręką i wyszedł. Kaźmierz za nim. Karbowy już czekał na nich. Zwymyślał, że tyle czasu darmo tracą, i posłał na łąkę. Szli jeden za drugim w milczeniu.

Kociuk wyciągnął zza pazuchy kawałek chleba, rozłamał na dwoje.

– Macie. Gadaliście, żeście głodni.

– Bóg zapłać. Kaźmierz podniósł chleb do ust prawie z nabożeństwem. Był twardy, zakalcowaty, przesiąkły zapachem potu, ale chleb. Najlepsze jedzenie na świecie.

– Dawno nie jadłem chleba – rzekł przełknąwszy ostatni kęsek.

– Na przednówku trudno o chleb – przyznał Dmytro. – Moja zebrała trochę żyta, jak ją do szuflowania wołali. Co dzień garsteczkę... To z tego... Inaczej nie byłoby chleba.

– Nie wystarcza wam zboże, co dostajecie? – zapytał ostrożnie Kaźmierz.

Może by starczyło, ale młynarz za przemiał połowę bierze.

– Połowę! To cygan, jucha!

– A cygan. Prawie mówicie.

– Czemuż komisarz pozwala?

– Ba, ba! Podstarości jeszcze pilnuje, żeby nikt na stepie ani na żarnach zboża nie tłukł, tylko do młyna odnosił. Taką młynarz ma umowę z dworem. Za to arendę sutszą płaci.

– To dwór kiepsko tutaj rządzi?

– Jak to dwór – odparł Dmytro filozoficznie.

– Żeby tamten młody nie zginął, może by było lepiej?

– Bo ja wiem? Chyba nie. Wszystkie panowie jednakie. Pieniądzy im dużo trzeba. A z czego pieniądze? Z chłopów. Ja tam zresztą na panów nie gadam. Inne gadają, ja nie. Z gadania nic nie przyjdzie. A jak pan może być dobry? Żeby chciał, nie może. Majątek odda, do dworu chłopą zaprosi, czy jak? Między sobą może

one ta i dobre. Dla siebie. „A jednak ja będę dobry” – myślał Kaźmierz. Doszli do łąki pokrytej przywiedłymi pokosami. Przewracali je pod baczynym okiem podstarościego, uwijającego się między robotnikami. Kaźmierz ze znużenia ledwo trzymał się na nogach, ale pracował gorliwie. W południe Dmytrowa przyniosła jedzenie. Wiedziała już o przyjęciu nowego parobka i na widok Kaźmierza na twarzy jej odmalowało się głębokie rozczarowanie.

– Dziad mruknęła pogardliwie. Sama była dość młoda, lecz brzydka, o tępym i złym wyrazie twarzy. Wołano na nią Praksesta.

– Niczego widzi się człowiek – odparł pojednawczo Dmytro i podsunął towarzyszowi garnek. Przyniesione przez Praksestę jedzenie było szkaradne. Polewka z lebiody podobna tej, jaką karmiła niegdyś Kaźmierza Artemijowa. Zjedli ją jednak chciwie do ostatka, wyrzucając pływające po wierzchu muchy. Baba kucnęła opodal i obejmując dłońmi czarne stopy, przyglądała się jedzącym niechętnie.

– Miałam jednego dziada do oporządzania – zauważyła z goryczą – teraz będzie dwóch.

Mimo swego przygnębienia Kaźmierz mało się nie roześmiał. Może być spokojna. Nie będzie go obrządzała, gdyż odejdzie jeszcze dziś. Właściwie czemu nie odchodzi zaraz? Chyba już wie dość? Chyba już wie wszystko, co mu trzeba. Pragnął jeszcze jednej rzeczy: zobaczyć z daleka Konstantego i Beatę. Popatrzeć na nich. Gorzka przyjemność, której sobie odmówić nie umiał. Bo gdy powróci tutaj jako Kaźmierz Korsak, dziedzic, już ich nie zastanie. Nie mogą się tu znajdować. Więc aby ten jeden raz. Tam w oddali widać psiarnię.

Koło psiarni wiedzie droga, którą zazwyczaj wyjeżdża się na łowy. Nie może być, by dziś lub jutro nie przejeżdżali tędy.

Dzień dłużył się niepomierne. Stopy bolały, dłonie parzyły jak ogniem. Słońce dopiekało. Nareszcie nadszedł wieczór i robotnicy sznurem zeszli z łąki.

– Kto tu mieszka? – zapytał Kaźmierz Dmytra, wskazując na poły rozwaloną, dobrze sobie znaną chatę.

– Filemon. Ten stary, co idzie przed nami.

– Sam siedzi?

– Sam. Syna miał, ale go zachłostali, bo chciał uciekać, a żona potem zmarła. Powiadali, że z żalości. Strasznie za chłopcem biadała.

Często tu ludzi biją na śmierć?

– Dawniej trafiało się nieraz. Odkąd zaraza była, uważają, bo i tak robotników nie staje. Czego skapo, to szanowane. Powiadają, że z Korony mają przywieźć dwie wsie. Jak przywiozą i ludzi będzie dostatek, znów bić zaczną... Ot, tutaj moja chałupa.

Weszli do ciemnego wnętrza. Kaźmierz aż się zatchnął od panującego w nim smrodu. Chałupa stała w pobliżu dworskiej obory i gnojówka podciekała pod przyciesie.

– Paskudne miejsce – sarknął.

Prakseda wyszczerzyła zęby.

– Dobrze, bo blisko toku. Kraść poręczniej.

– Kradniecie? – zapytał Kaźmierz.

Dmytro westchnął, jakby z żalem.

– Cóż robić, bracie? Nie wyżyjesz inaczej.

Zjedli resztą polewki pozostałej z obiadu i położyli się spać. Kociukowie na barłogu, Kaźmierz opodal na ziemi. Po dawnemu sukmana Syruciowa (ach, kiedyż jej się

pozbędzie!?) jako okrycie i posłanie, zgięte własne ramię jako wezglowie. Leżał, daremnie czekając na sen. Myślał o zmarłych rodzicach, o swoich dziwnych kolejach. O tym pierwszym swoim noclegu po powrocie do ojcowizny. O principiach komisarza, pana Biesa. O smrodzie trwającym w izbie. O doli ludzkiej, i znowu o matce. Matka... Nawet jej dobroć nie mogła przełamać istniejącego porządku rzeczy... „Dziedziczka swoje, a szafarka swoje...” „Ale ja przełamię – postanawiał. – I ludziom będzie u mnie dobrze. Odwdzięczę się Dmytrowi za chleb, pobuduję nowe chaty... Ja to zrobię. Ja tu wrócę. Nie dam się wyzuc z ojcowizny. Głębokie moje jest i będzie moje...”

Noc była głucha, gdy zasnął, toteż zdało mu się, że ledwo zamknął oczy, gdy karbowy obiegał już chaty stukając do drzwi i budząc ludzi. Wychodzili przeciągając się i chędożąc dłonią włosy, utkane żdźbłami mierzwy. Na łące odwrócone wczoraj i przeschnięte nieco pokosy składano w kopki. Kaźmierz pracował. Pobyt w puszczy sprawił, że w robocie nie wyróżniał się niczym od innych. Był równie jak oni przygarbiony, o ruchach mierzonych i powolnych. Dzień mijał długi jak poprzedni, a od dworu nikt nie nadjeżdżał. Kaźmierz już przestał się spodziewać, gdy od psiarni buchnął wesoły zgielk wyruszających w pole ogarów. Jada! Jada! Starościcowi serce poczęło walić jak młotem. Robotnicy słysząc, że państwo nadjeżdżają, zwijali się jeszcze żarliwiej, on zaś niby ściągał siano, w rzeczywistości patrzył, patrzył... Obłok kurzu widnieje na drodze. Do licha! Jada kłusem, nic nie zobaczy. Kurz opada. Przeszli w stępa. Psy biegną naprzód, poszczekując. Rozlatane uszy, wilgotne wafle. Teraz psiarczycy, a teraz oni...

Każmierz oparł się na grabiach. Konstanty – Beata... Konstanty – Beata... Małżeństwo... Już się z nim zrównali. Konstanty siedzi na Wezyrze, Beata na Ali Babie. Jadąc kłóca się. Kłóca się tak zawzięcie, że widoczne to dla patrzącego. Beata, czerwona z gniewu, powiada:

– Mam dosyć tego wszystkiego...

Konstanty obraca się ku niej, zły. Każmierz widzi go teraz twarzą w twarz. Mimo woli postąpił krok naprzód, wpił się oczami, lecz wzrok brata przesunął się po nim z obojętnością, z jaką się mija krzak, drzewo. Mówi głośno do żony:

– I mnie to zbrzydło na szczęcie...

Bolesne smagnięcie przez plecy ocknęło Każmierza. Podskoczył wzburzony. Podstarości stał za nim z harpem w ręku.

– Do roboty! – wrzasnął. Gapić się będziesz?! Dziedzic!

„A żebyś wiedział... – pomyślał Każmierz wściekły. Siłą woli opanował się, by nie wyróżnić zuchwalca w pysk, i jął się grabi. Oni tymczasem przejechali. Widać było tylko zady koni kołyszące się w rytm kroku. Beata poruszała żywo ręką, dowodząc czegoś mężowi.

„...Podstarości więcej mnie nie uderzy – myślał Każmierz – bo jeszcze dzisiaj odejdę. Odejdę. A kiedy wrócę, zła jego godzina. Dostanie za swoje! A oni się kłóca... Żle im! »Zbrzydło mu wszystko...« Ona »ma dosyć wszystkiego...« Co im zbrzydło? Czego dosyć? Chyba wyrzuty sumienia ich dręczą. Dobrze, że zostałem. Widziałem. A teraz trzeba co prędzej odchodzić...”

– Nie będę z wami dłużej pracował oznajmił Dmytrowi, gdy siedli w cieniu na południowy odpoczynek.

– A bo co? – zdumiał się Kociuk.

– Odchodzę. Nie widzi mi się tutaj. Podstarości mnie uderzył.

– Żarty stroicie?

– Nie żartuję. Zaraz pójde, jak tylko zejdziemy z pola.

– Rany Boskie! – jęknął Kociuk. – Dopieroż mi będzie! To ja do ciebie, człowiecze, z chlebem, a ty mnie się tak odplącasz?... Wszystko pójdzie na mnie! Że odmówilem, przegoniłem... Doloż, dolo!

Biadał tak szczerze, że Kaźmierz poczuł żal.

– Nie bójcie się. Nic wam nie będzie, bo sam powiem komisarzowi, dlaczego odchodzę.

Dmytro wytrzeszczył nań oczy jak na szaleńca.

– Powiecie?! To was nie puści!

– Nie ma prawa. Przecieżem nie jego poddany. Kociuk objął się za głowę.

– Kaźmirek! Skąd ty przyszedł!? Po jakiemu gadasz!? Gdzie tobie prawo? Pan ma prawo, nie chłop... Powiesz mu takie głupstwo, to cię zakuje, zachłoszcze...

– Obaczym – mruknął Kaźmierz zawzięcie. Nie mówili już do siebie nic do wieczora. Dzień był sobotni, więc po zejściu z pola wszyscy robotnicy zebrali się na podwórzu. Karbowi stali przy swoich gromadach, trzymając w ręku kije z nacięciami znaczącymi dni robocze. Podstarości sprawdzał te nacięcia, obliczał i podawał cyfry komisarzowi. Obok komisarza na schnących pod płótem belkach siedział marszałek, pan Kapusta. Zatrokanym, roztargnionym wzrokiem wodził po stojącym tłumie.

– Mokrzycki dał znać, że już jest w drodze z tamtymi ludźmi... Pełne dwie wsi – rzekł do komisarza.

– Już?! – zawołał urągliwie pan Korolko. – Ja bym Mokrzyckiego przepędził na cztery wiatry za to, że tyle czasu zmitrężył! Trzy miesiące, jak wyjechał, i dopiero w drodze. Na żniwa nijak nie zdąży...

– A nie, nie... Pono aż spod Piotrkowa jadą?

– Spod Płocka, ale to zarówno.

– Kapelan nalega, żeby parafię dla nich zrobić.

– I biskupa może sprowadzić?! A do cerkwi chodzić nie łaska?

– Tak samo jegomość dziedzic powiada, ale kapelan znów, że będą skargi, że to łacinniki, nie zechcą do ruskiej cerkwi.

– Będę ich pytać, czy chcą! Dla chłopca cerkiew najlepsza. Nową parafię... A jużci! Dostyc ma człowiek starych kłopotów, żeby jeszcze nowe samochcąc przybierał. Parafia łacińska!... Dziesięcinę płacić, z księdzem obchodzić się jak z jajem... Obrazi się o byle co, do biskupa ze skargą poleci. Ani go tknąć... Paroch co innego. Poddanym jest, można go oćwiczyć, jeżeli zasłuży, a nikt go za męczennika nie poczyta.

– Jać to wszystko wiem – przytakiwał pan Kapusta – tylko że kapelan...

– Ejże, niech ten jezuita cicho siedzi. Niech pamięta, że już nie ma pana starosty, świeć Panie nad jego duszą, którym jak chciał, tak kręcił. Dobrze mu tu jak u Pana Boga za piecem, to niech nosa nie tka w cudze sprawy.

– Bo pewnie, pewnie... Ja tylko tak...

– Łacińska parafia... Bodaj go! Podawaj waszmość dalej!

Kaźmierz stał opodal w szeregu, słuchając rozmowy.

Przyglądał się uważnie obu oficjalistom, nie mogąc się otrząsnąć z dziwnego wrażenia, że patrzy na nich,

sam jakoby nie widziany, ogląda tak, jak nigdy nie oglądał. Pora już jednak była powiedzieć o swoim zamiarze. Wystąpił naprzód i rzekł:

– Upraszam łaski jaśnie wielmożnego pana (niech się Bies udławi tą łaską, trzeba tak rzec, by się w ostatniej chwili nie wydać), ja już od jutra odchodzę...

– Dokąd?! – zawarczał komisarz.

– W świat. Ze światam przyszedł, w świat pójdę.

– Krokiem się stąd nie ruszysz, łazęgo! Karbowy! Temu tu nałożyć dybki...

– Słucham, wasza miłość.

– Dybek mi nie wolno nakładać – rzekł śmiało Kaźmierz – bom nie tutejszy poddany.

Nie tutejszy? A czyj?! Zgłosiłeś się sam wczoraj do roboty... Komisarz zmierzył go osłupiałym wzrokiem.

– Zgłosiłem się z dobrowoli, a teraz odchodzę. – Z chwilą, kiedyś się zgłosił, zostałeś poddanym.

– Nie. Dopiero gdybym przesłużył rok i sześć niedziel. Tak stoi w „Instruktarzu”, spisany na życzenie jaśnie wielmożnego nieboszczyka pana starosty.

Cisza zapanowała przez chwilę. Zdawało się, że pana Korolkę nagła krew zaleje. Pasował się chwilę z wściekłością, co mu tamowała mowę, nareszcie wybuchnął:

– Gnojjarzu! Buntowniku! Mądralo! Na gałąź z tobą! Wisielcze! Instruktarzem będziesz się zaślaniał! Prawo wypominał! Ty chamie! Twoje jedno prawo: słuchać! Chłopczy! Brać go i pięćdziesiąt plag! Nuże! Słyszycie?! Brać go!

– Nie dam się tknąć! – krzyknął Kaźmierz mierząc komisarza iskrzącym się wzrokiem.

– Nie dasz? – powtórzył pan Korolko straszonym, przyciszonym szeptem. – Nie dasz? Obaczym!... Na co czekacie, drapichrusty?! Brać go!

– Nie wiesz, ktom jest! – zawołał Kaźmierz z rozpaczą. – Ja...

Urwał, bo tuż za nimi rozległ się tętent. Konstanty Korsak z żoną wracali z łowów przez dziedziniec. Nie patrzyli wcale w tę stronę, niemniej Kaźmierz zamilkł, zdjęty wstydem. Nie przestał jednak walczyć rozpaczliwie. Gniew wrócił mu dawną zręczność – obalił trzech ludzi, bronił się jak zwierz. Rwał się ku samemu panu Korolce. Zagrzani tą nieoczekiwaną walką, parobcy wrzeszczeli wniebogłosy i rzucali się na obcego zapamiętale. Mimo wysiłków starościca obalili go, powlekli rżężącego przez dziedziniec do pręgierza.

Pan Korolko trząsał się z pasji.

– Alem się zgnowiał – mówił do marszałka. – Taka jucha może człowieka o śmierć przyprawić!

– Skąd o „Instruktarzu” zasłyszał? – zdumiewał się pan Kapusta.

– Ba, skąd! To jasne. W Święcianach widno podawał do stołu. Nawet go sobie przypominam. Wysoki, gęba zbójecka... Przy biesiadzie, jak to zwykle, gada się o różnych materiach, nie bacząc, że chamy słuchają i edukują się... A łotr! Krew sobie zaraz każę puścić... Żeby to dawne czasy i żeby nie żniwa na karku, już on by żywy nie wyszedł. Powiesiłbym hultaja albo sto różeg wlepił, żeby na kobyle zdechł... Trudno... Wybaczę ten pierwszy raz... No co? Przywiązali go już?!

– Gdzie tam, wasza miłość. Taki niby cherlak, a rady mu dać nie mogą...

Jakoż parobcy z trudem obezwładniali Kaźmierza. Pod pręgierzem stała ława zwana kobyłą, na której odbierano chłostę. U nóg ławy znajdowały się kluby na ręce i stopy delikwenta. Choć starościc nie przestawał bronić się jak oszalały, zdarto z niego na koniec sukmanę, nagiego rzucono na ławę, przypięto klubami. Teraz zadowoleni parobcy śmiali się, patrząc na jego bezsilne wyprężanie grzbietu, szarpanie klubów, aż stawy trzeszczały. No, no, dobry ptaszek, wnet się uspokoi...

– Puśćcie mnie! – ryczał Kaźmierz. Czuł swoją okropną śmieszność. Choć nieprzytomny z wściekłości, pamiętał jednak, że jeżeli kiedykolwiek ma tu wrócić, nie wolno mu teraz zdradzić się, kim jest. I zamilkł, gdy pachołcy się rozstapili, czyniąc miejsce panu Korolce, za którym szedł Matwiej z pękiem różeg.

Zaczęła się egzekucja...

– Co tam za klamor? – zapytał Konstanty pachołka, biegnącego, by odebrać konie. Oboje z Beatą wrócili z przejażdżki w lepszym nastroju, niż wyjeżdżali, gdyż łowy powiodły się setnie. Uszczuli dzika i dwa rogacze.

Pachołek, snadź ubawiony, zasłonił usta dłonią.

– Upraszam łaski waszej miłości, pan komisarz kazał oćwiczyć tego nowego, co się wczoraj zgłosił.

– I o to tyle krzyku?...

– A bo on się strasznie broni. Parobków to tak roztrącał po toku jak niedźwiedź...

– To mi chwat... Jak go wołają?

– Kaźmirek, a ojcu podobnoż było Grzegorz...

– Kaźmierz, syn Grzegorza?... To śmieszne – szepnęła Beata.

Konstanty nic nie odpowiedział. Nasepił się znowu, co było u niego stanem zwykłym. Wiodło mu się tak dobrze,

marzenia jego spełniły się tak szybko i całkowicie, że
czuł z tego powodu prawie przerażenie. Człó

wiek bezkarnie nie osiąga wszystkiego, czego pragnie. Zabił Kaźmierza. Wprawdzie ciało zabitego znikło bez śladu, niemniej Konstanty wiedział, że krewniak nie żyje. Nie mógł żyć. Strzał z tak bliskiej odległości musiał być śmiertelny. Zastanawiał się nieraz, co się z ciałem stało, zwłaszcza, że po paru dniach w tym samym miejscu znaleziono część przyodziewku Kaźmierza, jego pas i szablę, nie trwożył się jednak zbytnio tym dziwnym zdarzeniem. Powrócił do stryjostwa, przyprowadzając konia, przywoząc rzeczy zmarłego, dodając, że był świadkiem jego śmierci w polu. Rozpaczaliż starzy, rozpaczali! Stryjenka szczególnie odchodziła od zmysłów z żalu. Beata nic nie mówiła. Wodziła za Konstantym oczami z pytającym wyrazem. On nie przyznał się jej, nie mówił nic, gdy wdziała żałobę po narzeczonym i nosiła ją przez pół roku. Po żałobie starosta wysunął myśl małżeństwa pomiędzy młodymi, na co Konstanty ze skwapliwą godnością przystał. Chodził wtedy rozgorzały i szczęśliwy. Chwilami zapominał o popełnionej zbrodni. Tyle razy opowiadał o śmierci Kaźmierza, że sam poczynał wierzyć, iż brat zginął w bitwie. Potem przysła zaraza, jęła dziesiątkować ludzi. Konstanty nalegał, by wyjechać do Wilna opuszczając zapowietrzoną okolicę. Domagała się tego i Beata, lecz stryjostwo odmówili. Śmierć jedynaka złamała ich, zgasiła, odebrała możność przedsięwzięcia czegokolwiek. A że boleść przy tym pozbawiła ich organizmy wszelkiej odporności, zasłabli najpierwsi. Umarli w odstępnie kilku dni, jedno po drugim. Powszechny lęk przed zarazą był tak wielki, że mało kto zjechał na pogrzeb. Ojciec Dominik z trudem uprosił asystencję paru odważniejszych księży. Świec

było skąpo, bo ludzie bali się przyjść z woskiem do dworu, ciała stały na katafalku wszystkiego

cztery dni, po czym pochowano je śpiesznie, bez mów, bez ostentacji, jak to zwykle bywa w czas moru, gdy każdy ogląda się tylko, któredy jak najlepiej od umarłego uciekać.

I wszystko to stało się tak nagle, że Konstanty sam sobie nie wierzył, widząc się w niespełna tydzień dzie-dzicem Głębokiego, przez stryja umierającego prawnie naznaczonym spadkobiercą całych włości, z obowiązkiem poślubienia Beaty i fundowania rokrocznie tyłu to a tyłu mszy za duszę Kaźmierza i jego rodziców.

Osiągnął zatem, co marzył: ukochaną dziewczynę i majątek. Wszystko, czego tak zazdrościł Kaźmierzowi, przyszło doń samo, weszło w ręce. Nie dziw, że czuł się nieraz tą uprzejmością losu przerażony.

Dręczyło go przy tym usposobienie Beaty. Z racji żałoby ślub ich był bardzo skromny, prawie cichy. Konstantemu to dogadzało, natomiast Beata czuła się pokrzywdzona. Byłaby wołała poczekać jeszcze rok, ale mieć szumne wesele. Czuła do męża żal za zbyt ni po-śpiech. Poza tym w okolicy panowała w stosunku do nich pewna rezerwa i chłód. Zmiany zaszły w Głębo-kiem zdawały się wszystkim nadto szybkie. Potrójny zgon, nowy właściciel, jego ożenek – zaskoczyły panów sąsiadów, przyzwyczajonych, by każdą rzecz starannie rozważać i długo omawiać. Nie mieli zasadniczo nic przeciw młodej parze, lecz na razie trzymali się z dala, potrzebując czasu dla zżycia się z nowymi ludźmi. I to też dogadzało Konstantemu, a dokuczało Beacie. Ona pragnęła błyszczeć. Pragnęła wykazać swoje zdolności dziedziczki i pani domu. Marzyła o kuligach, hucznych zjazdach i zabawach sąsiedzkich. Zresztą była w trzecim

miesiącu ciąży, co ją czyniło rozdrażnioną i gniewną.
Złościła się lub płakała o byle co. Pasja mi

łosna Konstantego, jego nienasycone pożądanie męczyło więcej, niż zachwycalo, i nie starała się ukrywać tego przed nim bynajmniej.

Były to powody błahe, bardzo kobiece, i gdyby Konstanty miał czyste sumienie, nie przejmowałby się fochami żony na pewno. Ale on popełnił zbrodnię. Był mordercą. I dziwna rzecz, im czyn popełniony stawał się odleglejszy, tajemnica pewniejsza, tym więcej o nich myślał. W końcu, rzecz można, nie myślał o niczym innym. Podejrzliwy z natury, w tej tajemnej sprawie doszukiwał się przyczyny, dla której Beata nie odpowiada zapalem na zapal, uniesieniem na uniesienie. Ona nie mówiła nigdy o Kaźmierzu – po prostu dlatego, że będąc z natury bardzo trzeźwą, uważała, iż nie warto poświęcać uwagi temu, czego nie ma. Nie żył. Stało się. Konstanty tłumaczył sobie tę powściągliwość opacznie. Nie rozumiał, by mogła zapomnieć człowieka, którego on ciągle widział przed oczami. Przypuszczał, że Beata domyśla się prawdy. Nie chce pytać, lecz przeczuwa, że mąż jest mordercą. To przekonanie sprawiało, iż niejednokrotnie chciał wyznać: „To ja go zabiłem”. Wstrzymywał się ze względu na stan żony, na wstrząs, jakiego mogłaby doznać, i z obawy, że gotowa po takim wyznaniu rzucić go, a on żyć bez niej nie mógł...

Wszystko to sprawiało, że ich pożycie nie było tak szczęśliwe i radosne, jak należałoby mniemać. I dlatego przypadkowe podobieństwo imion zmarłego i przybłądy ze świata, które Beata nazwała śmiesznym, nie ubawiło Konstantego

wcale.

ROZDZIAŁ XIII

Kaźmierz leżał porzucony bezwładnie na trawie, tak jak go zdjęto z ławy zwanej kobyłą. Na nogach miał nałożone kajdanki. Chciało mu się wyć z bólu, wściekłości i wstydu. On, szlachcic, otrzymał chłostę jak poddany! On, z rodu, w którym od wieków jeśli ojciec karał synów, to na kobiercu – był bity publicznie na ławie wobec podwórzowej gawiedzi! Na myśl o tym ogarniała go nienawiść straszliwa, nienawiść tak silna, że nie wyobrażał sobie dotąd, iż może istnieć podobna. Nienawiść do komisarza, do marszałka Kapusty, do podstarościego, do Matwieja, do parobków, którzy go chwyтали. Szczególnie jednak do komisarza. „Bydlę syczał przez zaciśnięte zęby. – Bydlę!... Zapłaci mi za to kiedyś... Zapłaci...” Jak?... Wobec krzywdy doznanej żadna pomsta nie była dostateczna, najgorsze męki zdawały się niczym. Byłby chętnie zgodził się skonać natychmiast, byle móc zostać upiorem i dręczyć pana Korolkę przez wieczność. Nie dać mu spokoju na tym ni na tamtym świecie. Zdało mu się, że nawet widok komisarza już martwego nie rozbroi jego gniewu i wściekły pastwić się będzie dalej nad zwłokami. „Jak Iwan i Daniło nad trumną dziada...” – przemknęło przez głowę. Nie zwrócił na ten podszept uwagi, cały pochłonięty własnym bólem, upokorzeniem i krzywdą. Gdy powiedziano mu o śmierci matki, sądził, że większe nie-

szczęście spotkać go nie może. Omylił się. Spadła nań rzecz jeszcze cięższa: wstyd! Po hańbie doznanej jakże będzie żył? Wszakże o tym, co się stało, nigdy, przeznigdy zapomnieć nie zdoła...

...Chociażby sto lat żył, zapomnieć nie zdoła...

Zdruzgotana miłość własna, godność osobista człowieka wolnego – piekły gorzej niż rany pooranych batem pleców. Zresztą sam ból – to drobiazg. Nie takie rany przyjmuje się w boju, nie takie cierpienie znosi się z uśmiechem. Udręka nie na tym polegała.

Gryzł własne pięści do krwi, tocząc bezradnie głową po zakurzonej, zdeptanej murawie, w prawo, w lewo, w prawo, w lewo... Naraz poczuł na twarzy dotknięcie ciepłego jęzora, kosmaty, muskularny kształt przyległ do boku. Co to?... Zagraj!... Przytula się, łasi, skomli, jakby współczuł, jakby powiadał w psiej mowie: „Wiem już, ktoś jest! Wiem!”...

I Kaźmierz płacze, czując ulgę w płaczu, całuje poczciwy psi łeb. O zwierzę dobre, przenikliwsze od ludzi, zwierzę pamiętliwe! Jedyne przyjacielu, odzyskany w ojcowiznie! Kiedy Odysej wracał do Itaki, poznał go również tylko stary, wierny pies...

Gwizdnięcie rozległo się w dali. Matwiej nawoływał Zagraj a. Po chwili sam nadszedł zaniepokojony.

— Wyrwał mi się i poleciał w tę stronę – rzekł objaśniająco, stanąwszy blisko leżącego. – Nie pokaleczył was?

Kaźmierz nic nie odpowiedział, gdyż na sam głos stróża poczuł, że szczęki zwierają mu się w nowym napływie wściekłości. Niech no Matwiej nachyli się nad nim – on go schwyci za kark i zdusi. Zdusi na śmierć.

Skręci kark łotrowi, który bił różgą szlacheckiego syna!...

Lecz Noctumus, zamiast się nachylić, wyciągnął zza pazuchy krzesiwo i jął krzesać ogień. W przelotnych błyskach iskier Kaźmierz widział wydęte dmuchaniem wargi stróża i dół jego twarzy, tępej i raczej łagodnej. Na koniec zajęła się hubka, od hubki łuczywo. Matwiej pochylił je w dół.

– Święta Trójco! – jęknął ujrawszy Zagraj a leżącego przy pobitym, – Zadaliście coś temu psu? Zaczarowaliście go?! Toż on nikogo obcego nie zniesie... Wczoraj jak skoczył na Wawruszkę, myślałem, że chłopca na strzepy rozerwie... A przecież widział go już wiele razy...

Potrząsnął głową i zagadnął poufnie:

– Dobrze mieć sposób na psy... Pewno owczarzem byliście gdzie? Go?

Nie doczekawszy się odpowiedzi zgasił łuczywo, schował i usiadł na ziemi. Ani się domyślając uczuć targających Kaźmierzem, ciągnął przyjacielsko:

– Żaden swoich sposobów nie powie. Na pewno byliście owczarzem, praktyki znającym... Bo i wczoraj... Tylu ludzi nabić... Mirona dotąd od waszego kopnięcia brzuch boli... I samemu komisarzowi się postawić!... Chwat z was, Kaźmirek... Widzieliście też, żem bił tylko dla pokazu, żeby komisarz na mnie się nie sierdził... Jak mam do kogo złość, biję mocniej...

Kaźmierz odchrząknął coś niezrozumiale. – ...Jeszcze nie słyszał, żeby kto do komisarza tak śmieje gadał... Kto was nauczył? Bo to i mało który owczarz potrafi... Jakbyście byli ze szlachty... Żeby więcej naszych znało pisane sprawy, może by było lepiej... Gadają zawsze: „Panu wszystko wolno... Pan ma wolę

nad poddanym"... A może ono tak nie jest? Może jakby do króla pójść, toby swawoli nie pozwolił? Jeno gdzie

króla szukać? A dostęp uprosić? Król daleko, podstarości blisko...

– Miłościwy pan – szepnął Kaźmierz schryplłym głosem – ujmuje się, owszem, za poddanymi... Niektórym szlachcicom inkwizycję wytoczyć kazał...

Nocturnus pokiwał głową.

– Patrzajcie, ludzie! Inkwizycję! – Nie rozumiał, co to słowo znaczy; tym większe uczyniło na nim wrażenie. Powtórzył je półgłosem parę razy i odszedł śpiesznie, prawdopodobnie, aby się z kimś tą wiadomością podzielić.

Kaźmierz poczuł obrzydzenie do samego siebie. Kimże on jest? On sam? Na kogo gada? Przeciw komu podburza? Przeciw swoim? Po czyjej stronie należało stanąć: po chłopskiej czy własnej, szlacheckiej? Będąc wiernym rodowi, powinien był Matwiejowi odrzec: „Poddany ma słuchać pana i we wszystkim mu podlegać. Taki porządek Bóg ustanowił... To, co mnie dziś uczyniono, słuszne jest”...

...Słuszne?! – Kaźmierz wzdrygnął się na samą myśl. Podobne słowa nie przeszłyby mu przez gardło. Słuszne – gdy każde włókno ciała dygotało oburzeniem, bólem, rozpaczą... Straszliwe było właściwe lico ładu, tak zachwalanego przez pana Korolkę! Nie sprawiedliwość to była, lecz zbrodnia!

„...Zbrodnia w stosunku do mnie, szlachcica – usiłował uspokajać sam siebie. – Nieurodzeni nie czują tak jak ja. Dla nich podobny ustrój jest potrzebny.”

...Wybiegi, czyste wybiegi. Ilekroć posiłkował się tym odwiecznym argumentem stanowiącym fundament panującego porządku, ilekroć wywlekał owo: „Inaczej

czują ci, inaczej tamci" – wnet jak gorzkie zaprzeczenie
jawiła się przed oczami zrozpaczona twarz Antona,

chłopskiego syna, który chłopskiej doli znosić nie chciał. Do niego, Kaźmierza, o ratunek się uciekał. Chwytał błagalnie za strzemień ruchem, jakim tonący chwyta się deski zbawienia. A cóż wtedy uczynił on, młody dziedzic? Umył ręce jak Piłat od męki Chrystusa, przystał na straszną śmierć chłopca... Zaprawdę, tak uczynił... I znów podszept nagły, ostry, nieodparty: „Nie za profanację zwłok dziadowskich Bóg cię karze, ale za Antona!” ...Za Antona...

Zrozumiał. Westchnął głęboko. Poczłł uspokojenie, jakie schodzi na człowieka, kiedy pojmuje sens tego, co się z nim dzieje. Zawinił – cierpi. Był to jednak spokój krótki. Myśl rozbudzona nie chciała spocząć, drażyła dalej sumienie. O, nie żeby jeszcze szukał obrony dla siebie! Głos, który mu winę wskazał, zbyt był dominujący, pewny, by go próbował podawać w wątpliwość. Tym zgrzeszył. Lecz cóż było wyjątkowego w zdarzeniu z Antonem? Codziennie w dziesiątkach i setkach dworów szlacheckich na całym obszarze Rzeczypospolitej dziesiątki, setki i tysiące podobnych Antonów żyje w niewoli, odbiera plagi za lada przewinienie, nie posiadając nad sobą innego prawa ni jurysdykcji oprócz widzimisię pana...

Jeżeli zatem postępowanie podobne jest winą, za którą Bóg pokarał srogo Kaźmierza, jakąż pomstę ściąga na siebie cała społeczność szlachecka, jakie skutki stąd będą dla Rzeczypospolitej?!

Zali kraj cały nie legnie zdruzgotany i powalony, jak zdruzgotany i powalony jest rochaczewski starościc? Zali nie stanie się, jak prorokował niedawno zmarły

kaznodzieja królewski, ksiądz Skarga? Namiętnymi słowami przemawiał, wróżąc pomstę Bożą za krzywdę ma-

luczkich, co jakby ziarna pod młyńskim kamieniem cierpią pod panami swymi. Podobnie mówił hetman Żółkiewski, podobnie rozumował król. Wszyscy oni czuli tak samo, ostrzegali przed złem, jeno ich głosy nie czyniły na powszechności żadnego wrażenia.

„...Ja, ja dopiero przekonam wszystkich...” pomyślał Kaźmierz, lecz wnet przygasił swój zapał. Cóż zaważy jego zdanie? Kto się z nim będzie liczyć, kto zwróci na jego wołanie uwagę? Jeżeli pocznie krzyczeć wielkim głosem: „Słuchajcie mnie, bom ja sam widział i doznał!” – wokoło wybuchnie śmiech. Wydało mu się, że już słyszy grube żarty panów braci, powiadających: „Udał się starościc. Na ławie go kładli i jako chłopą ćwiczyli... Inny z niewoli tureckiej wróciwszy nierad wspomina, że był niewolnikiem, choć u pogana cierpieć nie dyshonor, ten zaś od własnego ekonoma baty brał i nam o tym opowiada...”

I wzruszywszy ramionami odsuną się jako od pohańbionego.

...Zatem co począć?! Co począć!?

Zataić zdobyte gorzkie doświadczenie, odzyskać Głębokie i w nim porządek zaprowadzić? Korolkę odprawić, podstarościego w cugle wziąć, chaty nowe pobudować, młynarza wygonić na cztery wiatry, liczbę dni pańszczyźnianych zmniejszyć, roli dodać... Hej, najłatwiej, najmilej tak właśnie postąpić, jeno jaka stąd korzyść przyjdzie dla Rzeczypospolitej? Przykład jednego nie przekona nikogo. Krewniacy ogłoszą reformatora półgłówkiem, któremu długi pobyt w puszczy rozum pomieszał, sąsiedzi zbędą wzgardliwym wzruszeniem ramion. Wszystko wokoło zostanie po dawnemu, a kara

Boża będzie rosła, rosła, rosła, aż zwali się wreszcie na
Rzeczpospolitą...

Gorączka ogarniała mózg, rozsadzała tętna w skroiniach. Chwilami Kaźmierz popadał w majaczenie. Zdało mu się wtedy, że widzi już czarną nawałę zagłady, grożącą pysznym i nieusłuchanym. Że spełnia się przepowiednia Skargi, iż wolny naród utraci swoje swobody, i za to, że braci w niewolnictwie trzymał, sam w niewolniki się obróci... Więc wyciągając bezsilnie ręce jęczał z przerażenia i grozy. Wyteżał myśl, darmo szukając ratunku.

Nikt nie da ratunku krom Boga. On jeden zdolen zmienić serca ludzkie...

...Tylko Bóg... Imię Odkupiciela przeszło mroki niby błyskawica. Bóg zratuje i ocali. Lecz czym Go ujednać, ubłagać? Modlitwą? To oręż słabych. Od silnych Ofiar - nik Chrystus wymaga ofiary. Ofiara jest siłą, która gwałci Niebo, ofierze nie może się oprzeć sam Stwórca... Gdyby on, Kaźmierz Korsak, poświęcił sam siebie za przejrzenie swoich braci, Bóg sprawi, że otworzą się oczy i uszy szlacheckie na Jiedolę uciśnionych.

...Poświęcić samego siebie... Jak to uczynić?... W czym leży najcięższa ofiara, jaką człowiek może za braci swoich położyć?... Śmierć ponieść? To dla rycerza fraszka. Pielgrzymować, jak czynią pątnicy? A cóż to za bieda? Ofiarą może się wydać takiemu chyba, co nigdy z betów wygodnych nie wylazł...

...Odkupiciel, gdy się oddawał za ludzi, był poniżony, biczowany i oplwany... W dobrowolnym poniżeniu tkwi najwyższe poświęcenie. Bo wszystkie uczucia łatwiej w sobie złamać niż miłość własną i przyrodzone pragnienie godności.

...Więc gdyby on, Kazimierz, z własnej woli niósł dalej
– niby krzyż – sukmanę, jaką mu narzucił los?... Zatrząśł
się cały, wzdrygnął. Dusza wspięła się w nim

jak spłoszony koń. Nie, nie! Za nic! Wszystko, tyłło nie to. Nie to!

Krwawy pot oblał mu czoło. Dyszał ciężko. Obrócił się na grzbiet, chłodząc zetknięciem z wilgotną darnią poranione plecy. Nad sobą miał teraz gwiazdy. Błyszczały wysoko, jak tyleż oczu pytających: „Więc nie szukałeś największej ofiary? Tej, która zdobywa Niebo? Tej, co zda się ponad siły i możliwości człowiecze?...”

Nie mógł znieść tego pytania, przy tym poszczególne źdźbła trawy, grudki zaschłego błota uwierały nieznośnie. Obrócił się przeto znów twarzą ku ziemi. Zmagał się rozpaczliwie sam z sobą. Jak niegdyś w puszczy, ujrzał przed oczyma chwilę, gdy chorążowie moskiewscy składali przed królem Władysławem sto i dwadzieścia dziewięć sztandarów. Potem wodzowie pokonani, Szein, Biełosielski i Prozorowski, bili w ziemię czołem trzy razy, aż król wyciągnął dłoń i rzekł, że już dość. On, Kazmierz stał opodal. Ponościła go radość i duma, że do rycerstwa polskiego należy, i miłość żarliwa ku Rzeczypospolitej, pragnienie, by tej Ojczyźnie najdroższej złożyć w ofierze krew, życie i duszę...

A teraz, gdy możność tej ofiary staje przed nim, cofa się i drży, i potem Ogrójca się poci, jak narowisty koń wyłamuje się i odmawia...

„Bo nie podołam – tłumaczy się sam przed sobą. – Nie podołam... Co innego zginąć w polu, skoczyć w bój, w wodę, w ogień, żywo spłonąć, zemrzeć z ran – a co innego długie lata żyć w bydłectwie...”

...Nie podołam...”

I znów ten sam głos co pierwiej, podszept płynący nie wiadomo skąd, ostry, przenikliwy, nieodparty:

„Nie podążasz! Zaprawdę, żaden z was nie podąża
niczemu, co mu nie jest miłe... Żaden! Przeto upadnie

ta Rzeczpospolita... Nie utrzyma się świat oparty na swawoli i przemocy jednych, ucisku drugich... Rycerski świat, wolny i piękny, sercu twojemu nad wszystko miły, świat honoru i odwagi, bujnie szybującej myśli, królewskiej fantazji, nieposkromionego męstwa – polski stan szlachecki zginie, przepadnie, śladu po nim nie zostanie. Co było wielkością, stanie się spodleniem. Wspaniała siła tworząca polskie dzieje wspomинana będzie z urazą albo przekleństwem. Kamienie padną na groby rycerzy... Dla gąsiora, pod którym leżysz, dla ławy zwanej kobylą, dla bata podstarościego, dla chałup dworskich nad gnojówką postawionych, gdy przy dworze wirydarz pysznie się rozkłada... Tylko dlatego potomni zapomną wam zasług, a wyniosą i okrzyczą winy. I przeklną! Więc biada tym, co póki był czas, ostrzegawczego głosu słyszeć nie umieli..."

- Boże! Boże miłosierny! – jęczał Kazmierz. Dygotał jak w zimnicy. Stracił świadomość, kim jest i gdzie się znajduje. Jak gdyby już był na Sądzie Bożym, jakby podsłuchał wyroki niebieskiego Trybunału. Tuż przed szeroko otwartymi oczyma miał ziemię, cierpliwą, urodzajną matkę ludzi. Nie widział jej w mroku, lecz czuł zapach pyłu, chleba, nawozu i zwiędłych badyli, a w uszach brzmiał ciągle ten sam straszny głos z zaświata. Czyj głos?! Bóg przemawia czy Kusiciel?! I co on, Kazmierz, człowiek nieszczęśliwy i mizerny, ma w tej rozterce uczynić?...

Godziny mijały. Kogut zapiał. Wnet odpowiedziały mu w opłotkach inne. Matwiej obszedłszy obejście nawrócił do leżącego. Zagraj podbiegł, lizał, wachał. Kazmierz nie poruszał się. Stróż miał szczerą chęć nawią-

zania rozmowy z domniemanym owczarzem, mądrała – i stał skrobiąc się za uchem. Na koniec, sądząc, że

przybłąda śpi, odszedł zabierając psa. Kaźmierz nie spał, lecz nie słyszał ni przyjscia ich, ni odejscia, świadomość jego zapadła w głębie, których istnienia sam nie podejrzewał. Gdy się ocknął, lico miał zalane łzami. Podniósł głowę i zapatrzył się w mrok bielejący już przecuciem brzasku. Szukał gwiazd. Pogasły wszystkie już prócz gwiazdy zarannej, jutrzeńki błyszczącej świetnie ponad widnokregiem. Zawisnął na niej oczami. Usta mu drżały, jakby składał ślubowanie. Modlił się długo. Niby przez sen w modlitwie postłyszał kroki. Zapewne Matwiej powracał. Ktoś mu przytknął do warg naczynie z wodą. Wydała się strudzonemu cudownie orzeźwiająca. Pił chciwie. Gdy nareszcie naczynie odsunęło się od warg, spojrzął z żalem za odchodzącym. I zdumiał. To nie był Matwiej! Ktoś obcy, a przecie znany. Widział go gdzieś, kiedyś... Któż?... Czy nie ojciec Andrzej Bobola Societatis Jesu?...

Noc odeszła, zbierając rozwleczone po krzakach i załomach cienie. Świt różowiał. Poranny chłód przejmował do kości. Opodał Kaźmierza leżała zdarta zeń wczoraj Syruciowa sukmana. Podczołgał się ku niej ostrożnie, bo kajdanki na nogach i przyschłe strupy na plecach utrudniały ruchy, i narzucił kapotę na obolałe ramiona.

— Ej, ty strzepie wełny - pomyślał – nie rozstać mi się już z tobą aż do zbytej śmierci...

Okryty sukmaną siedział nieruchomo, patrząc, jak na folwarku zaczyna się zwyczajny, powszedni dzień. Parobcy ciągnęli wodę ze studni. Chlustali nią na dłonie i przeciągali po zmierzwionych włosach. Żurawie skrzypiały przeraźliwie. Gdy nalano wody w długie

koryta, wybiegły ze stajni tłocząc się konie. Prychały,

tuliły uszy, pijąc opierały nozdrza na wodzie. Żurawie znowu skrzypiały. Pojono jałowizny. Dójj, zaczęty jeszcze po ciemku, był już skończony i do jarki szły rzędem, niosąc skopki pełne spienionego mleka. Ciepły zapach dolatywał aż ku leżącemu. W oborze myczały krowy, macierzyńsko, przeciągle. Cielę, snadź już nassane, wypadło z ciemnego wnętrza, z zadartym w górę ogonem cwałowało po podwórzu. Na widok nieruchomo siedzącej postaci stanęło w pędzie, wytrzeszczyło na Kaźmierza z podziwem wielkie połyskliwe oczy. Podstarości, ważny jak zwykle, chodził tu i tam, uderzał harapem po swoich palonych butach. Na koniec zjawił się i sam komisarz. Huknął groźnie i przyszedł pod gąsior.

– Cóż? – spytał drwiąco, stanąwszy nad Kaźmierzem.
– Kiedy odejdiesz?

– Nie odejdę już, proszę... proszę łaski wielmożnego pana...

Wiedziałem! Nabrałeś rozumu... Mam miękkie serce, więc na ten raz daruję. Dybki ci zdejmą i od południa możesz iść do roboty...

– Dziękuję, proszę łaski wielmożnego pana... Komisarz odszedł zadowolony, pogwizdując.

– Temu tam zdejmcie żelaza – rzucił do podstarościęgo. – Po jego minie widzę, że nie ucieknie. Skruszał całkiem. O, ja wiem, jak postępować z ludźmi!... Kociukowa niech mu jeść przyniesie, a od południa do siana!

– Słucham, wasza miłość. Tylko że z tym sianem... Ludzie narzekają, że niedziela...

– Cóż to, nie wiem, że niedziela?! Katolik przecie
jestem. Dobrze pamiętam. Ale siano trzeba zwieźć. Lu-
dzie odpoczną sobie innym razem. Po siewach.

– Słucham, wasza miłość.

Stróż Matwiej, zwany Nocturnus, obowiązany był pilnować obejścia do chwili, w której pobudzi dojarki i parobków. Wtedy mógł uwiązać psy, odejść i spać do południa. Tym razem jednak nie skorzystał ze swego prawa. Czekał nieopodal gąsiora na nadejście komisarza, okrutnie ciekaw, jak się odbędzie ponowna rozmowa między wielmożnym panem Korolką a ochłostanym przybłądą, owczarzem. Czy znów będzie bójka jak wczoraj? Ciekawe, bardzo ciekawe. Ale przybłąda rozmawiał pokornie i stróż poczuł się zawiedziony.

– Bodaj go! – mruknął spluwając. – Wczoraj zdawał się inny, a dziś taki sam jak wszyscy.

Podobny zawód odczuła Prakседа. Przyszła z garnczkiem strawy lepszej nieco niż wczorajsza, bo odrobinę zabelonej mlekiem. Idąc poruszała zalotnie biodrami i wykrzywiała uprzejmie swą szpetną twarz. Lekceważony przez nią parobek o wyglądzie dziada okazał się siłaczem i zadzierzystym zawadiaką. Po wszystkich chatach opowiadano z dziwem o wczorajszej walce. Kopnięty w brzuch Miron, choć krzepki parobek, dzisiaj jeszcze wymiotował. Nie dziw, że czuła się zadowolona.

– Pójdźcie do chałupy – namawiała Kaźmierza. – Obłożę wam grzbiet liśćmi. Pójdźcie... W żelazach można iść, byle pomału... Jejej, jak to was zsiekli! Zarazy! Chleba kromeczkę jeszcze w skrzyni mam. Nie pożałuję. Niczego wam nie pożałuję... Pójdźcie... Dmytro to parszywy dziad... Mnie młodej życie zawiązał... Cni się przy nim...

Mówiła długo, kusząco, lecz Kaźmierz zdawał się nie słyszeć jej słów. Jadł machinalnie, oczy miał szeroko rozwarte, wlepione tępo przed siebie. Aż Prakседа spoj-

rzawszy nań raz i drugi urwała, splunęła, jak przedtem
Matwiej. I tego nie zauważył.

ROZDZIAŁ XIV

Pokryty strupami grzbiet boli nieznośnie, męką jest każdy wyrzut ramion, podniesienie wiązki w górę. Siano pachnie natrętnie, mocno jak wspomnienie. Wspomnienie brodzenia po łąkach z rusznicą za ptactwem błotnym. Wczesną wiosną wieczorne ciągi słońek... Słonka leci wysoko i szybko jak kula. Rysuje się czarną strzałką na różowiejącym od łuny zachodu niebie. Niełatwo ustrzelić słonkę. Mały ptaszek, niezdatny do niczego, jest radością i dumą myśliwca... A oto teraz ciężkie jak kluski krzyżówki lecą kluczem nad łąkami. Spojrzeć za nimi, gdzie też zapadają... Oszalałeś, parobku?! Wara odrywać oczy od roboty! Och, jak bołą plecy... Niby jedna, nad wszystko boleśniejsza rana. W ustach zasycha od pragnienia, w głowie buzuje wczorajsza gorączka. Byle doczekać wieczora. Położyć się nad strugą, nałopać wody jak pies, a potem leżeć na trawie nic nie wiedząc, nie czując, nie myśląc...

...O takim mroku ciemnym, a zarazem świetlistym dobrze byłoby podchodzić głuszca na tokach... Ejże, za późno na głuszce... Dawno przestały tokować... Przyszłą wiosną dopiero zagrają na uroczysku w puszczy Hołubickiej. Jeno ty na nie nie pójdziesz, panie starościcu...

Słońce się zniża, bąki huczą w trzcinach, komary rojem obsiadają twarz mokrą od potu. Ramiona mdleją,

grzbiet uwiera coraz mocniej. Dzień dzisiejszy nigdyż się nie skończy?... Z lasu na łąkę wychodzą sarny z rogaczem. Patrząc na robotników nie boją się wcale. Wiedzą, że ci polować nie będą...

Czy jaśnie pan dziedzic wyjechał dzisiaj z jejmością na łowy? Czy będzie powracał tędy? Hej, bracie, czemuś lepiej nie wymierzył?... Kto strzela, niech strzela celnie. Nie zabiłeś – a zabiłeś. Zamordowałeś. Przeklinać cię za to czy nie? ...Schylę się nisko, nisko, jaśnie panie, tak nisko, jak mi strupy na grzbiecie dadzą... Pozwól ostać i te okruszyny brać, których psy już nie chcą jadać... Co za słowa?! Gdzie to było?... „Których psy już nie chcą jadać...” A rękę, oko ćwicz w strzelaniu, bo niepewne...

– Co gadacie? – zapytał Hawryło podający siano na wóz obok niego.

nje ga[la]łem, człowieku... Tak, panie bracie wielmożny, tak... Na moim Wezyrze jeździsz, psami od Cybeli szczujesz, w ojcowym łożu z moją narzeczoną sypiasz... Ot, powiódł ci się los... Gdzie ty, gdzie ja... Może byśmy się pomieniali?

Cięgiem coś gadacie... – nalegał Hawryło.

—i Gadam? Już przestanę... Będę milczał, milczał, milczał... Milczek jestem... Abel jestem... Ablową ofiarę Bóg przyjął... Przyjmili moją czy nie?...

Ostatnia fura siana, spiętrzona wysoko jak dom, zjeżdżała z łąki kolebiąc się na wybojach. Dwóch ludzi podtrzymywało ją z boków grabiami. Chwiejąc się nie mniej od wozu, Kaźmierz podązał wraz z Kociukiem za sznurem wracających robotników. W dusznej smrodliwej chacie, rojnej od much, oczekiwała ich Prakseda.

– Narwałam liści chrzanu – oznajmiła patrząc

przymilnie na Kaźmierza – a tu, patrzcie, mam krzy-
ną masła...

– Masło?! – zadziwił się Kociuk.

Ukazała triumfująco zawiniętą w liść małą, żółtą, na
poły roztopioną bryłkę.

– Byłaś we dworze? -r- dopytywał mąż.

– Zaleciałam do szafarki, niby pytać, czy do plewie-
nia nie trzeba, a tu patrzę, z komnaty wynieśli farfur- ki...
Jedzenie od dziedziczki. Dziedziczka podobnie słabuje,
bo z dzieckiem już chodzi... Do łoża każe sobie jedzenie
podawać... Masła tyle na miseczce... Palcem wygarnęłam
i pod fartuch przylepiłam. Nikt nie widział. Wysmaruję
wam plecy, do rana znaku nie będzie...

Śmiała się zadowolona, błyskając w mroku zębami. -
Ilfg Daj wpierw jeść – upomniał się Kociuk.

— Poczekaj, dziadu – mruknęła. – No, rozdzie- wajcie
się.

Kaźmierz zwlókł posłusznie z ramion kapotę. Pochy-
lony w przód, poddawał się smarowaniu masłem, którego
nie dojadła Beata. Myślał tylko o tym, że za chwilę
spocznie. Nie na trawie wprawdzie, bo koło domu gno-
jówka, lecz spocznie i zaśnie...

Noc już była, gdy go zbudziło dotknięcie. Co? Czy już
wstawać? Karbowy budzi? Zaledwie przecie zasnął?...
To nie karbowy... Praksesta! Nachyla się nad nim.
Zapach nie mytego babskiego ciała aż dusi.

– Lżej wam? – pyta natarczywie.

– Tak, tak – przyznaje Kaźmierz niechętnie.

– Wiedziałam, że będzie lżej. Masła dla was skra-
dłam...

– Cicho! – przerwał. Usiadł i jął nadłuchiwać.

Drogą, tuż za ścianą chaty ktoś cwałował konno. Takim pędem w głuchą noc? Co za jeździec? Psy rozszczeakały się chóralnie na podwórzu...

– Pewnikiem dziedzic --stwierdziła Prakseda. – Mówili we dworze, że jak go coś takie najdzie, to goni jak gomon...

– Dokąd goni?

– Po lasach... Złe go widać opętało. Zbiesił się. Widno teraz dopiero powraca. Masła znów jutro przyniosę... Niczego nie poskapię... Stary śpi, nie bójcie się...

t-tjn Ja też chcę spać – rzekł Kaźmierz odwracając się. W głowie kołatało: „Nocami gna po lasach... A ja, ja – mogę spać... Nic mnie nie gna... Czy to brat cię straszy, bracie?”

– Zdażycie się wyspać do rana... – szeptała Prakseda. – A stary śpi.

– Nie, odejź! – odpowiedział twardym już głosem. Wyprostowała się, wściekła i urażona.

– Gnojarczy! |||| syknęła. – Włóczęgo! Parszywy kołtunie!...

Kopnęła go w plecy, aż zaniemówił z bólu, i wróciła na swoje miejsce. W ciemności Kociuk roześmiał się cicho. Sądząc z odgłosu, jaki się rozległ, zdzieliła go za to potężnie pięścią. Cisza zaległa duszną izbę, tylko w ścianach szeleściło robactwo. Kaźmierza sen odbiegł. Nie myślał o Praksedzie. W uszach brzmiał ciągle tętent konia cwałującego po nocy; w oczach postać jeźdźca pędzącego z brwią chmurnie ściągniętą. „...Czy to ja cię straszę, bracie?... Ja śpię, widzisz, śpię... śpię...”

Na koniec zasnął.

– Loboga, loboga... ani się z kim po chrześcijańsku ugadać – narzekał Maciej Kmieciak, najstarszy z osad-

ników przybyłych spod Płocka. – Jakby was tutaj, Kaźmierk, nie było, skapiałby człek ze szczętem między tymi brodacami, co ludzkiej mowy nie znają...

– Ja też jestem brodaty, a ludzie tu nieźli... – bronił Kaźmierz.

– Ludzie, jak to ludzie... Swój, choć zły, jest dobry; obcy, choć dobry, jest zły... A tu obce... Loboga! Czym to się kiedy spodziewał, że mi przyjdzie na obczyznę iść, na cudzym gruncie umierać?...

– Toście nie chcieli tu przyjść? – pytał Kaźmierz. W pustym zasieku stodoły kręcili obaj z zeszłorocznej żytniej słomy powróśla, potrzebne do wiązania owsa.

Kmieciak spojrział na pytającego z wielkim zdumieniem.

:— Niby czy my chcieli?... Bogać tam! Kto by z dobra woli od swojej ziemi odchodził? My tam z dziada pradziada na tym samym gruncie siedzieli... Mój ojciec prawil: „Maciek, może jeszcze kiedy ten kęsek ziemi wykupisz, żeby la nas ostał na zawsze"... Nie wiem, jak tutaj, ale w Koronie wolno za grunt zapłacić. Wtedy pan przenieść na inny łan nie może i dzieci ziemię dziedziczą... Już ich gdzie indziej nie osadzą... Jużcić poddanyś jak wpierw, ale nie przenoszą. Tylko, że kto by uzbierał pieniądze?! Chyba na służbie przy dworze albo na wojnie... Więc przenoszą... A człowiek jak ten kierz... Schnie, kiedy go wyrwać...

Odrzucili skręcone powróśla, podejmując nowy pęk słomy.

– ...Kieby ten kierz... – powtórzył Maciej. – Ej, żeby jeszcze choć raz, raziczek na tamte strony popatrzeć... Śliczności kraj. Wisła płynie... Nie widzieliście nigdy

Wisły, to nawet nie wiecie, jak taka wielka woda
wygląda...

– Widziałem – odparł Kaźmierz. – W Warszawie byłem.

– Z końmi pewnie? Toście widzieli... Siwa, szeroka... Płyńcie sobie wolno, nie śpieszy się nidokąd... Poczeka morze, poczeka... Łachy piasku żółtego na niej, a na łachach gąski bieluskie... Albo bieluskie, albo szare, bo i dzikie tam siadają... Po brzegach łązy. W łożach woda ciepła, jak nagrzana. Chłopaki w niej brodzą... Czajkom jaja podbierają... Brzegiem wierzby, a każda dziurawa. Rokity na nie wołamy. Wieczorem niedobrze koło rokity przechodzić, bo mieszka w nich czasem Złe... A za wierzbami pastwiska i pola... Wsie gęsto. Byłeś na górceczkę wyszedł, już wieś nową widzisz. Lasu mało... Nie to co tu, gdzie człowiek w omroczy jak leśny zwierzę żyje. U nas jest wesoły kraj... Po Wiśle płyną oryle do Gdańska... Ognie wieczorami palą i śpiewają... Głos po wodzie idzie daleko, daleko, aż do wsi... Dziewuchy stają przy płocie, słuchają...

– Ziemia tam dobra?

– Gdzie tam... Piaski prawe. Dobrze się człowiek na nich namozoli – a przyjdzie susza, wypali wszystko do cna... A przyjdzie woda – Wisła dookolusiańska cały kraj zaleje... Lekko nie było, bo nie, ale że u siebie...

Zapatrzył się daleko, jakby widział płową równinę mazurską i szarą Wisłę, leniwie po niej płynącą.

– Jak się rozeszło, że nas wywieźć mają – podjął po chwili – lament się zrobił a płacz... Baby na ziemię padały. „Ubijcie nas i dziecka – wołały – nie pójdziemy!” Dopieroż dziedzic przyjechał... Na dziedzica wołali Szydłowski, a był sędzią ziemskim płockim. „Żal mi was, ludzie dobrzy – powiada – samemu łyżę się do ócz

tłoczą, ale cóż poradzę?... Trzy córki rutkę mi sieją,
wianować nie mam czym, a po dukacie za głowę

daje mi za was pan głębocki. Więc trudno..." Ano... Poszli my za wiano dla onych córek. Potem jeszcze gadał długo, do jakiej dobrości idziemy. „Ziemia sama rodzi – mówiU^ Pańskiego dwa dni w tygodniu. Za pół roku żaden z was wracać nie zechce..." Ot, takie pańskie gadanie. Mało my i słuchali... Gdzie by tam dwa dni na pańskim! A ziemia tu licha... Roboty więcej...

– Wiele tam mieliście dni?

– Cztery z ćwierćlanka, jak tu... Człek by wyżył, żeby nie daniny... Danin u was więcej. My dawaliśmy kury, jaja, sery, płótno, przędzę... Tu jeszcze trzeba dołożyć grzybów, orzechów, jagód i miodu... Za otworzenie cerkwi zapłacić...

– Co?

– Nie wiecie? Dziedzic puścił cerkiew w arendę. Paroch przed nabożeństwem po ludziach chodzi i jajka zbiera. Dla arendatora na opłatę. Inaczej nie otworzy i nabożeństwa nie będzie...

– Dawniej nigdy tego nie bywało! – zaperzył się Kaźmierz.

– Nie wiem, jak było dawniej, a powiadam, jak jest teraz. Nie wierzycie, idźcie w niedzielę obaczyć. Mnie za jedno, bo do cerkwi nie chodzę. Ja łacinnik... Po co mi na starość wiarę zmieniać?

– Wiara ta sama. To cerkiew unicka.

– Gadanie! Jakże ona taka sama, kiedy ruska? Nie po łacinie, nie po polsku, a po rusku... To i nie chodzę. Do płockiej kolegiaty, zawsze chodziłem. Uciecha była przed ołtarzem przyklęknąć, Boga pochwalić... Ja gospodarz, nie komornik, z gospodarzami stałem. Teraz

już nie pójde... Jak niemowa w kościele sterczeć nic
będę, bo wstyd, a w ruskiego się nie przekoę. Młodzi

już ślę po rusku śpiewać ucza... Tylko patrzeć, jak ruskimi ostaną...

Nie szkodzi, skoro tu żyć mają – zauważył Kaźmierz.

Maciej Kmiecik spojrział na niego zgorzszony.

– Tfu! Tfu! Głupstwa prawicie, Kaźmirek! Ja, Polak, Mazur z Korony, w Rusina mam się przekabacić? Swojej mowy zapomnieć? Niedoczekanie!

Kręcili dalej słomę w milczeniu. Kaźmierz myślał: „Go za różnica – Mazur czy Białorusin? Tak czy tak, poddanym jest i będzie... O co mu chodzi? Szlachcic – co innego. Szlachcic, wiadomo, choćby z krwi ruskiej, a nawet tatarskiej pochodził, polskim jest rycerzem, samym zaszczytem klejnotu...”

– Przybłądacie ze świata – podjął Kmiecik z powagą – to nie pojmujecie, że człowiek nie ma odmieniać mowy. Mowa od Boga dana, przyrodzona, święta...

„Tak, ale to dotyczy szlachty” – upierał się w myśli Kaźmierz. Nie zdążył głośno odpowiedzieć, bo cień padł na zasiek. Do stodoły wszedł podstarość. Trzepał się jak zwykle harapem po butach i mrużył oczy, nic zrazu nie spostrzegając w mroku.

– Wiele kóp powróseł macie? – zapytał.

– Nie liczy lim, wasza wielmożność.

– Próżniaki, juchy! Gadać się wam chciało! Nuże! Rachować, a żywo!

Maciej pochylił się, dzieląc powrósta po trzy. Czynił to tak pomału, że Kaźmierz odsunął go na bok, rachując szybko i sprawnie.

- Siedem kóp i ćwierć bez dwóch – oznajmił po chwili

– Cyganisz. Na domysł gadasz. Tak prędko byś nie policzył.

– Niech wasza wielmożność sprawdzi.

– Żebyś wiedział, że to zrobię, żebyś wiedział, a za cygaństwo zdiele cię porządnie.

Z wolna, uważnie podstarości jął rachować, znacząc na kiju każde naliczone pół kopy. Nareszcie skończył.

– Siedem kóp i ćwierć bez dwóch – stwierdził ze zdumieniem. – No, no, umiesz liczyć...

– Umiem.

– Może i pisać potrafisz?!

– Nie.

– Bo i pewnie... Skąd by... – Podstarości patrząc w ziemię zamyślił się głęboko. – Będiesz ze mną chodził i snopy liczył – obwieścił niespodziewanie.

– Wasza wielmożność, ja wolę zostać przy zwykłej robocie.

– Ty dumny capie! Barania głowo! Ty wolisz?... Łaskę ci robię... a ty...

– Ja te powrósla wcześniej zrachowałem. Liczyłbym wolno jak Kmiecik...

– Zaraz wiedziałem, że cyganisz! Ot, widzisz! Umyślnie gadałem, żeby cię przyłapać. Łgarz jucha... Mądralę udaje... Ale mnie nie oszukasz. No, zwijajcie się! Siedem kóp tylko! Powinno być już dziesięć...

Wyszedł. Powrócili do roboty. Kmiecik spojrzał na Kaźmierza.

– Naprawdę liczyliście przedtem? – zapytał.

– A nie. Mam zmyślność do rachunków, ale nie chciałem z nim chodzić.

– Mielibyście lżejszą robotę.

– Nie dbam o to.

I pracowali dalej, rozcierając ręce, gdy im ścierpły od ustawicznego kręcenia szorstkich, ostrych ździebeł. Na dworze był upał. Pogoda słoneczna, żniwna. W po

ludnie baby przyszły z obiadem. Praksesta, żywiąca do Kaźmierza nieprzejechaną urazę, przyniosła stawy tak mało, że oburzony Mazur ulął towarzyszowi część zawartości swoich dwojaków.

– Spralibyście porządnie to ścierwo albo poskarżyli mężowi! – radził.

– Nie dbam o to – powtórzył Kaźmierz po raz wtóry.

– Jakiściś dziwny z was człek.

Eks-starościc nic nie odparł. Zjadł, otarł usta wierzchem dłoni. Praksesta siedząca opodal zbliżyła się. Nie spojrział w jej stronę, nie odezwał się słowem wyrzutu, choć stała chwilę, czekając. Zabrała pusty garnek i odeszła, zawijając z wściekłością kieckami. Och, jakże nienawidziła tego wzgardliwego przybłedy! Każdodziennie rozmyślała, jakby mu dokuczyć, dopiec... Zmusić, żeby się z nią kłócił, żeby ją chciał zbić...

– Niechby mnie bił, byle... byle...

Po południu upał się wzmógł. Parność zaciążyła nad światem. Powietrze w stodole stało się duszne, nie do wytrzymania.

– Będzie burza – rzekł Maciej spoglądając ku wyjściu.

– Pewnikiem będzie – przytwierdził Kaźmierz. Nie wiedzieć czemu, te proste słowa przywiodły pamięci obraz pewien, gdy wracali z lasu we troje: on, Konstanty i Beata. Spieszyli, by zdążyć przed burzą. Koło psiarni stali kapelan z komisarzem. „Zdrowoście konie zegnali” – mówił pan Korolko. „Scigalim się...” Na drodze czekała stara Baucis i prosiła o Antona... Potem weszli do sieni... Pani matka mówiła: „Komedianty przyjechały”... Na drugi dzień było przedstawienie.

Żywot

świętego

Aleksego...

Aż przystanął w robocie, tak głębokie ogarnęło go zdumienie. Święty Aleksy. Zali nie był to on sam, Kaźmierz? A może jego rodzony brat? Losy ich, choć oddzielone przestrzenią wieków, były do siebie podobne. Wtedy wraz z Konstantym i Beatą sądził, że ludzie tak postępujący musieli być chyba ulepiani z innej gliny. Nieprawda. Byli z tej samej... Oto on został Aleksym, tylko Beata nie była Famianą...

...Co powodowało tamtym, że obrał swą drogę? Czy widok nędzy świata nappełnił go przerażeniem i rozpaczą? Czy doznał zdrady? Czy chciał kogoś odkupić, ratować?... Czy pragnął nieraz gorzko, boleśnie – powrócić, ale nie miał już odwrotu, jak go nie ma dziś Kaźmierz? Czy, o Boże, postanowienia swojego żałował?

Burza nadeszła wcześniej, niż się spodziewali. Na dworze zrobiło się ciemno. Wicher niósł tumany pyłu. Niebo burogranatowe, skłębione, rozjaśniało się raz za razem błyskawicami. Grzmoty huczały nieprzerwanie. Jakby rozwinął się kłębek wspomnień, a dzień dzisiejszy miał znaczenie tylko w połączeniu z tamtymi – dawnymi, Kaźmierz ujrzał burzę nocną pod Doroho- bużem, walkę po ómaku, nagły grad, szczęśliwą ucieczkę i nocleg w szopie. Wtedy to zamienił z Syruciem odzienie. Wtedy to w opuszczonej szopie smolarskiej czekała na niego Zła Dola... Wyprowadził konia, nic o tym nie wiedząc. Ani przypuszczał, że w owej chwili jego życie rozpadło się na dwie części, nic do siebie nie podobne. Tam pan, tu chłop... Ani przypuszczał, ani wiedział...

Pioruny były gęsto, ale walny deszcz nie nadchodził. Burza wyładowywała się na sucho. Gdyby spłynęła

potokami dżdżu, udęczone, duszne powietrze odczułaby
ulgę. Robiło się za to coraz ciemniej, coraz przeraźli

wiej. Drzewa gięły się do ziemi, niby w gwałtownym przestraczu. Maciej i Kaźmierz przerwali robotę, gdyż w zasięgu było mroczno jak w nocy. Przymknęli wie- rzej i siedli przy nich na ziemi, spoglądając na świat przez szparę między deskami. Za każdym błyskiem żegnali się znakiem krzyża.

– Najgorzej pioruny biją, kiedy jest burza bez deszczu – wdychał Maciej trzęsąc głową.^ Kiedyś u nas, podłe Wisły...

Nie dokończył, bo oślepiająca białość nappełniła powietrze. Huk ogłuszył. Przywarli do ziemi, pewni, że piorun uderzył w stodołę. Nie śmieli się ruszyć. Dopiero po dłuższej chwili Kaźmierz odważył się podnieść głowę i wyjrzał przez szparę.

– Jezusie Nazareński! Gore! gore!

I bez wahania otworzył wierzeje, wyskakując na dwór. Chata Hawryły, najbliższa z wsiowych chat, stała w ogniu. Płonęła jak żagiew, tryskając snopami iskier. Krowa zamknięta w chlewie ryczała rozpaczliwie i przejmująco. Chata znajdowała się nieco na uboczu, ale gwałtowny wichur niósł płomień ku wsi. Spłoszone gołębie kołowały stadem w górze. Bijący z dołu blask prześwietlał je, że zdały się purpurowe. Nieustające grzmoty głużyły krzyk zbiegających się zewsząd ludzi. W ich oczach następna chata okryła się białym, gęstym tumanem dymu czy pary, znikła w nim całkowicie i nagle stanęła w płomieniach. Żar ją rozjaśnił, ukazała na moment rysunek krokwi, budowę wnętrza, idącą na przetrzał sień, po czym wszystko zapadło się w bezkształtny, gorejący stos. Wichur porwał z tego stosu płaty płonącej słomy, poniósł na sąsiednie obejścia i

brogi. Stojący gęstą ławą ludzie krzyczeli z trwogi i
rozpaczy, lecz nie ruszali się rato

wać, gasić. Niby porażeni widokiem żywiołu, słuchali tępo ryku bydła w chlewach, rżenia koni, kwiku trzody, nie śpiesząc, by je ocalić. Nie wynosili nawet swych ubogich sprzętów, jedyne świętecznego przyodziewku wiszącego na żerdzi, kożucha, poduszki, z załamanymi rękami patrząc na dzieło zagłady.

– Ludzie! Czemu stoicie!?! – krzyczał Kaźmierz biegnąc ku nim. – Wyprowadzajmy bydło! Nuże! Żywo!

– Jak piorun zapalił, i tak nie zratujesz. Dopust Boży – odpowiedziano chóralnie.

– Cała wieś spłonie, jeśli będziecie słupników udawać! Ano, kto ze mną?! Dalej!

– Za mną! – rozległ się jakiś obcy, gromki głos. Tętent konia. Konstany! Wypadł na Wezyrze, za nim pacholek luzak. Światło pożaru odbijało się czerwono w spłoszonych źrenicach koni. Konstany zeskoczył, luzak odjechał pośpiesznie. Znów tętent, turkot. Pan Korolko sam stoi na wozie wyładowanym wiadrami, osękami, drabinami. Prokop powozi. Zajeżdża wozem niby działem pod kulami.

– Osęki brać! Wiadra brać! – ryczy Konstany. – Łańcuch do strugi! Strzechy polewać! Płoty rozebrać!...

I sam, pierwszy dając przykład, chwytą za drąg. Lecz gromada nadal stoi nieruchomo, obezwładniona lękiem przed ratowaniem tego, co piorun, ogień niebieski, zapalił. Podstarości harapem musi zaganiać ludzi, by ustawili się szeregiem i podawali wiadra z ręki do ręki. Konstany obejrzał się zniecierpliwiony.

– Kto ze mną?! – krzyknął.

– Ja! – zawołał ochoczo Kaźmierz. Chwycił osękę i ruszył za bratem. Oburącz podparli płot palący się już z

jednego końca, zwałili go z trzaskiem, cisnęli w ogień

i ruszyli zdzierać poszycie z najbliższej chałupy. Rozumieli, że tylko wytworzeniem pustki zdołają powstrzymać ogień. Przecież nie tymi wiaderkami wody, niemrawo podawanymi!... Zagrzany ich przykładem Iwaśko przyniósł drabinę. Wleźli wszyscy trzej na dach. Była to chata stróża Nocturnusa.

— Ruszcie się wreszcie! – wrzeszczał z góry Konstanty ku stojącym na dole. – Baby niech wodę podają, a wy do drągów! Bydło ciemne! Nie stoję o wasze chaty, mam dość budulca na nowe, ale o wasz dobytek mi idzie, którego sami ratować nie chcecie!

I dalej z zaciętą energią szarpał, rozwałił poszycie, na które iskry padały jak złośliwe bąki. Kaźmierz zalewał je wodą, mimo tych wysiłków jednak po paru minutach i ta strzecha okryła się białym tumanem. Ledwo zdążyli zeskoczyć, odstawić drabinę, gdy już była w ogniu. Znów, jak poprzednia, rozjaśniła się na chwilę nietrwałą a cudną glorią, po czym zapadła w ruinie. Oni niezrażeni pobiegli dalej. Kaźmierz wyciągał konie ze stajni. Rżały dziko, zapierając się nogami w ziemię. Sam nie wiedząc, skąd się w nim biorą siły, wyprowadził uparte zwierzęta na zewnątrz. W poczuciu walki z żywiołem odzyskał dawną sprężystość, sprawność, instynkt dowodzenia. Rozkazywał nie mniej od brata, a ludzie szli za nim skorzej. Przełamali w sobie nareszcie poprzedni lęk i ruszali się żwawiej. Pan Korolko nie zostawał w tyle. Czarny, osmalony, ochryplym głosem wydawał rozporządzenia. Jak dotąd jednak wysiłki były daremne. Ogień biegł chyżo po krzakach i drzewach uschłych od panującego żaru, wyprzedzał ratujących, rozwiewał płomienistą grzywę ponad ich głowami. Gdy

bohatersko bronili najbliższej chaty, przerzucali się do
następnej, otaczał ich wieńcem ogni-

stym, zmuszał do szybkiej ucieczki. Noc tymczasem zapadła, lecz jasno było jak w dzień. Burza dawno przeszła, nikt nawet nie zauważył, kiedy, lecz piekło pożaru wzmagało się ciągle. Wiedząc, że tracą na próżno czas, usiłując ratować każdą chatę po kolei, Konstanty kazał opuścić trzy, a rozbierać szybko czwartą, stojącą pośrodku niewielkiego majdanu. Jeżeli zdołają ją roznieść, zanim ogień do niej dojdzie, przestrzeń pusta będzie dość szeroka, by pożar zatrzymać. Jeno prędko! Prędko! Rąbać wszystko! Węgły domu, drzewa wiśniowego sadku. Żeby nie było nic, nic, żadnej strawy dla płomieni!

Kaźmierz pracował tuż przy Konstantym. Spoglądał z bliska w twarz brata nabrzmiałą z wysiłku, rozpaloną żarem. Naraz z chaty Prokopa, pozostawionej na stracenie, najbliższej ognia, rozległy się krzyki tak donośne i przeraźliwe, że posłyszano je mimo huku pożaru. Prokopicha stojąca wśród kobiet odpowiedziała na nie zawodzeniem.

– Stara Pyłypka! – podano z ust do ust ||| Stara Pyłypka została w chałupie!...

Stara Pyłypka, świekra Prokopowa, od kilku lat spalizowana i bezwładna, leżała dni całe na piecu. W popłochu opuszczając chatę zapomniano o starej. Snadź dym i żar obudziły ją teraz i wzywała rozpaczliwie pomocy.

– Trudno – rzekł pan Korolko i strzepnął palcami, wyrażając myśl ogółu. – Nie ma rady. Stara spłonie. Nikt przecie nie wejdzie do chaty, której dach już kurzy na dobre i zaraz zajmie się ogniem.

– Ludzie! Ludzie!! – nie przestawała krzyczeć stara.

Konstanty posłyszał.

208

– Człowiek został? – zapytał rozkazująco.
– Stara Pyłypka, owszem, rzeczywiście szkoda... – tłumaczył pan Korolko.

Dziedzic go nie słuchał.

– Chi uśnij mi wody na łeb! – krzyknął do Kaźmierza.

Kaźmierz zrozumiał, co brat chce uczynić. Wylał nań wiadro i wysunął się naprzód.

– Ja pójdę! – zawołał. – Ja!

– Nie przeszkadzaj! Moja rzecz.

Powiedział odruchowo, bez zastanowienia to, co najgłębiej myślał. „Moja rzecz.” Jego zadaniem było bronić tych ludzi. Przeznaczenie szlachty, racja jej istnienia to obrona ludu przed nieprzyjacielem czy żywiołem. Mogli panowie dziedzice zapomnieć wielu obowiązków, lecz ten pozostawał im we krwi. Stara Pyłypka była gratem ludzkim, nikomu na świecie niepotrzebnym, bliskim tak czy tak śmierci, jednakże Konstany odsunął dumnie Kaźmierza: „Nie przeszkadzaj. Moja rzecz.”

I skoczył do wnętrza chałupy. Okrzyk buchnął na ustach tłumu i zamarł.

– Jezusie Nazareński! Jezusie! – wrzeszczał rozpaczliwie i bezradnie pan Korolko.

Bez wahania Kaźmierz podążył za bratem. Znikli obaj. Minęła chwila długa jak godzina. Strzecha płonęła. Żar dusił nawet tych, co stali z dala. Krokwie trzeszczały. Jeszcze chwila – a dach runie. Mazurzy krzyczeli: „Loboga!”, miejscowi: „Trójco święta!” i: „Panno przeczysta!”... Z kalenicy leciała gęsta paląca się słoma, tworzyła wał wkoło ścian, przed wejściem. Już... już... dach się zapada... Lecz w ostatecznym momencie w

stojącej jeszcze futrynie ukazali się śmiałkowie, czarni na tle ognia. Konstanty dźwigał staruchę,

Każmierz podpierał Konstantego. Na wszystkich trojgu tliła się odzież. Korolko blady z trwogi podbiegł, podtrzymał dziedzica.

– Jezusie Nazareński! – powtarzał. —[Tak lekce... żywot cenny narażać... Nie godzi się... nie godzi się... A toż o mgnienie...

– Bodajby mnie przywaliło... Bodajbym spłonął... – mruknął Konstanty i znów najgłębsza szczerłość brzmiała w jego głosie. Szczerłość tak gorzka, że Kaźmierz aż się zadziwił. Nikt na niego nie zwracał uwagi, przeto stanął na uboczu, gasząc dłońmi tłące się ubranie i włosy. Był mniej poparzony od brata. Syruciovą sukmana osłoniła lepiej niż cienkie pańskie ubranie. „Bodajbym spłonął” f— powiedział Konstanty. Więc aż tak mu było źle?...

Starą Pyłtypkę złożono pod drzewem. Nie rozumiała, co się stało, i jęczała nadal przeraźliwie. Baby pochylone nad nią usiłowały ją uspokoić. Korolko odprowadzał chwiejącego się na nogach Konstantego. Zresztą pożar był już prawie opanowany. Tymczasem chatę zdążono rozebrać, a że wiatr przycichł, ogień skręcał się sam w sobie, przetrwał to, co już spłonęło. Ogółem spaliło się czternaście zagród. Na zgliszcach tańczyły błękitne płomienie. Chwilami z czarnej, na pozór przepalonej już na wskroś belki tryskał długi jęzor białego płomienia. Gryzący dym snuł się wkoło. Kobiety nie przestawały biadolić, ale mężczyźni dzielili się już wrażeniami. Wymieniali zdania. Podstarości nie pozwolił się rozchodzić, gdyż pogorzelska należało pilnować, by ogień się znów nie rozsnuł. Kmieci Mazur, Kaźmierz i Kociuk zostali, by stróżować, ich chaty bowiem nie spłonęły. Było im trochę niemiło, jak zwykle nocą na

pogorzeli, gdy skrzaty ze spalonych domów chodzą po

zgliszczach i sklamrzą. Zdawało im się, że słyszą trzeszczenie drobnych kroków i żalosne piski. Może którego chowańca głównie przycisnęły, zanim zdążył uciec? Będzie straszył, dopóki na tym miejscu nie postawią nowego domostwa i nie poświęcą ziołami. Może nie tylko podciepki plątały się, pozbawione dachu, lecz życie uleciało z chat, wszelka doła i niedoła... Więc pilnującym nieswojo było stać i rozmawiali, by rozproszyć lęk.

– Od zwykłego ognia – mówił Kociuk – chowanic ustrzeże. Od pioruna nie, bo to jest moc Boska. I kara Boska. Musiał czymś Hawryło na karę zasłużyć, bo od niego się zaczęło.

– Jaki Jakby była prawda, co powiadacie, toby we dwór strzeliło nasamprzód...

– Mościewy... Dziedzic się dzisiaj postawił. Aż mu łeb osmalilo...

– Cięgiem myślę, po co staruchę wyciągał? Przecie ona i tak nie chodzi na pańskie.

– Nie o sobie wtedy myślał – zaprzeczył gorąco Kaźmierz. – Dla ratowania człowieka szedł.

Spojrzeli na niego drwiąco.

– Jaki starowny! A że Prokop, zła gadzina, starą głodził i bił, to nawet nie zapytał, choć wieś o tym gadała...

– Sam słyszałem, jak Prokopicha mówiła: „Lepiej, by mi skrzynię wycięgli, niż starkę, z której pożytek nijaki”...

– Odkąd żyw, pierwszy raz do chałupy chłopskiej wlaź i to wtedy, kiedy się na łeb waliła...

– Pańskie fanaberie! Kto je tam zrozumie...

– A Kaźmirek za nim! Jakby zdurniał albo przy-
pochlebić się chciał...

– Anim zdumiał, anim się chciał przypochlebić – odburknął Kaźmierz ze złością. Drżało w nim jeszcze podniecenie walki, radość z dokonanego czynu, poczucie solidarności z bratem i słowa towarzyszy uraziły go boleśnie. „Chamy! – pomyślał z gniewem. – Warto się dla nich narażać!” Wziął wiadro z wodą i poszedł polewać belkę, z której snuł się gęsty dym. Tamci spojrzeli za nim.

– Obraził się. Honorowy!

– Moiściewy – szeptał Kmieć z przejęciem – podstarość chciał go do pomocy sobie wziąć, a on: „Wolę przy zwykłej robocie”. Nie przypochlebca, nie!

– Ale durny.

Kaźmierz lał wodę i gniew jego mijał powoli. Dziezic, odkąd żyw, pierwszy raz był w chacie... Ano, słusznie mówiono, słusznie! Pierwszy raz. Przedtem nigdy. Nie wiedział, jak cuchnie gnojówka podciekająca pod ściany, jak chrobocze w nich robactwo, jak ziąb ciągnie zimą od polepy...

Lepiej, by dbał o ludzi codziennie, znał ich dolę i potrzeby, miał życie narażać odświętnie, w nagłym wypadku... Jeny by to sprawić, trzeba by zmienić naturę szlachecką, przeorać ją całkiem, od nowa.

Powrócił ku stojącym, już uspokojony.

ROZDZIAŁ XV

Kociukowi zmarło się prawie niespodzianie. Podźwignął się w lesie, wkładając drzewo na wóz. Wrócił do domu zgięty wół, skarżąc się, że ma wnętrzości oberwane. Nazajutrz nie wyszedł do roboty. Podstarość przyleciał rozeźlony, ale spojrzawszy na żółkłą smutną twarz chorego, na jego zastrzone rysy, umilkł wół słowa i wyszedł. Wieczorem cieśla przyszedł wziąć miarę na trumnę, a w dwa dni później pochowano Kociuka. Kaźmierz z Praksedą miał pozostać sam w chałupie.

Do niedawna Kociukowa dopiekała mu jak mogła, głodząc go i wymyślając. Widząc, że zarówno jedno, jak drugie chybia celu. wzmagając tylko wzdurliwą obojętność parobka, zmieniła taktykę: podtykała mu jedzenie i słała wygodnie posłanie. Ta usłużność wydawała się Kaźmierzowi gorsza niż poprzednie docinki, toteż zaraz po pogrzebie Kociuka poszedł do podstarościęgo, prosząc, by go przydzielił do innego gospodarza.

— Ano, jak chcesz, to przydzielę – przystał podstarość. — Pomyślę jutro, komu cię dać...

Kaźmierz poszedł do roboty. Zwłóczył, jak mógł, z powrotem do domu. Wszyscy już zeszli, on jeszcze kręcił się po podwórzu. Matwiej spuścił psy. Zagraj i Śpiewka przybiegły do dawnego pana. Pieścił je czule,

dziwiąc się sam sobie, że tyle radości sprawia mu owa wspólna z psami tajemnica. Jak gdyby nie był całkiem niepoznany, zapoznany, skoro psy wiedzą, kim jest. Ciekawe, czy ogary w psiarni, stara Cybela i inne, poznałyby go również?...

Matwiej Nocturnus wynurzył się z mroku.

– Cóż to? Nie idziecie do domu? – zapytał. Kaźmierz już chciał odpowiedzieć, że prześpi się na słomie, ale powstrzymała go obawa żartów i docinków. Jutro cały tok będzie wiedział, że zbiegł przed Prakse- dą. Poszedł więc, człapiąc powoli po błocie. Wieczór był ciemny, mrok gęsty, październikowy. Powietrzem ciągnęła mocna woń moczonych konopi. Praksesta staranniej przybrana, z włosami posmarowanymi tłuszczem, czekała na niego przymilna i zalotna. Spojrzał na nią z gniewną odrazą. Nieprzemierzony wstręt ogarniał go do tej samki brudnej, natrętnej i złej. Ilekroć patrzył na nią, musiał myśleć o Beacie. Za Beatą przypominały mu się wszystkie znane białogłowy, niewiasty, z matką, jego najlepszą matką na czele. Sunęły urodziwe, dostojne, powabne. Miękkie szaty szeleściły. Śnieżnobiały kwef otaczał lica. To były towarzyszki, żony, przedmioty miłości. Nie patrząc na gospodynię skierował się ku swemu postłaniu w kącie.

Praksesta zagroziła mu drogę.

– Boję się sama spać – szepnęła. – Tak mi się zda, jakby stary tu chodził...

– Mnie się też zda, że on tu jest – zapewnił sucho.

– Nie będziesz spał na polepie. Posłałam ci łożo.

– Wolę na ziemi.

– Położę się koło ciebie. Boję się sama.

– Nie chcę. Mówiłem ci już tyle razy. że nie chcę.
Odczep się ode mnie. Chodziłem do podstarościgo,

żeby mnie dał gdzie indziej. Jutro będziesz tu miała innego parobka.

– Takis ty?! – syknęła wściekle. Usiadła skulona na łóżku, patrząc nienawistnie w kąt, gdzie parobek ułożył się do snu. Udawał, że śpi, choć w rzeczywistości nie spał wcale. Czuł jej rozdrażnioną kobiecą wściekłość, rozpierającą duszne, ciasne wnętrze chaty. Rano nie rzekli do siebie ani słowa. Prakseida nie warzyła stawy. Kaźmierz poszedł do pracy na czczo. W południe nie przyniosła mu jeść również. Za to po południu wezwano go przed oblicze komisarza.

Pan Korolko napadł na niego od razu.

Co ty wyrabiasz z Kociukową żonką, cyganie, włóczęgo, hultaju!? Przyszła tu we łzach nieboga, że aż żalność patrzeć. Za życia męża spokoju jej nie dawałeś, opędzić się, tfu, nie mogła, namawiałeś, kusiałeś, a teraz, kiedy wdową została, na wstyd chcesz ją podać, zamiast uczciwie poślubić?!

– Upraszam łaski pana komisarza...

– Nie przerywaj, durniu! Myślisz, że tutaj tak wolno? U Cyganów może wolno, nie u nas. Sprawiedliwość i ład tutaj rządzi... Dla oczajduszów miejsca nie ma. W niedzielę się pobierzecie i żeby mi spokój był.

– Jasnie wielmożny panie komisarzu, o tym moim namawianiu i kuszeniu Kociukowej cała czeladź może zeznać, jak było. Każdy poświadczy, że nigdy z tą babą nic nie miał, za co ona głodziła mnie, aż się nieraz inni litowali...

– Prawda, sprawiedliwa prawda – przytwierdziło kilka głosów.

Pan Korolko szarpnął wąsa.

– Bies się zowie, ale i bies nie dojdzie, gdzie prawda
między chłopem a niewiastą. Musiało tam coś być, boby

nie płakała tyle bez kozery. Mniejsza o to. Pobierzecie się w niedzielę. Dam ćwierć beczki piwa i poleć słoniny.

– Pokornie dziękuję, ale nie chcę się żenić, jaśnie wielmożny panie – odparł Kaźmierz. Mówiąc to, prawie ze zgrozą przypomniał sobie, że wszak pan Korolko miał prawo go zmusić do ożenku, z kim chciał. Pan dobierał pary, pan ich kojarzenie nakazywał, zgadzał się na wybór młodych lub narzucał swój.

Pan Korolko poczerwieniał ze złości i sapnął, pragnął jednak załatwić drażliwą sprawę pokojowo.

– Nie bądź głupi – rzekł. – Dlaczego nie chcesz się żenić? Nie słyszałem, żebyś za dziewczkami latał. Owszem, parobek statecznyś, robotny... Należy ci się gospodyni, co by i oprąła, i oporządziła, i uwarzyła strawę, jak należy... I dzieci powinieneś mieć. Cóż to? Myślisz, że nie masz obowiązku mieć dzieci?

– Nie będę się żenił, jaśnie wielmożny panie.

– Po dobroci mówię do ciebie, człowieku: bierz Praksedę. Baba młoda, zdrowa, jędrna jak rzepa, gospodarna, zaradna... Ile razy ją widzę, myślę sobie: złoto nie kobieta...

– To może by pan komisarz sam...

—|Co?! —| ryknął pan Korolko, sądząc, że się prze-słyszał.

– Pan komisarz też nieżonaty... A skoro to taka foremna i cenna niewiasta...

Stłumione gwałtownie śmiechy rozległy się wokoło. Wąsy pana Korolki zadrgały i z jeżyły się jak u kota. Krwisty rumieniec pokrył twarz.

– Chłystku! Obwiesiu! Kpinek ci się zachciewa?! Smaku batów zapomniałeś?! Dostaniesz, poczekaj!

Pięćdziesiąt plag! Mało pięćdziesiąt! Więcej!

– Bo pewnie. Żniwa skończone. Ludzi już nie brak – przyznał niewzruszenie Kaźmierz.

Z czerwonego pan Korolko stał się siny.

—| Nie na ławie, a na szubienicy skończysz! – syknął.
– Zbóju! Buntowniku! Gałganie! Wpierw chłosta, potem postronek! Ja do ciebie jak ojciec, a ty... żmijo niewdzięczna, ty gadzie!...

– Jaśnie wielmożny pan dziedzic pilno proszą pana komisarza – krzyknął pokojowiec Daniło, nadbiegając pędem.

Pan Korolko wstał. Nogi ugiwały się pod nim ze złości.

– Zaraz wrócę i skończę z tobą – rzekł schryptym głosem. – Pilnować mi go tu, żeby nie umknął, bo głową przyplacie wszyscy... Ach, łotry!

Odszedł. Konstancy czekał na niego w sieni dworu. Był blady i niespokojny.

– Jejmość moją małżonkę bóle porwały – rzekł bez wstępu, g- Boję się, że to już rody. A liczyli dopiero za dwie niedziele najwcześniej... Ślij waśc stante pede po medyka do Połocka. Babka już jest, ale widzi mi się, głupia całkiem. Podobno bazylianki znają inną, lepszą... Ślij do nich także. Jeno skoro... A coś waśc taki zalterowany?

Łapiąc z trudem oddech pan Korolko opowiedział, co zaszło. Gniew jego jeszcze wzrósł, zwłaszcza że Konstancy posłyszawszy o propozycji Kaźmierza, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Taka zuchwałość wymaga przykładowej kary – zakończył komisarz. •t^Mam nadzieję, że jaśnie wielmożny pan dziedzic nie odmówi mi prawa postronka dla

tego

galgana...

– Który to właściwie? – spytał Konstanty marszcząc brwi.

– Wysoki, zarośnięty, wołają go Kaźmirek. Latem się przyplątał i z litości go zatrzymałem...

– Czy to ten, co pomagał ratować przy pożarze i po starą Pyłypkę za mną wlaź?

– Ten sam – przyznał komisarz z niechęcią.

– Dawno go chciałem obaczyć, nagrodzić... Schodziło jakoś... Jejmość słabowała... A nieraz o tym myślałem...

Konstanty zadumał się. Wspomniał moment, gdy wpadł do płonącej chaty, a ów przybłąda za nim. Były to mgnienia, życie wisiało na włosku i nie było czasu na robienie spostrzeżeń, lecz twarz tamtego wydała się dziwnie znajoma, a ramię krzepkie i pomocne, niby braterskie.

– Bez niego nie wiem, czybym uszedł stamtąd żywy – rzekł głośno.

Pan Korolko zeszywniał.

– Jeżeli jaśnie wielmożny pan mój i dobrodziej nie pozwolisz mi ukarać tego buntownika, rozumieć będę, jako moje usługi nie są nadal panu dziedzicowi potrzebne...

– Pojmuję słuszny rankor waszmości – zapewnił z pewnym zniecierpliwieniem Konstanty – wszakże przyślij mi tego człowieka. Jeżeli nakłonię go, by waszmości do nóg padł i żal wyznawszy, przeprosił – sądzę, że nie będiesz na niego nastawał?

– Juźci, jeżeli to uczyni publicznie i szczerym sercem – przystał pan Korolko. – Ale on tego nie zrobi. To zatwardziała kanalia...

– Obaczym... O Boże! Słyszysz waść, jak jęczy moja
nieboga?... medyka prędeż!

– Już biegnę... Do bazylianek też konnego pchnę... Tamtego łotra zapnę w kajdanki i w lochu póki zamknę.

– Tak, tak... Potem go obaczę... Pomówię... Po wszystkim... Daj Boże szczęśliwie...

Pan Korolko poszedł wielkimi krokami do stajni, potem do czeladnej, wydać odpowiednie zarządzenia. Szybszy od niego Daniło pobiegł wprost na tok, gdzie podstarości i parobcy otaczali czujnie Kaźmierza. Zadowolony, zdał zaraz sprawę z podsłuchanej co ino rozmowy. Dziedziczka rodzi. Dziedzic nie pozwolił być Kaźmirka. Sam się z nim rozmówi, jak dziedziczka zlegnie...

– Chwała Bogu – rzekł otwarcie Matwiej stróż. Inni przywtórowali. Nikt nie miał nic przeciwko Kaźmirkowi. Owszem, lubili go. On jeden zasumował się i zasepił. Jakby zobaczył otchłań pod stopami. Był gotów na śmierć, na chłostę, ale nie na spotkanie z Konstantym. Widzieć go, mówić z nim twarzą w twarz?! Na Boga, nie! Jaki przebieg mogłaby mieć ich rozmowa? Wszak nieuchronnie doprowadziłyby do odkrycia tajemnicy, a wtedy co? Co potem? Co dalej?... Beata w położu, a tymczasem oni dwaj... brat i brat... mąż i dawny narzeczony... zabójca i ofiara... pan i parobek... Stoją naprzeciw siebie z odsłoniętymi twarzami i wiedzą już wszystko jeden o drugim... Więc co dalej?... Albo zginąć obu, albo iść do klasztoru... Ale w komnacie niewieściej leży położnica, kwili dzieciątko, nowy szczerp rodu...

...Więc co? Więc jak?...

Z mocą, która go samego zdumiała, postanowił: wszystko raczej zniósę, niżli przed nim stanę...

I ku niemałemu zdziwieniu pana Korolki, który nad

szedł w parę chwil później, sapiący i groźny, Kaźmierz wysunął się w przód, pokłonił nisko, aż do nóg.

– Upraszam łaski przebaczenia jaśnie wielmożnego pana. Z Praksedą mogę się żenić, jeśli taka wola waszej wielmożności...

Pan Korolko osłupiał i nasrożył się, niepewny, zali dziwaczny przybłąda znów nie kpi. Ale spojrzenie Kaźmierza zdawało się szczere.

– Możesz się żenić, łaskawco? – powtórzył szyderczo. – Szubienicą trzeba cię pędzić do ołtarza?... Ostatecznie daruję, bo mam miękkie serce... Nadto miękkie... Byłbyś wisiał, jak mi Bóg miły... Byłbyś wisiał przed wieczorem... Skoro przepraszasz, daruję. Za skruczę spotka cię niemała nagroda. Sam jaśnie pan dziedzic będzie z tobą gadał...

– Upraszam łaski wielmożnego pana, zbytni to zaszczyt dla mnie, prostego człowieka. Do jaśnie pana dziedzica nie pójdę.

Pan Korolko ponownie osłupiał i nasrożył się po raz wtóry. Pytającym wzrokiem powiódł po obecnych. Wszystkie twarze wyrażały to samo zdziwienie. Podstarości znacząco kreślił palcem kółko na czole. Komisarz zauważył ten gest i rozpogodził się. Zrozumiał. Ależ to jasne! Naturalnie!... Przygłupek!

– Pewnie, że to zbytni zaszczyt dla ciebie – przyznał. – Nie będziemy cię fatygować. Możesz iść. A w niedzielę ślub. Słoninę i piwo dam, jak obiecałem. Co obiecałem u mnie – murowane. Nawet gorzałki dorzucę. Swoją radzę, w sobotę zaprowadź do łaźni – dodał i roześmiał się sam ze swego konceptu.

ROZDZIAŁ XVI

Wesele odbywało się w karczmie, co wchodziło w coraz częstszy obyczaj po dworach. Chłopi zamożniejsi, posiadający własny sprzężaj, zwani od ilości koni czy wołów „parowymi” lub „pojedynczymi”, odprawiali po dawnemu wesela sami u siebie. Pieszym, czyli komornikom, bezrolnym parobkom dwór sam obowiązany był sprawić weselisko, suciej lub skąpiej, zależnie od zasług młodych i humoru podstarościego. Tany odbywały się wówczas bądź na majdanie, jeśli pora była letnia, bądź w piekarni. Pod wpływem dokonywających się w tym czasie przemian gospodarczych zwyczaj ten ulegał zmianie. Wspomniane przemiany sięgały samej istoty stosunku pomiędzy dworem a wsią, a skutki ich miały dać się odczuć jeszcze w parę wieków później. Niegdyś, niegdyś, w czasach piastowskich, jagiellońskich stosunek ten nie nosił cech ani wyzysku, ani ciemnienia. Dawne statuty nadawały mu charakter stosunku ojca do dzieci. Jak rodzicowi przysługuje pełna jurysdykcja nad swoim potomstwem, a ono nie może uciec się do innego sędziego, gdyż władzę ojcowską sam Bóg ustanowił – podobnie poddany winien słuchać pana, czcić go i szanować, a innego sędziego nie szukać. Poddany jest własnością pana, jak dzieci 6ą własnością ojca. Ojciec miłuje swoje dzieci, strzeże między nimi dobrego obyczaju, karze, jeśli są

„niewymoreszone”, postanawia o ich małżeństwie i losie. Toż samo dotyczy poddanych. W razie nieurodzaju pan jest obowiązany żywić swoich włościan, dać ziarno na zasiew, bronić od obcej przemocy i wszelkiego niebezpieczeństwa. Ma być nie tylko sędzią i panem, ale troskliwym opiekunem. Powyższe zasady były podwaliną ustalających wzajemne obowiązki pana i poddanego praw pisanych, ustaw sejmowych oraz wielce szanowanych praw zwyczajowych. Patriarchalnie skromny sposób życia dworu ułatwiał zachowywanie tych zasad. Z licznych danin przysługujących panu dwór pobierał tyle, ile mógł zużyć na swoje potrzeby. Więcej nie, bo po co? Cóż by uczynił z nadmiarem jaj, grzybów, jagód, płótna? Możliwość zamiany tych produktów na pieniądze jeszcze nie istniała. Toteż niezliczone daniny i daremszczyzny, do których prawnie obowiązana była wieś, owe opłaty podrózne, rogoWE, kopytkowe, wołowe, oczkowe, świńskie, owe zaorki, za- koski, zarzynki, zagrabki, dziesięciny jaj, kur, przędzy, płótna, miodu, czwarty koszt uzbieranych grzybów, trzecia kwarta poziomek, malin, jagód, orzechów —zostawały w olbrzymiej części nie pobierane, nie obciążające ludności wiejskiej, cieszącej się pewnym — przez wielu współczesnych zaznaczanym — dobrobytem.

W siedemnastym wieku znośny ten stan uległ raptownemu pogorszeniu. Wzrastająca zamożność kraju, częste wyjazdy szlachty za granicę pozwoliły społeczeństwu szlacheckiemu poznać zbytek i zapragnąć go. Do niedawna dwór wyrabiał we własnym zakresie niemal wszystko, co było do życia potrzebne, nieliczne paradne ubiory przechodziły z pokolenia na pokolenie, broń zaś

bywała zdobyczna. Obecnie było inaczej. Domowy miód,
piwo i wino własnego wyrobu przestały wystar

czać. Zażądano gdańskiej wódki, petercymonu, burgunda, małmazji. Zapragniono korzeni, zamorskich przypraw, cudzoziemskich materii, genueńskich aksamitów, francuskich jedwabi, złotogłowi. Zagranicznej broni, uprzęży, rzędów, ba, nawet zagranicznych psów. Właściwy Polakom zmysł naśladownictwa i dziecinnej próżności powodował, że upodobanie w zbytku stało się nagminne. Zarazem jednak to upodobanie okazało się bardzo, bardzo kosztowne. Talary, dukaty, potrzebne dotychczas po to tylko, by leżały w kowanej skrzyni jako skarbczyk rodzinny, przy wianowaniu córki lub z okazji wyjazdu pana domu do stolicy nieznacznie uszczuplany – poczęły nagle płynąć jak woda, topnieć jak śnieg, i ciągle ich było mało. We wszystkich wielkich i małych dworach Rzeczypospolitej zapanowało nieznane dotychczas pragnienie i potrzeba pieniędzy.

Równocześnie, gdy na obszarach Niemiec i Niderlandów rozgorzała wojna, którą historycy mieli później nazwać wojną trzydziestoletnią – gromady przesładowanych tam Żydów schroniły się do zawsze gościnnej Polski. Przybysze ci, znani już w Polsce, lecz siedzący dotychczas nielicznie po miastach, górowali znacznie inteligencją, sprytem, ruchliwością i przedsiębiorczością zarówno nad ciemnym chłopem, jak nad ocieężałym, bystrym tylko w boju szlachcicem. Żydzi mieli pieniądze i potrafili je zarabiać. Prędko stali się niezbędni. Kupowali lub wydzierżawiali podatki, myta drogowe i mostowe. Znając wartość każdego produktu i dysponując własną handlową siecią, brali w arendę od dworów wymienione poprzednio daniny chłopskie i

daremszczyzny, płacąc za nie z góry, nieraz na kilka lat naprzód. Zapłaciwszy, dochodzili twardo swojej należności. Patriarchalny, piastowski, jagielloński sto

sunek pana do poddanego, stosunek troskliwego ojca do dzieci – znikł bez śladu wobec pokusy pieniędzy. Chłop stał się obiektem przetargu. Miejsce poprzedniej względnej zamożności wsi zajęła nędza pogarszająca się z każdym rokiem.

Jaskrawym przykładem nowego stanu rzeczy były karczmy. Każdy dwór posiadał karczmę i każdy wydzierżawiał ją arendatorowi. Karczmarzom nie wolno było szynkować innym miodem, gorzałką, piwem, niż dostarczonymi przez dwór, w zamian za co karczmarze żądali, by chłopci pili u nich, nie gdzie indziej, i by pili jak najwięcej. Niejednokrotnie w umowie dzierżawnej dwór gwarantował, że chłopci wypiją tyle a tyle garncy trunków kwartalnie, i jak mógł zachęcał wieś, by uczęszczała do karczmy. Czasem wypłacano chłopom na ten cel po parę szelągów. Były to sumy bardzo drobne, ale kto pójdzie do karczmy, by wypić mało, ten zwykle zostaje dłużej i pije więcej. Tak więc, niezależnie od dworskich wydzierżawionych ciężarów, każdy prawie chłop był osobiście mniej lub więcej zadłużony u karczmarza.

I dlatego też wesele Praksedy, wdowy Kociukowej, odbywało się nie w piekarni czy na klepisku w stodole, lecz w karczmie, w wielkiej, ciemnej, niskiej izbie przesiąkniętej zapachem kiszzonej kapusty, bijącym z piwnicznego otworu, i moczu końskiego, dochodzącym z zewnątrz przez otwarte drzwi. Dwie łójówki, przylepione wysoko na półce, i łuczywa koło okna rozjaśniały słabo mrok. Nikły blask przebijał się z trudem przez tuman pyłu wzniecony nogami taneczników. W głębi izby znajdował się długi obity blachą szyn- kwas, za którym królował Szmul, generalny arendator głębocki, podając

gościom

cynowe

kubki

napelnione

piwem. Muzykanci siedzieli przy drzwiach. Skrzypki, żalose skrzypki białoruskie i dworskie basy. Weselna pieśń o chmielu wypełniała izbę. Matwiej Nocturnus, pełniący obowiązki starosty weselnego, wymachiwał różdżką jedliny. Młoduha była wdową, nie przysługiwało jej zatem prawo korowaju, oczepin i wszelkich obrzędów należnych kobiecie raz w życiu. Wesele było jeno półweselem. Tylko pieśń o chmielu brzmiała. Wesełnicy śpiewali ją razem z muzyką, przytupując i tworząc ciasny wieniec wokół młodej i tańczącego z nią starosty.

Każmierz siedział za stołem, patrząc na wirujące postaci mętnymi oczami. Wypił dwa kieliszki mocnej gorzałki, a że od czasów smoleńskich nie miał w ustach żadnego gorącego trunku, zamroczyło go całkiem. Ostatkiem świadomości zdawał sobie sprawę, że odprawia się jego wesele, lecz nie pamiętał, gdzie i z kim. Z kim, jeśli nie z narzeczoną? Wesele, wesele... Ano tak. Przecie już pora. Usiłował wyliczyć, ile ma lat. Dwadzieścia siedem. Sam czas do żeniaczki.

...Oj. chmielu, chmielu, zielona szyszko... Odwieczna pieśń jednaka na dworze królewskim czy w chacie, bujna i gorąca, pieśń płodności i rozkoszy, tętniła w uszach, rozpalając zmysły. Śpiewał z innymi, kiwając głową do wtóru. Kумы zawodziły dyszkantem i przychodziły trącać się z nim, podtykając pod nos kubki. Odpowiadał machinalnie, czekając nadejścia oblubienicy. Nie ma jej jeszcze, lecz skoro chmielą grają, przyjdzie zaraz niewątpliwie. Stroi się pewno w alkierzu. Och, ona lubi się stroić... Wnet ją zobaczy, ujmie za dłoń, spojrzy w harde, piękne oczy. O miła, jakżeśmy się dawno nie

widzieli!... Cniłem za tobą. Ani znasz, ani suponu- jesz,
jak okrutnie cię miłuję... Nie gadałem o tym daw-

niej, nadto, może do zbytku szanując, alem nigdy żadnej innej białogłowy nie zalubił... Choć milczek, miłowałem cię więcej niżli Konstany, chociaż mi na zdradzie stawał i podstępnie chciał cię skusić. Ra. zabił mnie nawet, ale mniejsza o to. Opowiem ci kiedyś, kiedyś, uśmiejemy się oboje... Tak jej to powie za chwilę... Orszak już się zbliża, bo izba huczy od gwaru. To nie izba, lecz świetlica w ojcowskim dworze. Nadchodzą... nadchodzą... Oj, chmielu, chmielu, ty bujne ziele... Kaźmierz wychodzi naprzeciw oczepionej. Odziany jest, jak się należy do ślubu, w biały cienki żupan, kontusz biały z żółtymi wylotami i pas złocisty. Przechodząc koło zwierciadła spojrzy na swoje odbicie, by stwierdzić, że urodziwy jest i pański, nie przyniesie wstydu miłej. Dobrana z nich będzie para... A muzyka gra, gra... gra... Tętnią stopy taneczników. Światła się jarzą. Wosk spływa ze świec długimi warkoczami. Posadzka lśni jak lustro. Po tej posadzce Kaźmierz kroczy lekki i szczęśliwy... O, chmielu, chmielu... o mojaś ty... Już ją ujmuje za dłoń. Nagle targnięcie i krzyk. Czyj krzyk?! Antona? Skąd tu się wziął Anton? Wszak Anton dawno nie żyje?...

Podniósł głowę, oprzytomniał. To karczmarz targał go za ramię, powiadając, że pora, by już szli precz. „Zabierać się!” – powtarzał natarczywie. Wiedział, że więcej pić nie będą. Śmiejąc się lub klnąc, weselnicy zbierali się do odwrotu. Zgrzana i zadowolona Prakseda wzięła męża pod ramię i powiodła. Dał się prowadzić bez oporu, mrużąc coś bez związku. Szli w ciemności błotnistą drogą, trzymając się płotu. Towarzysząca im gromada kpiała z Kaźmirka, że się spił jak nie- boskie

stworzenie, z Praksedy, że go dotąd głodziła, a teraz
chyba we własnym interesie odkarmi.

– Hu, hu – rechotał Prokop. – Dwa kieliszki chłop wypił i nie wie, co się z nim dzieje. Uważaj, żeby ci kobiety nie zamienili!

– Moiściewy— dogadywał Kmiecik – nie poznałby, czy to ta, czy stara Oleśka.

– Ej, młody! – wołali inni. – A powiedz no, jak się zwiesz?!

„Tego jednego nigdy wam nie powiem” – myślał Kaźmierz.

Chłodne powietrze przywróciło mu przytomność, nie mówił jednak nadal nic. Weselnicy podprowadzili go pod Kociukową, obecnie jego chatę. Nie mieli ochoty rozchodzić się, ciekawi, jak będzie przy głupek poczynał z kobietą. Lecz Kaźmierz otworzywszy drzwi odwrócił się do nich.

– Możecie odejść, dziękuję wam, dobrzy ludzie...

I skinąwszy uprzejmie głową, wprowadził żonę do domu takim ruchem, jakby to była Beata. Prakseda aż się ugięła z zachwytu. Kумы zaniemówiły. Chłopi osłupieli. Ten Kaźmirek! Po szlachecku zagadał! Niby pan... „Możecie odejść, dobrzy ludzie...” Uciecha z tym chłopem! Odchodząc naśladowali ton jego głosu, ruch głowy. Szczególnie Prokop czynił to tak pociesznie, że brali się za brzuchy ze śmiechu.

Wewnątrz izby Prakseda skrzesała ognia, zaświeciła luczyno, spoglądała wyczekująco. Kaźmierz siadł za stołem. Twarz oparł na dłoniach, jak przedtem w karczmie. Patrzył na nią niby człowiek przybyły z bardzo daleka. Patrzył z taką powagą i zastanowieniem, że stanęła na środku izby zdziwiona i zaniepokojona.

– Słuchaj, kobieto – rzekł. – Zmusiłaś mnie, żebym z tobą wziął ślub, ale nie zmusisz, żebym z tobą

żył. Ustąpiłem nie ze strachu przed batami, ale że zaszyły cyrkumstancje, które mnie zdeterminowały...

– Po jakimu gadasz?! – wykrzyknęła.

Prawda, zapomniał się i miast po rusku, mówił po polsku, używając przy tym wyrażeń dla niej niezrozumiałych. Potrząsnął głową, jakby odpędzał od siebie resztki sennego marzenia.

– Nie będę z tobą żył – powtórzył.

Wbrew oczekiwaniu nie wybuchnęła przekleństwami, ale płaczem.

– Ja nieboga, com ci zawiniła?... Za co Bóg mnie taką biedę z tobą zesłał?... Nieszczęśliwa ja, nieszczęśliwa!

Pojrzał na nią na poły przytomnie.

– A cóżeś ty jest, że chcesz być szczęśliwa? Kto jest szczęśliwy? Może dziedzic? Po nocach gna i myślisz, że szczęśliwy? Może dziedziczka? Może ja?

– Gadasz jak ksiądz... – szepnęła.

– Anim ksiądz, ani człowiek jak inni... Bo ja wiem sam, co ja jestem? Jutro rano idź do podstarościęgo, powiesz, że m niezdatny. Nie zaprę się. Innemu cię dadzą.

– Takam ci nie luba!... – łkała.

– Nie cierpię cię ^wyznał szczerze.

– Masłem cię smarowałam... całe lato wiktowa-łam...

– Nie upasłem się na tym wikcie. Próżno gadamy. Pójdziesz zaraz rano do podstarościęgo.

Tupnęła ze złością nogą.

– Nie pójdę! Na śmiech się nie podam. Gadałam komisarzowi, że...

– Że żyję z tobą? Nie trza było łągać. Tłumacz się teraz, jak chcesz. Ze mną nie zostaniesz. Miałabyś

ciężkie życie. Nie pozwoliłbym ci chodzić kraść do dworu.

Otworzyła szeroko oczy.

– Dlaczego?

– Bo nie. Ani z żadnym parobkiem się zadawać. Jakby co, ubiłbym jak psa.

Przysiadła na ziemi, oszołomiona i przejęta.

– Ubiłbyś? Naprawdę, Kaźmirek? Więc stoisz o mnie?

– Nie stoję wcale. Ale pókiś moją ślubną żoną, nie śmie nikt o tobie źle gadać. Więc widzisz – dodał, łagodni ej – żeby ci nie było lekko...

– A ja taki do podstarościego nie pójde – mruknęła. – Poczekam... Namyślisz się... Ani ja koślawa, ani chora, ani durna, choć mnie jak psa poniewierasz...

– Nie poniewieram cię. Złego słowa nie rzekłem. A nie namyśle się nigdy. Rozumiesz? Nigdy. Nie tylko, że cię nie znoszę, ale że nie chcę mieć dzieci.

– Co ci dzieci wadzą!? To dla kobiety kłopot, nie dla chłopca.

– Nie mogę mieć dzieci niewolnych.

Zdziwiła się jeszcze bardziej.

– A jakież chciałbyś mieć? Ty chłop, ja chłopka...

– Właśnie dlatego nie chcę.

Zamyślił się sam nad tym problemem. Nieurodzony płodzi, nie troszcząc się o nic. Urodzonemu tak postępować nie wolno. Musi pamiętać, co jest winien swojej krwi. On, Kaźmierz Korsak, mógł się poniżyć, wyniszczyć, pohańbić – jego wola, lecz biada mu, gdyby na podobną dolę skazał swe potomstwo!

Prakseda siedziała na ziemi, wpatrując się w męża uparcie. Usiłowała myśleć, pojąć. Nic jednak nie poj-

mowała. Na przemiany ogarniały ją to gniew, to chęć płaczu.

– Kładź się spać – rzekł Kaźmierz – a jutro idź do podstarościego.

Niespodziewanie przypadła mu do kolan.

– Nie pójdę, Kaźmirek, nie pójdę! Aby mi tu ostać pozwól!...

Westchnął ciężko, z rezygnacją.

– Czyń, jak chcesz. Uprzedziłem cię. Pora spać. Łóżko jest twoje. Będziesz sypiać na nim.

– A ty gdzie?

– Po staremu, na ziemi.

– Kaźmirek, jakże tak? Przecie ty teraz gospodarz.

– Kobiecie należy się lepsze miejsce... No, dość gadania.

– Żebym ja mogła wiedzieć, czego chcesz! – zawołała z tak szczerym żalem, że poczuł mimowolne współzucie.

– Jakże ci to wytłumaczę, niebogo? Co bym nie mówił, i tak nie zrozumiesz... Mnie samemu zrozumieć trudno. Jednoć radzę: uciekaj śpiesznie do innego chłopca, bo przy mnie doli nie zaznasz.

– Nie pójdę! "Wolę z tobą ostać, chcesz taki..."

– Ino się nie spodziewaj, żebym się kiedy rozmyślił – zapewnił groźnie. – Wszystkiego, co rzekłem, dotrzymam. Na wiatr nie gadam...

– Wiem... wiem... Nie spodziewam się... Jeno nie wyganiaj mnie...

– Jak chcesz.

I zgasił łuczywo.

Ojciec Dominik, kapelan dworski, wyraził nieśmiało
życzenie, by szczęśliwie i zdrowo urodzonemu synowi

dziedzica dać imię Kaźmierz. Powiedział tak, gdyż zmarłego wychowanek szczerze miłował i dotąd nie mógł przeboleć jego wczesnego zgonu, nie spodziewał się jednak, by życzenie to uwzględnione zostało. Pierworodny otrzymywał zwykle imię dziada, w tym więc wypadku powinien być Gabrielem. Wbrew oczekiwaniu Konstanty przystał od razu. Beata również.

Jużćić inicjatywa kapelana nie była Konstantemu miła. Gdyby mógł wyjawić swe zdanie, rzekłby, że woli każde inne imię niżli to znienawidzone, które gotowe obrzydzić mu dziecko. Lecz milczał obawiając się, że odmową urazi Beatę. Beata na pewno domyśla się prawdziwej przyczyny śmierci Kaźmierza. Przeczująca, że mąż jest zabójcą. Teraz pomyśli: „Żywota zbawił i nawet imienia odmawia! Zabił go i dalej krzywdzi”...

Więc przystał śpiesznie. Zgoda żony utwierdziła go w poprzednim mniemaniu. Ona zaś nic nie myślała. Gdyby kapelan wysunął Dominika, Krzysztofa, Jana, Samuela – przystałaby również. Czuli się szczęśliwa z urodzin dziecka, z odzyskania młodzieńczej postawy i swobody ruchów, z pomyślnego przebycia niebezpieczeństwa porodu. Chcą Kaźmierza? Czemu nie? Może być Kaźmierz.

„...Jak ona się tai przede mną! —myślał z goryczą Konstanty. ||§ Jak skrywa swoje uczucia... Niechby już rzekła otwarcie... Skoro tylko wydobreje, nie strzymam i powiem... Powiem?... A jeżeli ona nie wie?...”

Pan Korolko przyszedł wieczorem do dziedzica po dyspozycje i jął mówić o Kaźmirku.

– Ten przybłąda, com go chciał wieszać, a jaśnie wielmożny pan nagrodzić, ożenił się wczoraj z wdową, którą mu wybrałem.

– Ożenił się jednak? I przeprosił?

– A jakże. Byłem zupełnie usatysfakcjonowany. Cała rzecz zresztą śmiechu warta, bo okazało się, że to przygłupek prawy. O mały włos byłbym obłąkanego powiesił. Dopiero gdy te jego mankamenta umysłowe wykrył, wszystko zrobiło się jasnym. I że w ogień z determinacją szedł, i że dogadać się z nim nijak nie było można. Co godzina to odmiana. Raz tak, raz owak...

– Ekstraordynaryjne rzeczy opowiadasz waść! Przygłupek?! A przy pożarze sprawiał się tak śmieje, przytomnie... jedyny z tej całej hołoty, który pojmował rozkazy i ratował... A kiedy za mną po Pyłypkę skoczył, gotowy byłem myśleć, że szlachcic..«

– Wyznam waszmość panu dobrodziejowi mojemu, że i mnie, gdy pierwszego wieczora po przyjsciu bić się nie dał i ludzi potar mosił, zdało się: bękart szlachecki. Bo krwi dobrej nie ukryjesz... Potem upokorzył się, przycichł... Więc widzę – nie. Cham jak inni, kij jedna mowa dla niego, tyle że przygłupi... Czy wasza miłość chce go widzieć?

– Uchowaj Boże. Z wariatem mam gadać? Nie neguję, że mi życie pomógł salwować, i za to daj mu waść na gospodarstwo dobrego paciuka...

– Wedle rozkazu pana dobrodzieja mego. A panicza, pociechę naszą, wolno obaczyć?

jfeg-js Pewnie, że wolno, jeno chodźmy ostrożnie, żeby go nie zbudzić.

W izdebce silnie ogrzanej, przylegającej do komnaty jejmości, w kolebce lipowej, rzeźbionej pięknie, a od wieku poczerniałej, bo już parę pokoleń Korsaków wykołysała – spało czerwone jeszcze i pomarszczone ma-

leństwo, ciasno w kraj ki owinięte. Pan Korolko pochylił nad nim wąsatą twarz ze szczerym wzruszeniem.

– Daj ci Boże, kruszyno, zdrowie i piękny wiek...

Wielkie to szczęście i błogosławieństwo, że się tak gładko urodził i że syn...

– Masz waść słuszość, toteż bardzom szczęśliwy.

Posępna twarz Konstantego nie rozjaśniła się przy tym zapewnieniu. Wyszli na palcach z alkierza i powrócili do sieni, gdzie zasiedli przy kominie. Konstanty kazał podać miodu i ciągnął:

– Szczęśliwy jestem niezmiernie i ukontentowany. Fortuna na mnie łaskawa. Wszakże już dawno chciałem waszmości wyjawić, że nijako mi z darów jej korzystać, w domu spokojnie siedząc, miast • ojczyźnie służyć. Przed słabością jejmość małżonki mojej ani o tym mogłem spomnieć, teraz otworzyście rękę: Do hetmana koronnego chcę jechać, zaciągnąć się... O wojnie znowu gadają...

– Jezusie Nazareńskil – oburzył się pan Korolko. igl Nie godzi się! O, nie godzi się... Tu obowiązki święte rodzica, opiekuna, tu szmat ziemi, tu czeładka... Tu jest czego strzec... Nie mówię jeszcze posłować, ale na wojaczkę... Dosyć jednego nieszczęścia w rodzinie. Komu tyle dano, musi szanować te dary.

Konstanty pociągnął miodu.

– Wytrzymać nie mogę – wyznał nieoczekiwanie, jakby zapomniawszy, że przed chwilą mienił się szczęśliwym i ukontentowanym. – Może z czasem przywyknę... Na razie nie mogę...

-Do czego waszmość dobrodziej przywykniesz?...

Konstanty zagryzł wargi. Nie kwapił się objaśniać.

– Wstyd by mi było czekać na pospolite ruszenie. O wojnie Żydki wciąż gadają. Na Turka Miłościwy Pan

pono pieniądze zbiera. Tu na wsi siedząc o niczym się nie wie. Pojadę dowiedzieć się.

– Jejmość pani dobrodziejka zna już te zamiary?

– Wspominałem, owszem. Zgadza się pod kondycją, że sama natenczas z dzieckiem i dworkami w Wilnie osiądzie. Tu, powiada, samej kuczyć się będzie. Lubi ona świat i rozrywki, co nie dziwota, bo młoda...

– Jezusie Nazareński! To dwór pustką ostanie?!

– Na krótki czas, waszmość panie, na krótki czas... Da Bóg, za parę lat powrócim szczęśliwie. A i gromadka pewno się pomnoży...

– Tyle dobra mieć, tyle ziemi, i odjeżdżać! – biadał pan Korolko. – Waszmość dobrodzieju mój miłościwy, tak czynić nie wolno, to grzech! Jeszcze ojczyzna miła nie przyszła do takiej opresji, żeby należało wszystko rzucać i biec! Owszem, wspaniała jest i w całym świecie szanowana... Król jegomość chce na Turka – jego wola... Wždyć nieprzyjaciel w granicach nie siedzi...

— Nie mogę inaczej – uciął krótko Konstanty. – Dyskusja daremna. A wiem, że przy opiece waści majątek w lepszym porządku zostanie, niż gdybym sam tu przebywał...

– Bo pewnie... pewnie! Na mnie można się zdać. Pańskiego dobra przypilnuję. Pan marszałek takóż... Jeno że to zgroza... Odjeżdżać ze wszystkim... I kiedyż?

– Nie wcześniej jak za trzy, cztery niedziele. Nie sumuj ze się waść.

Ale pan Korolko był jak ogłuszony. Pożegnał się też wrychle i odszedł obgadać wiadomość z marszałkiem Kapustą. Konstanty pozostał sam przy dogasającym kominie, snując dalej niewesołe swoje myśli. Musi wyjechać. Może w polu zdoła uciec przed samym sobą. Może zapomni, nareszcie zapomni... Czuł, że jeżeli dłu-

żej pozostanie w Głębokiem, beczynny, trawiony
myślami – oszaleje. Myśl o szaleństwie przypomniała

Każmirka przyglupka. Jaka szkoda, że okazał się niespełna rozumu! Konstany pragnął go widzieć. Pragnienie to kojarzyło się z dziwnym uczuciem nieokreślonej przyjaźni. Nie byłby się przyznał nikomu, że czuje przyjaźń dla chłopca, a jednak czuł... Szkoda, że tak źle umieścił swoje uczucie...

...Ach, wszystko, czego się dotknie, jest źle. Wszystko zamienia się w popiół, wszystko ma posmak piołunu. Przed chwilą mówił do komisarza o żonie wyrozumiałym tonem starszego, dobrotliwego męża: młoda jest, lubi świat i rozrywki... A gdy to mówił, szczęki mu się zwierzały z pasji na myśl, że poszedłszy do wojska zostawi Beatę, młodą – właśnie! – chciwą rozrywek – właśnie! – w grodzie otoczoną ludźmi. Przewidywał piekło niepokoju i zazdrości, jakie przeżywać będzie oddalony od niej, a poradzić na to nie mógł. Pozostać w Głębokiem – za nic! Zadręczyłby ją i siebie. Ona zaś sama mieszkać tu nie chciała.

„...To grzech opuszczać tyle ziemi, obowiązków... – mówił komisarz. – Dość jednego nieszczęścia w rodzinie...” Grzech? Nieszczęście? Nie tam są, gdzie przypuszcza pan Korolko. Kto powiedział, że najgorszym następstwem winy jest kara? To kłamstwo. Bezkarność nie podejrzewanej przez nikogo zbrodni była tym właśnie, co Konstantemu truło każdą chwilę, płoszyło sen, gnało po nocach w las, odbierało rozum. Nikt o tym, co popełnił, nie wiedział. Nie było, kto by go nazwał Kainem. Ani zmarły upiorem nie wracał po nocy. Nikt... Nikt... Wszyscy go szanują, za prawego dziedzica uważają, nie za uzurpatora...

...Gdybyż mógł wyznać swój grzech na spowiedzi!
Może nareszcie odzyskałby spokój. Lecz on lękał się, że
spowiednik każe oddać źle nabyty majątek innym

krewnym albo Kościołowi. Tracąc majątek utraci Beatę. A syn? Nie może okrywać hańbą swego syna. I co roku dodawał nową świętokradczą komunię do poprzedniej winy. Co roku spowiadał się połowicznie z drobnych grzechów, przemilczając najważniejszy. Dlatego może udręka jego nie zasklepiiała się, nie pełzła, ale rosła, stawała się coraz dokuczliwsza. Obecnie stanął u kresu sił, nie widząc innego ratunku jak wyjechać, wyjechać bodaj na kraj świata!...

Inne troski, inne sprawy zaprzętały umysł Kaźmirka Przygłupka (bo tak go powszechnie zwano). W ostatnich latach przywykł się obchodzić bez wielu rzeczy, do których przywykł z dzieciństwa; z dawnego życia pozostał mu jeszcze tylko nałóg myślenia, zamiłowanie do definicji, do zdawania sobie sprawy z tego, co się wokół dzieje, pragnienie zrozumienia samego siebie. Niegdyś lubił toczyć uczone dysertacje z ojcem Dominikiem, które, gdy się przeciągały, gniewały i drażniły Beatę. Obecnie prowadził je sam ze sobą. Zdumiewał się, że dawniej tylu rzeczy nie spostrzegał, uważając szczerze otaczający go ustrój za dobry i naturalny.

By go należycie poznać i ocenić, musiał przeobrazić się w innego człowieka. Tak bardzo innego, że chwilami zdawało mu się, iż sprawiły się nad nim jakieś dziwne czary, które rozdwoiły jego osobowość. Rozumiał tych i tamtych, należał równocześnie duszą do dwóch światów, czuł za jednych i za drugich. Trudno mu było przywyknąć spać zimą tyleż co inni, i w długie noce miał czas rozmyślać nad nierównością losu i kolei człowieczych, nad różnością miary, jaką życie darzy poszczególnych ludzi. Tak więc wszystko, czego uczą mło-

dego rycerza, jest polotne, ściśle, wyrabiające bystrość,
odwagę, błyskawiczne postrzeganie, zwinność i daleko

siężny wzrok. Wszystko, czego uczą chłopca, jest ciężkie, znojne, cierpliwe i ku ziemi pochylone. Oto się wprawia pacholę szlacheckie w najpiękniejszą zabawę rycerską: szermierkę. Jak lekkie są jego ruchy, jak śliczna postawa! Czy dziwne, że z tego dziecka wyrośnie zuchwały junak? Lecz nie sięgając szermierki – spójrz na zabawę dziecinną i prostą, od najmłodszego wieku pacholęciu w ręce daną – na łuk. Pierś wyprostowana, ramię wyciągnięte, strzała leży na napiętku, druga ręka wolnym ruchem odciąga ją w tył, aż wargi dotkną struny, złożą pocałunek na cięciwie. Wtedy – świst! Strzała przesywa powietrze. Zmarszczona łuczniczka brew, wyteżone oko patrzy bystro, jakby chciał kierować pocisk spojrzeniem...

...Ustawicznie zgięty w pół, schylony jest człowiek nad pługiem, nad broną, nad sierpem... Oczy ciągle patrzą w ziemię. Ba, nawet czynności wymagające podniesienia głowy: zbieranie orzechów, szukanie barci, wybieranie gniazd ptasich – są więcej skurczem szyi wygiętej ku tyłowi niżli spojrzeniem w dal. Nikt od chłopca nie wymaga, by patrzył daleko. Jednakże tamta rozkosz zowie się zasługą, a nad tym znojem nikt się nie unosi...

...Nikt od chłopca nie wymaga, by patrzył daleko... Wielu jednak z nich tęskni za możliwością lotu. Kaźmier śledził nieraz niepospolite zdolności przejawiające się pośród pacholąt wiejskich, gasnące szybko w twardej pracy, w ciężkim bycie. Płowe obdarte wyrostki o konopiastych czuprynach widziały mu się pełne miazgi żywej, twórczej, gotowej wydać niepospolite umysły, gorące serca. Przejawiało się to w spojrzeniu, w dźwiękach ligawki wierzbowej, w figurkach wystruganych

kozikiem, w zachłannej ciekawości, chęci dowiedzenia

się czegoś o świecie szerokim. Nie znajdując możliwości rozwoju, ginęło to, zamierało, cofało się w twardą skorupę chłopskiej nieufności i tępoty, by znów zabłysnąć przelotnie w następnym pokoleniu. Czy ten żywy zapas sił plemiennych, wciąż na uboczu zostający, doczeka się kiedyś pełnego rozkwitu? Czy to, co udało się wyjątko; wo Grzegorzowi z Sanoka, uczonemu Marcinowi z Wadowic, będzie dostępne dla wszystkich?

„Nie ma różnicy między światem urodzonych i nieurodzonych” – powiedział sobie kiedyś Kaźmierz i aż sam przeraził się tego bluźnierstwa. Raz jednak powzięta myśl powracała, upewniała coraz mocniej o swojej słuszności. Ludzie rodzą się jednako. Tylko jedni zastają przygotowane dobre warunki bytu, a inni złe. Urodzeni – to znaczy należący do rodu, gotowego ująć się za każdą uczynioną im krzywdę, bronić i wspomagać. Za nieurodzonymi nie stoją rodowcy; przychodzą oni na świat i umierają nie licząc swoich pokoleń, zaludniają od wieków ziemię, sami o tym nie wiedząc. Oto jedyna różnica.

Skoro pozwolił sobie na podobne myśli, skoro dopuścił, by się zagnieżdżyły i stały się przedmiotem rozważań, jęło mu przychodzić do głowy, że przecie ktoś uparcie powtarzał to samo od dawna. Zuchwałość jego nie była ani odkryciem, ani bluźnierstwem, jak mu się zdawało. Ktoś z niezachwianą pewnością stwierdzał braterstwo wszystkich ludzi i on słyszał to już nieraz. Któż o tym mówił? Kościół. Kościół to powtarzał przy każdej okazji, każdej niedzieli, w każdej ewangelii. Więc jakżeż się działo, że Kaźmierz i jemu podobni, Boga gorąco miłując i wierząc weń, tej najważniejszej zasady

nie spostrzegali? Że przechodziła mimo uszu,
przeoczona? Dlaczego w ulubionych dysputach między

Każmierzem a ojcem Dominikiem ten właśnie temat nie był nigdy poruszany, jakby obowiązywała jakaś obopólna zmowa? Dlaczego? Wszakże to najważniejsza, fundamentalna rzecz! Korzeń grzechu tkwi w tym, że połowa ludzi uważa się za lepszą, uprawnioną do panowania nad drugą połową. Czemu się o tym milczy? Zali nie jesteśmy chrześcijanami?...

Gdy się całą duszą w te myślenia wtopił, poczynając mu ciążyć własne doświadczenie, którego nikomu przekazać nie mógł i nie umiał. Jak się nim podzielić ze swoimi? Ślubował, że wytrwa. Zresztą nie miał już powrotu. Któż by go przyjął zhańbionego otrzymanymi plagami, pracą parobka, cierpliwie znoszonym poddaństwem? Któż by się z nim jak z równym przywitał? U kogo głos jego znalazłby walor i posłuch? Nie wróci nigdy. I nikt z gorzkiej jego mądrości, z jego przeżyć nauki nie zaczerpnie. Zaginie ona wraz z nim. I tylko Bóg miłosierny, ujęty ogromem ofiary złożonej, może, jeśli zechce, przekazać myśli Kaźmierza jego krewniakom i krewniakom krewniaków, i rodowcom, i wszystkiej szlachcie Rzeczypospolitej. Tylko Bóg może sprawić, by pyszne, zuchwałe głowy panów braci wyczuły i podzieliły poglądy zdobyte przez wygnańca żyjącego tak samotnie, jakby był pustelnikiem zamurowanym w wieży...

Gdy się Kaźmierzowi udawało dobić tego punktu rozważań i troskę swą zlecić Bogu, nadzieję na Łasce niby na kotwicy zawieszając – stawało mu się na sercu nieco jaśniej i lżej. Szaleńcze poświęcenie widziało się celowe i słuszne, a życie nie zmarnowane. „Inni w niewoli tureckiej gorzej harują – pocieszał sam siebie – gdy ja

wśród swoich z serdecznej intencji i dobra^ woli..." Z
dobrawoli?... Ledwo powiedział to słowo,

wątpliwości opadały go jak psy. Czy istotnie z dobrej woli wybrał swoją drogę, czy też złośliwy los wepchnął go w cudzą koleinę? Może właściwie nie zdobył żadnej zasługi, nie ujednał niczym nieba, gdyż kto inny, nieznajomy, postanowił zamiast niego? Gdy go podobne podejrzenia osaczały; ciemność zalewała duszę. Bronił się przeciw niej, przypominając ową noc pamiętną, gdy leżał pod gąsiorem skrwawiony i zbuntowany. Toż miał wtedy prawo wyboru, toż los jego wahał się wtedy w tę i tamtą stronę. „I dobrowolnie wybrałem, dobrowolnie – zapewniał sam siebie. – Zostałem z własnej nieprzymuszonej woli...”

Podobne dumania nawiedzały często eks-starościca, nie dając mu zasnąć, trzymając wytrzeźwionym i czujnym aż do świtu. Lecz czas mijał i pomału Kaźmierz poczynął sypiać mocniej, a myśleć mniej. Przypominał sobie Owidiuszowe „Przemiany”, których na pamięć uczył się w konwikcie, a w nich baśnie o ludziach lub nimfach przemienionych w drzewa. Ramiona ciepłe, żywe, przekształcają się w konary, ciało chropowacieje w korę, stopy wrastają korzeniami w ziemię, włosy zjeżone przerażeniem zielenią się liśćmi. Umysł przestaje myśleć, czuć, może tylko szumieć... Był tu człowiek, a jest drzewo...

„Zali i ze mną nie będzie podobnie?” – obawiał się Kaźmierz w pierwszych latach swej pokuty. W miarę jednak, jak Owidiuszowa przemiana dokonywała się w nim rzeczywiście, jak twardniały tkanki zarazem ciała i ducha – przestawał o tym myśleć, przestawał sobie zdawać z tego sprawę.

Ale nie przestawał cierpieć. Roślinny spokój nie ogarniał serca. Nie wiedzieć, czy nimfa Dafnis w laur przemieniona bolała nadal pod powłoką kory, natomiast

niewątpliwe, że cierpiał Kaźmierz. Bo można zapomnieć myśleć górnio i rozumnie – nie można zbyć pamięci innego istnienia. Patrząc na szpetną, głupią i brudną Praksedę trudno nie wspomnieć, że miało się zostać mężem pięknej, namiętnej i ukochanej Beaty. Albo spojrzawszy na własne ręce, pokryte wrosłą skorupą brudu, podobne do sękatych korzeni, nie uprzytomnić sobie choć na mgnienie, że były to niegdyś dłonie pańskie i rycerskie. Ani zapomnieć uczucia lubej sytości, kiedyś, kiedyś doznawanej -Igigdy się jest stale głodnym, wzdętym od złej strawy. Więc cierpiał. Nie były to już ostre jak dawniej odruchy rozpacz, ataki bólu nie do wytrzymania, lecz nieustający ucisk, ciężący równomiernie niby jarzmo na karku wołu, nie dający o sobie zapomnieć ni w dzień, ni w nocy, ni wiosną, ni latem, jesienią ni zimą...

Wiele minęło tych wiosen, jesieni i zim, przestał liczyć na wpół siwy, kudłaty, przygarbiony Kaźmirek Przygłupek. Co by mu przyszło z tej rachuby? Stwierdzenie ucieczki lat nie przyśpieszy ani nie powstrzyma odpływania czasu. Nie zadzierży, nie pogoni. Nie zmieni ani na jotę. Więc po co, mój Boże, po co?...

ROZDZIAŁ XVII

Pan Korolko ocieżał, postarzał i wyłysiał, niemniej rozkazy wydawał z poprzednią energią. Z ust, gdy mówił, buchały słupy pary, mróz bowiem na dworze był siarczysty. Czeladi słuchając pana komisarza przestępowała z nogi na nogę, siąkała nosami i rozcierała zgrabiałe dłonie. Pan Korolko mówił:

– Wielka to dla nas wszystkich kontentacja, że jaśnie wielmożny pan dziedzic dobrodziej, marszałek ziemi połockiej, zjechał do nas po tak długiej niebytności i z gośćmi znamienitymi... Dziś zabawiają się łowami w puszczy, jutro z południa patrzeć mają, jak się ryby ciągnie siecią na jeziorze. Tandem przereble trzeba rąbać od rana, a potem pilnie ich strzec, żeby nie zamarzły, nim jaśnie państwo przyjadą. Sieci, draży, podrywki, kosze mają być jak należy przygotowane, żeby wstydu nie było. Nie byle goście będą na waszą robotę patrzeli...

– Nie zabaczym niczego, wielmożny panie – zapewnił podstarości. Nie ten sam, co dawniej był, inny. Tamten umarł na ospę przed rokiem czy dwoma. Nowy był też pies na ludzi, tak samo trzaskał harapem, nosił sumiaste wąsy, żupan kitajkowy i po kilku miesiącach ludzie zapomnieli o zaszłej zmianie. Przypominali sobie o zmarłym wtedy tylko, gdy obie podstarości, nowa i stara, mieszkająca na gracji w połowie daw

nego mieszkania, wzięły się za łby zbyt gwałtownie i wrzaskliwie.

Na podwórzu, od dłuższego czasu cichym, panował teraz ożywiony ruch i gwar. Wraz z państwem przyjechało moc znacznych gości. Pan Stanisław Starzeński, wojski połocki, pisarz grodzki i poseł księstwa żmudzkiego; Eustachy Grotus, podstoli; koroniarze po raz pierwszy na Litwie będący: pan Wojciech z Osówki Zboiński, poseł ziemi dobrzyńskiej, pan Jan Krasieński na Krasnem, referendarz koronny, i kilku pomniejszych.

Wraz z gośćmi przybyły liczne tabory, przeto każdy kąt toku zapchany był wozami i kolasami. Czeladź gościnną pan marszałek Kapusta kazał trzy razy dziennie wołać do piekarni na sute jedzenie, ku niezadowoleniu miejscowej służby, z zazdrością wciągającej nosami smakowite, aż na podwórze dolatujące zapachy. „Cudzego zawsze pasą” – narzekali.

Iwan, Daniło i inni, którzy z państwem po kilkuletniej nieobecności powrócili, spoglądali z góry na całe obejście i z przechwałkami opowiadali dawnym towarzyszom o życiu w obozie, o Warszawie i Wilnie, o sejmach i sejmikach. To znów zniżając głos i spozierając, czy podstarość nie idzie, prawili o buncie Pawluka, o jego straceniu w Warszawie, o nowych teraz rozruchach podjętych przez Ostrzanina i Dymitra Tymaszewicza, a uspokojonych nad rzeką Starczą większym rozlewem krwi, niż cała wojna szwedzka kosztowała... „Kipi nad Dnieprem, kipi – mówili błyskając oczami. – Obaczycie, jeszcze może zakapieć i u nas...!”

Potem, jakby obawiając się, że za dużo powiedzieli, nawracali do rzeczy zwyczajnych. Dziedzicowi darzy się we wszystkim – przecie został sęp jak zawsze. Sowę

zadmie, nie mówi nic... Nie ucieszne życie przy nim... Dziedziczka też taka sama sprzeczna w grodzie, jak była we dworze. Nikt jej nie dogodzi. Dzieci niczego. Kazik, co mu już dziewiąty rok idzie, zmyślny pacholik, do konia rad się bierze... Dziewuszka jest Małgorzata po babce, starej dziedziczce, a małemu chłopcu Gabriel... Kramu było z tymi dziećmi, niańkami, mamkami, ze strach... Nieraz się ludzie dziwili. „Niewiasta powinna doma siedzieć” – powiadali. Ale gdzie by tam dziedziczka usiedziała! Strasznie ona na wszystko pazerna...

Każmierz zamiatał gorliwie podwórze, manewrując tak, by być blisko opowiadających. Zaciekawiało go, co mówili. Sam nie pytał, gdyż z latami stał się wielkim milczkiem, ale pragnął słuchać. Dowiedzieć się jak najwięcej szczegółów. Ostatnio żył niby w letargu, mało myśląc, mało wiedząc, grażąc się coraz głębiej w duchowym otepieniu. Powrót brata obudził go. Otrząsnął z siebie drętwość; dawne uczucia, zgłuszone, przygasłe, ożyły silne i młode. Gorąco pragnął zobaczyć dzieci, o których mówiono. Nowe młode Korsaki, młode pokolenie. Że też najstarszemu dali imię Kazik... Musiała być chyba taka klauzula w testamencie... Będzie więc znowu Kaźmierz Korsak na Głębokiem...

I dziwne mu się zdało, że jego własne życie już minęło. Zawsze myślał, że się dopiero zaczyna, a oto był siwym dziadem, zaś nowy Kaźmierz Korsak uczył się dosiadać konia...

Po południu, że miał siekiere, posłano go do rąbania drzewa dla dworu. Stróż sam nie mógł wydołać robocie, należało bowiem ogrzać wszystkie komnaty, poza tym w

obu kuchniach, pańskiej i czeladnej, płonął nieustanny ogień. Pokojowcy, pachołcy i dziewczki zwijali

się jak w ukropie, mając ręce pełne roboty, zwłaszcza że lada chwila oczekiwano powrotu myśliwych z polowania. Obok kuchennego wejścia, przy drewni Kaźmierz rąbał smolne szczapy równo i starannie. Postanowił sobie, że ułożone naręcze poniesie sam do kuchni. Kto wie, może tam zastanie Beatę? Pani matka starościna była zapobiegliwą gospodynią, lubiącą wszystkiego osobiście dojrzeć, i łącznie można ją było w kuchni napotkać. Może więc i marszałkową?... Kto wie?... Tyle lat minęło, że nie bał się tego spotkania, owszem, marzył o nim. Lecz Beaty w 'kuchni nie było. Był tylko znajomy z dzieciństwa dostatni zapach korzeni, przypalonego tłuszczu, pieczonego mięsa i wina.

– Mało! – krzyknął kucharz wskazując na drzewo. – Przynieś jeszcze, a żeby suche i drobniej zrzębane!

Kaźmierz przymruknął twierdząco i do drewni powrócił. Zagrzany ruchem i wzruszeniem, prawie nie czuł mrozu. Rąbiąc myślał: „Te polana dla kuchni... Gdybym drugie naręcze poniósł na pokoje?... Pewnikiem i tam potrzeba... Obaczę znajome kąty... Mnogo lat ich nie widziałem... Co mi kto uczyni? Najwyżej szturchnie w kark. Tylem już nabrał szturchańców, że o to nie stoję. Może ją spotkam lub dzieci?... Goście jeszcze nie wrócili z łowów, najsposobniejsza to pora...”

Zaniesione do kuchni szczapki były tak drobne i równe, że czerwony i spocony jak smok kucharz wyciągnął do drwala dłoń z ochłapem mięsa.

– Naści, zjedz.

Kaźmierz wsunął ochłap za pazuchę i rąbał znowu. Śpieszył się, by zdążyć, zanim myśliwi powrócą. Ułożwszy brzemie, wkroczył z nim do sieni. Miast skrócić

jaik przedtem do kuchni, pchnął drzwi wiodące do po-

Śpij, dzieciño pańska, wiozą ci zabawki z Krakowa i Gdańska i z pięknej Warszawki.

koju szaf arki, stamtąd do izby, co była niegdyś gotowalnią pani matki, a teraz snadź składem różnych niepotrzebnych przedmiotów, potem do jadalni i wielkiej sieni idącej na przestrzał dworu. W jadalni służba ustawia stoły, nakrywa, dzwoni srebrnymi talerzami. Na dziada niosącego drzewo nikt nie zwraca uwagi. Owszem, Daniło leci za nim.

— Ej, Kaźmirek! To daj do sieni przed komin, a drugie tyle przynieś do komnaty jaśnie pana!

Kaźmierz kiwa milcząco głową. Posuwa się wolno, wolniutko, jakby bał się pośliznąć lub nie mógł udźwignąć drzewa. Brzemień jest ciężkie istotnie, ale on kroczy pomału, żeby się napatrzeć.

W domu nic się nie zmieniło. Naprawdę nic. Te same sprzęty, te same kobierce, opony, broń na ścianach... Wszystko jak niegdyś za młodzieńczych lat. Dziwnie mu kroczyć niby we śnie przez ten świat, dawno dla niego zamarły...

Złożył naręczce przed wielkim kominem w sieni, wyciągnął spod polan postronek, objął wszystko wkoło – ściany i sprzęty – niewymownym spojrzeniem i ruszył z powrotem. Oto uchylone drzwi od komnaty rodziców. Widać głębokie karło, w którym siadywała przed krosnami pani matka. Ogarnęło go wzruszenie tak wielkie, że bojąc się, iż upadnie, oparł się plecami o futrynę. Zaprağnał podejść, dotknąć tego krzesła. Bawił się przy nim tylekroć małym dzieckiem u kolan macierzy. Macierz śpiewała mu ulubioną piosenkę, kołysankę, którą do dziś dnia pamięta:

Z norymberskich sklepów sukienki ci dadzą i z podolskich łąnów koniki sprowadzą.

Jak wyrośniesz zdrowo, wśród wojen hałasu pod sejmową szopą spać nie będzie czasu.

„...Śpij, dziecino pańska, wiozą ci zabawki...” Zdało mu się, że słyszy słodki głos matczyny. Postąpił niezdarne parę kroków w przód, z wyciągniętymi rękami.

– A ty czego?! – zabrzmiał nagle z boku gniewny kobiecy głos.

Każmierz przeraził się, upuścił postronek trzymany w ręku. Z miękko zasłanej ławy podniosła się niewiasta wysoka, strojna, wspaniała, o ostrym wyrazie twarzy. Onaż to?... Ależ tak, bez wątpienia, Beata!... Bądź pozdrowiona, miła, żem to cię jeszcze obaczył... Gniłem za tobą... Ani znasz, ani suponujesz, jak bardzo cię miłowałem...

Przycisnął obie ręce do piersi, wlepiając w nią szczęśliwe, zachwycone oczy. Ona rozeźlona wołała:

– Jest tam który?! Iwan! Daniło! Sam tu żywo!

Wpadli obaj. Wskazała ręką na intruza.

– Co za porządku? Kto chce, po komnatach łązi! Ten obdartus wlażł aż tutaj! Wygonić każę was wszystkich!

– To Kaźmirek z folwarku. Drzewo nosił do sieni...

– Nieprawda! Wałęsa się po domu. Przepatruje. Gdybym go nie spłoszyła, pewnie by coś skradł.

– Upraszam waszej miłości, on by nie skradł, a oglądał, bo przyglupi. Jego nawet Przyglupek wołają.

– Nie puszczać mi go do dworu! Czego się gapisz?! – wrzasnęła do Kaźmierza, który z niej oczu nie spuszczał.
– Zmykaj, pókiś cały! Nie chcę go tu widzieć więcej! Dzieci nastraszy... Drzewo niech nosi kto inny.

– Słucham jaśnie wielmożnej pani marszałkowej... No, dziadu, rusz się! Słyszałeś?!

Kaźmierz odszedł przygarbiony. Beata popchnęła nogą upuszczony postronek.

– Daniło! Oddaj mu jego sznur! Może się na nim obwiesić!

Pokojowiec cisnął linką w plecy odchodzącego.

– Obwieś się! Pani powiedziała...

Sznur obsunął się z szelestem po sukmanie. Kaźmierz podjął go i wyszedł do kuchennej sionki. Tam przystanął mocując się z bólem. Nie sądził, że podobny ból może istnieć na świecie. Wszystko, co przecierpiał dotąd, było niczym w porównaniu z tą udręką. Jak niegdyś, gdy go bito – zaciskał zęby, by nie zacząć wyć jak pies. Tego by jeszcze brakowało... Śmieszny stary dziad, przyglupek... Oj, że głupi, to głupi, że śmieszny, to śmieszny... Wszak sam tak chciał... sam tak chciał... Sam się chłopem kreował... A po co? Nikt nie wie, po co... Nikomu nic z tego nie przyszło, a przegnała go Beata... Przegnała z domu jak psa... Powiedziała: „Niech się obwiesi”...

...To może się i obwiesić? Żywot haniebny zakończyć?...

Natrząsał się sam z siebie bezlitośnie, kurczowo obracał w rękę postronek. Naraz drgnął. Tuż przed nim na schodki wyskoczył chłopaczek w lisiej szubce i zbyt wielkiej czapie. Oskrobywał buty ze śniegu, wesołym, otwartym spojrzeniem mierząc Kaźmierza.

— Ja jestem Kazik – rzekł poufnie. – A ty kto?

– Kaźmirek...

– O! – zdziwił się malec. – Tośmy imiennicy? A gdzie jesteś? Przy koniach?

– Nie —i odparł Kaźmierz z żalem – ale bym chętnie panicza do konia przyuczał...

– Potrafiłbyś?

Potrafiłbym. Nauczyłbym cię, chłopaczku najdroższy, tak koniem toczyć, szablą robić, żebyś był pierwszym z rycerzy...

– To dobrze. A czego powiadasz: „najdroższy”, kiedy mnie wcale nie znałeś?

– Bośmy imiennicy przecie.

– Przyjechali! – zakrzyknął chłopiec i zbiegłszy ze schodów poleciał przede dwór. Kaźmierz poszedł za nim jak urzeczony.

Wokół podjazdu było już pełno ludzi, psów, szczwaczy, dojeżdżaczy, naganiaczy, psiarczyków. Z sań wysiadali panowie. Zrzucali ciężkie szuby na ręce pokojowców i głośno, wesoło rozmawiając wchodzili do sieni. Teraz zajeżdżały małe chłopskie sanki w jednego lub dwa konie szydłem zaprzężone, przywożąc zabita zwierzynę. Była jej mnogość ^dzików, wilków, jeleni, żubrów, mniej jednak, niż Kaźmierz pamiętał, że za ojca bywało. Chłopiec w lisiurce, zachwycony, biegał od sań do sań, a Kaźmierz za nim. Pomagał zdejmować zwierzynę i patrząc na radość malca śmiał się. Potem chłopiec gdzieś znikł, zapewne go odwołano, za to na ganek wyszedł dziedzic. Kaźmierz widział go pierwszy raz od wielu lat, od czasu pożaru. „O Boże, jakże postarzał! – pomyślał. Prawie jak ja... Też ma łeb siwy i twarz pomarszczoną. Widno mu nadal nie- lekko...”

Konstanty był nie tylko postarzały, ale w danej chwi-

li wściekły. Hamował się dotąd przez wzgląd na gości. iNadbiegłym podstarościemu i komisarzowi opowiadał gestykulując, co za konfuzja się stała: naganiacze, ob-sadzający knieję za jeziorem, zeszli samowolnie z po-sterunków i gdy panowie nadjechali, nie było nikogo...

– Najpiękniejsza knieja! – źlił się Konstanty. – Sądziłem, że tam tura ubijemy! A oni zeszli... Nim no-wych leśniczy spędził, już się zmroczyło... Nie zdążyłim całej ogarnąć...

– W głowę zachodzę, co hołocie strzeliło do łbów. Toć to niesłychana rzecz! – zdumiewał się pan Korolko.

– Po prawdzie mieliśmy być w tej kniei rano, potem się rozmyśliłem, że ją ostawim na koniec, na wety, by panom Koroniarzom pokazać litewskie łowy najprzed-niejsze... A te psubraty, zamiast kamieniem czekać, ze-szły... Gadali pono, że zmarzli, że myśleli, iż łowów już nie będzie... Obwiesie! Na taki wstyd mnie narazić! Widziałem, jak referendarz nachylał się do kasztelanka i coś prześmiesznie gadali... Pewnikiem o tym... O czym by? Leśniczego z miejsca wygoniłem, naganiaczy kazałem jutro spędzić i co dziesiątemu dla przykładu chłosta! Gdybym był w lesie którego w łapy dostał, udusiłbym sam ze złości...

– Myśleli... Z marzli...—— mruczał pan Korolko. – Delikatne fizyki! Ich prawo czekać i słuchać, nie my-śleć!...

– Przez tych chamów połowę zwierza mniej padło, niż należało...

Kaźmierz nie zwracał zbytnej uwagi na rozmawia-jących. Pomagał znosić zwierzynę z saó, spoglądając na drzwi dworu, czy chłopiec nie wraca. Nie wracał.

Tymczasem mrok zapadł zupełny, sanie odjechały

wszystkie i Kaźmierz poszedł do domu. Pod stopami skrzypiał śnieg, drzewa trzeszczały od mrozu. W chacie wyciągnął zza pazuchy skrzące mięso otrzymane od kucharza i dał je Praksedzie bez słowa.

– Skąd masz?! – zawołała zadowolona.

– W kuchni mi dali za to, że dobrze porąbałem drzewo.

– Żeś to sam nie zjadł?...

Nie odpowiedział nic i położył się spać. Do niedawna ległszy zasypiał od razu ciężkim, zwierzęcym snem bez snów, dziś jednak kładąc się wiedział, że oczu nie zmruży do rana. Zbyt wiele targnęło nim wzruszeń. Wędrownica po domu rodzinnym, krzesło matczyne, spotkanie z Beatą, Beaty głos, postawa, uroda, twarde słowa, nielitosne wypędzenie... Poczucie krzywdy, diabelska pokusa, i nagle, niby promień – jasna pacholeńca twarz. Cóż w niej było, że poprzedni ból nie do zniesienia łagodniał, schodził nieomal na drugi plan? Czemu widok nowego Kaźmierza Korsaka przejmował go takim wzruszeniem, jak gdyby to on sam zaczynał życie po raz wtóry, a ledwo poznany chłopaczek był najbliższą, najmiłszą istotą na świecie?...

W gruncie rzeczy cóż ich łączyło? Syn mordercy i niepomnej narzeczonej. Więc tylko, że krew ta sama od wspólnego dziada? Czy że imię?... Jak się stało, że mała postać o ufnym, wesołym spojrzeniu przesłoniła wszystko inne, kazała zapomnieć nawet o krzywdzie wyrządzonej przez Beatę?

...Gdybym mógł zbliżyć się do niego, pozyskać zaufanie, gdybym mógł, ja, stryj, poprowadzić go do chat pomiędzy ludzi, przekazać mu swoje doświadczenie i to

wszystko, com przemyślał i przebolewał, i zrozumiał... Doradzić, co ma zmienić, co obalić, co zostawić... Gdybym

mógł... Śmieszny stary dziadu! Znow zaczynasz swoje nierozsądne marzenia? Chcesz, by cię wypędzono drugi raz jeszcze sromotniej? Gdzie ci do jasnie panicza! Pozwolą to paniczowi zadawać się ze starym przygłupkiem?... Nie pozwolą, nie pozwolą...

Cieęższa niż upokorzenie, jakiego dziś doznał, wydała się myśl, że życie odtrąci go od dziecka, nie zezwoli na zbliżenie ich wzajemne.

Nagle roześmiał się głośno. Szczęście, że Praksesta spała. Sądziłaby nie bez racji, że Przy głupek do cna rozum postradał. On zaś śmiał się z radości. Oto już wymyślił: zbiegnie do klasztoru. Tam wyzna wszystko, wypowiada się, poprosi o przytułek do końca życia. Nie wydadzą go, bo jest szlachcicem, nie zdradzą, bo związani będą tajemnicą spowiedzi. Oblecze habit, zasiądzie w celi, będzie pisał, pisał, pisał... Spisze wszystko, co przeżył, co myślał i czuł... To będzie jego testament. Testament ten przekażą młodemu Kaźmierzowi Korsakowi, skoro wyjdzie z lat dziecięcych. W testamencie zawrze wszystko, przemilczając tylko postępek Konstantego. I zaklnie, zaklnie młodego, by się do słów stryja stosował...

ROZDZIAŁ XVIII

]Vfróz był sroższy niż wczoraj, bo z wiatrem. Na otwartej przestrzeni zamarzniętego jeziora hulała zamieć, tnąc twarze i dłonie. W krótkim czasie przejmowała na wskroś sukmany, kozuchy, łapcie, dobierała się do kości, do szpiku. Póki jeszcze kuto przeręble, wyrzynając w grubym zielonawym lodzie czarne jak otchłań, tajemniczo pluskające kwadraty, napięcie muskułów utrzymywało w członkach nieco ciepła. Lecz przeręble szybko zostały wykute, a do roboty nie pozostało nic, jak strzec je przed ponownym zamarznięciem i czekać, aż państwu przyjdzie ochota zabawić się połowem ryb. Kiedy nadjadą, czy nadjadą?... Kaźmierz (dobra siekiera, jaką posiadał, sprawiała, że należał zawsze do rębaczy) domyślał się, skąd wyszedł pomysł połowu. Bo ostatecznie cóż tak ciekawego w zarzucaniu sieci? Że wielkie szczupaki, omszałe od starości karpie, sumy większe od człowieka? Pewno, że dziw. Tak wielkich ryb jak w Głębokiem nawet w Na- roczy nie łapią. Ale o to mniejsza. Niewątpliwie Konstanty chciał przy tej okazji pochwalić się Woźnikami idącymi rysią jak żadne inne konie. Puścić je równym pędem, wydobyć najwyższą szybkość można było tylko na równej tafli lodowej. Wtedy śmigwały jak ptaki. I dla pokazania tego pędu panom Koroniarzom wymy-

ślono połów na najbardziej od folwarku odległym końcu jeziora.

Tymczasem jednak ludzie marzli, a panowie nie nadjeżdżali. Może zmienili zamiar, może woleli łowy, może ulękli się mrozu, może odsypiali pochmiel po wczorajszej uczcie?

Zziębnięci chłopci tupali nogami, zabijali ręce, doskakiwali do siebie usiłując się mocować, biegali od przerębli do przerębli mącąc wodę, by nie zamarzała, mimo to kostnieli. Odejść nie mieli odwagi. Podstarości, przerażony zajściem z naganiaczami, przykazywał srogo i wielokrotnie, by czekali na posterunku choćby do rana.

– Wolałbym Lucypera w zadek pocałować, niż jaśnie wielmożnego pana marszałka na nową konfuzję narazić! – mówił. – Skórę bym z was, szelmy, zdjął, jakbyście poszli stąd bez zezwolenia. Gdyby wcale nie mieli przyjechać, dam znać.

– Dam znać, kiedy będziecie mogli wrócić! – zawołał jeszcze raz i prędko pobiegł do sań, rozcierając uszy. Było to przed południem. Południe dawno minęło, a nikt nie nadjeżdżał.

– Nie potrzebujemy wszyscy marznąć – postanowił Kaźmierz. – Pięciu pójdzie do lasu i rozpali tam ogień. Szósty zostanie pilnować, czy nie nadjeżdżają, i przeręble mącić. Będziemy się zmieniać co kilka pacierzy.

Przystali skwapliwie i jak można się było spodziewać, zaczęli kolejkę od niego. Rozpalając ogień przyznawali, że dobrze wymyślił. Niby przygłupek, a nieraz tak mądrze rozrządził, że lepiej niż podstarości. Przez kilka następnych godzin zmieniali się przy stróży uczciwie. Z

jeziora widać było ogień w lesie, błyszczący

jak gwiazda. Zbawcza gwiazda. Patrząc nań łatwiej było znosić zimno. Wieczór nadchodził. Mróz tężał, wichur nie ustawał. Słońce, bliskie zachodu, stało czerwone, na kształt słupa czy krzyża. Od dworu nie przybywano.

—Już nie przyjadą – zawyrokował Demian, gdy Kaźmierz przyszedł go zmienić. —• Możemy wracać do domu.

– Jakże? – oburzył się eks-starościc. – Kazali czekać chociażby do rana!

– Postarościńskie gadanie! Kto by tam do rana czekał? Przecie już łówki nie będzie.

– Będzie, nie będzie, kazali nam czekać. Podstarości obiecał dać znać.

– Głupiecie! Przez kogo da znać? Sam przyleci? Kaźdzy ma dzisiaj urwanie głowy.

– Musimy czekać.

– Żeby zmarznąć na śmierć? Przy ogniu człowiek ździebko się zagrzeje, a nim na jezioro i z jeziora przyjdzie, już jest na amen zziębnięty. Doczekaliśmy i tak długo, podstarości się tyle nie spodziewał...

– Wczorajsi tak samo pewnie gadali i chłostę dostali.

– Wolę baty, niż tu śmierci czekać. Wielka rzecz baty! Matwiej dobry chłop, silno nie bije...

– Ja nie zejdem.

– Uświerkniecie, Kaźmirek, na szczęć. My idziemy. Chodźcie z nami.

– Zostanę.

– Wasza wola. Ej, wy tam! Idziemy! Przygłupi, jak chce, niech zostaje.

I poszli. Kaźmierz pozostał sam, potężnie zły. Podłecamy. Wolą baty niż trochę zimna. Zbawczy ogień

pod lasera przygasał. Trudno, nie mógł go pilnować, być równocześnie tam na brzegu i tu na lodzie. Nim się obeszło ostatnie przeręble, pierwsze już zamarzały, pokrywały się cienką, ostrą jak szkło szybą. A oni mogli nadjechać. Piękny jest połów przy pochodniach. Zresztą, choćby mieli nie przyjechać wcale, zejść ze stanowiska nie wolno.

Chodził tam i sam broniąc się przed zimnem. Myślał o chłopcu Kaziku, o zamierzonej ucieczce do klasztoru. Dzisiaj nie mógł, może uda mu się niepostrzeżenie ujść jutro? Odrywał z trudem przymarznięte do lodu bryły wycięte z przerębli, układał z nich mozolnie murek półkolisty, mający chronić od wiatru. Ogacił go śniegiem, żeby zatkać szpary. Zeszedł na brzeg, nabrał chrustu, a z wygasłego ogniska w połę sukmany nieco ciepłego jeszcze popiołu, zaniósł to wszystko na lód. Urządził sobie siedzisko. W schronieniu lodowym wicher mniej kąsał, ale mróz przejmował jak poprzednio. Zmęczony chodzeniem Kaźmierz usiadł na wystygłym popiele. Skulił się, objął ramionami kolana, naciągnął sukmanę, by mu jako tako przykryła stopy. Syruciowa sukmana! Była niegdyś bardzo ciepła, gruba i węzłasta. Przez lata wytarła się i zetlała, nie chroniła już jak dawniej.

Zmierzch zapadł. Słońce zaszło, lecz czerwone słupy zorzy barwiły się jeszcze na niebie. Kaźmierz usiłował myśleć nadal o klasztorze, o czekającym go rychło wyzwoleniu, o testamencie, który będzie pisał, lecz myśli, zrazu posłuszne, wymykały się, pierchały. Gdy siłą woli powstał, by znów oczyścić przeręble, i rozejrzał się po zsiniałym nagle świecie, ogarnęło go uczucie dziwnej samotności. Sam jeden na wielkiej płaszczyźnie jeziora.

Zeszłoroczne trzciny pod brzegiem ocierały się o siebie z metalicznym chrzęstem. Nie ma nikogo wśród trzcין,

nie ma nikogo w lesie. Nawet zwierzyna skryła się przed mrozem. Noc nadchodzi. Nikt nie przyjedzie. Konstanty i jego goście dawno już wieszczą we dworze. Ani im się śni przyjeżdżać. Więc po co został? Tamci mieli słuszność, że odeszli. Czemuż on jeden zawsze postępuje głupio i na swoją szkodę? Czemuż nie odchodzi teraz, zaraz, póki jeszcze stóp nie odmroził?

— Powiniennem odejść – powtarzał sobie; a jednak obszedłszy przeręble wlaź z powrotem do lodowego schronu. Może, że było tam nieco cieplej, może z wrodzonego instynktu broniącego zejść z placówki, może dlatego, że poczucie samotności wzrosło, zdławiło go, obezwładniło.

...Nikogo, nigdzie nikogo... Jakby nie było Boga w niebie, diabła w piekle, ludzi na ziemi... Nic, tylko bezmiar pusty i zimny, a w nim on sam jeden, Kaźmierz czy Kaźmirek Przygłupek – sam już nie wie... Gdybyż choć cień przyjaciela... Gdybyż jakaś żywa dusza... Można by wtedy podnieść głowę osuwającą się bezwładnie na skostniałe kolana, można by unieść powieki, można by wstać, przebić przeręble, spełnić obowiązek do końca... Ale nie przyjdzie nikt... nikt... Chwycało go ponownie to samo, co na ganku dworu, poczucie zabijającej, okrutnej śmieszności. Siedzi tu teraz na lodzie, marznąc śmiertelnie, zamiast zajmować należne miejsce we własnym, niedalekim domu... Co komu przyszło z jego poświęcenia, z jego pociesznego ślubowania?... Że może ten mały zrozumie?... Eh, czy zrozumie, czy zechce w ogóle testament stryja-chłopa przeczytać? Może uśmieje się z tych skryptów wraz z innymi, jak śmiałyby się każdy widząc teraz skulonego ich autora?

Śmieszny Kaźmierzu Korsaku, zdawało ci się, że odkupisz świat szlachecki, a może świat ten jest właśnie taki.

jakim być powinien?... Może inaczej w życiu postępować nie należy? Cóż warci twoi towarzysze, którzy odeszli przed chwilą? Zostawili cię samego, nie dbając, że zmarzniesz... Tego by nigdy żaden szlachcic nie uczynił... Dla kogoś się poświęcił? Roileś sobie, że ktoś za tobą stoi, że jakaś siła nadaje sens twoim czynom... Nie masz jej. Nie masz przy tobie nikogo... Jesteś sam, sam, sam...

— Sam winien zostawać człowiek, gdy sprawa dzieje się między nim a Bogiem – rzekł tuż przy nim jakiś głos wyraźny i pełny. Kaźmierz drgnął, podniósł z wysiłkiem głowę. Czyj to głos? Znajomy, bliski... Nie widać nikogo, lecz ktoś przy nim stoi. Z tą świadomością udręka nagle odeszła. Sprawa między człowiekiem a Bogiem... Tak właśnie. Czegóż on się kłopotał, trwożył? Toć od początku było dokładnie wiadomo, że żaden bliźni mu nie pomoże, że odwoływał się wprost do Boga samego. A w Boga wszakże nie wątpił. I czym się bardziej oddalał od świata, tym stawał bliżej tamtego najślusniejszego trybunału...

...Świat... Zaczął o nim myśleć nie z goryczą wygnania, jak dotąd, ale niby ktoś, kto odchodzi. Spoglądał na przebyte życie wzrokiem, jakim żurawie żegnają ziemię odlatując za morza. Ukochany świat szlachecki, za którym tyle lat boleśnie tęsknił, ukazał się jego oczom, nagle jasnowidny, niby kobierzec utkany z barw jasnych i złotych, mieniących się i purpurowych. Kobierzec ożywa, wstaje, huczy, szumi, tętni, błyska zwycięskimi proporcami, oddycha mocą... Lecz z naprzeciwna, z gnojnych, niskich chat, z zapadłych bud, z ostępów leśnych, znad przerębli, przy których przemarznięci

ludzie czekają dobrej woli i zachcianki pana, powstaje
fala druga, ciemna i złowroga, ciągnie, szerzy się i ro-

śnie. Wzdyma się, grozi, zalewa, pochłonie... Przeciw tej mrocznej, mściwej nawale, na pustym polu, dzielącym oba obozy, on sam – Kaźmierz Korsak – stoi jeden jedyny. Broni, rozpościera ręce, rozpina się na powietrzu mroźnym jak na krzyżu, zasłania swoich, prosi o najcięższą mękę, bo im ból większy, tym lepsza obrona, tym łacniej tamci przebaczą...

Prakseda nie mogła usiedzieć w chacie z niepokojem. Biegała to do sąsiadek, to do kuchni dworskiej. W kuchni dowiedziała się, że panowie na połów nie pojechali, bo goście koronni, nie zwykli litewskich mrozów, wolą poczekać, aż zimno sfolguje. Od sąsiadek posłyszała, że Demian i inni wrócili o zmroku do domów. A gdzież się podziewał Kaźmirek?

— Głupi, to został sam jeden, choć mówiliśmy, żeby z nami szedł – objaśnił Demian.

Załamana ręce, owinęła głowę chustką i pobiegła na jezioro. Ano prawda, siedział tam mało co żywy, siedział i uśmiechał się do miesiąca tak jakoś dziwnie, jakby odmieńcem był. Ze wszystkim nieprzytomny, drętwy, poruszyć się nie mógł. Krzyczała nań, cuciała, rozcierała, ciągnęła jak kłodę, urobiła się do potu. Zdjęła z głowy szmatę, jemu łeb kudłaty obwiązała. Zdjęła dużą chustę, przewiązała go przez pierś. Została w samej katance, lecz nie czuła zimna. Dźwigała go na plecach, to wlokła za ręce, usiłowała postawić na nogi. Padał bezwładnie, więc znów podsadzała się pod niego, grzęzła w śniegu; co parę kroków przystawała, dysząc ciężko z wyczerpania, upuszczała go na ziemię, a on uśmiechał się ciągle. Nareszcie dotarła w pobliże podwórza i zaczęła

przyzywać Matwieja. Nadszedł z psami, splunął z
uznaniem dla jej energii. We dwoje

wnieśli Kaźmierza do chaty, położyli ostrożnie na tapczanie.

– Widzi mi się, że znowu zostaniesz wdową – stwierdził stróż odchodząc.

Prakseda sapiąc ze zmęczenia rozpałała ogień, grzała polewkę z obiadu. Kaźmierz leżał na wznak, patrzył w pułap, chrząkał dziwnie, mamrotał coś. Posłyszała swoje imię i podeszła śpiesznie. Spoglądał prawie przytomnie.

– Tyś mnie przyniosła, żono? – zapytał ochrypłym głosem.

– Ano. Któż by? – podniosła fartuch do oczu, bo stało się jej rzewnie, że po raz pierwszy powiedział do niej: „żono”, i to właśnie teraz, kiedy Matwiej przepowiada, że zostanie wdową.

– Przyniosłaś mnie... – powtórzył. – Dobra jesteś, krzywdziłem cię... A tamta mnie wygnała...

– Nigdyś mnie nie ukrzywdził! – zaprzeczyła, lecz on przymknął oczy i rzeził. Oddech miał świszczący, urywany. Dała mu pić. Przełknął z trudem i znów jął mamrotać słowa, których nie mogła zrozumieć. To pojęła, że wołał jakiegoś Kazika. „Słuchaj stryja...” – prosił.

Przykucnęła w nogach łóżka i słuchając tego gadania drzemała, bo zmęczyła się okrutnie. Ogień błyszczał pod popiołem. Gdy chory powiedział coś głośniejsz, otwierała oczy, patrzyła na niego zafrasowana. On spuchłymi od mrozu palcami przebierał po sukmanie, po chuście, i widząc to Prakseda żegnała się trwożnie, gdyż mówiono, że w ten sposób dusza maca swoją przyszłą drogę. Nareszcie nadeszło rano, chory znów spojrział przytomniej.

— Praksedo – rzekł – wołaj księdza.

- Parocha?
- Nie, kapelana ze dworu... Idź prędko.
- Gdzie by tam jezuita (wymawiała „wyzuwita”) przyszedł? Parocha zawołałam.
- Przyjdzie... Powiedz, że ja czekam. Kaźmierz czeka... Idź zaraz. Żeby pośpieszał...
- Nigdzie do ludzi nie chodzi, to i tu nie przyjdzie.
- Przyjdzie, jak powiesz: „Kaźmierz czeka”. Prędejj, prędejj... Idź!
- Pójdę, jak chcesz, ale czas po próżnicy stracę.

Okryła się i wyszła, przeprowadzona jego gorączkowym wzrokiem. Markotno jej było iść do dworu. Inna rzecz zalecieć do kuchni, przypochlebić się szafarce, pod pozorem pomocy złasować to lub owo, a inna – szukać księdza. Praksesta nigdy z ojcem Dominikiem nie rozmawiała. Widziała go czasem z daleka, gdy przechadzał się z nosem zatopionym w książce. Jak do niego przystąpić, co mu rzec? Czy nie pogniewa się, że go do parobka wzywa? Na pewno się pogniewa. Lepiej od razu zawrócić i pobiec do cerkwi...

Przystanęła z wahaniem. Nakaz wzroku umierającego, błagalny szept – stanęły jej żywo w pamięci. Dawniej Praksesta byłaby wzruszyła ramionami na te wspomnienia i przeszła mimo, ale minione lata wywarły i na niej swój wpływ. Zmieniła się, sama o tym nie wiedząc. Kaźmierz dotrzymał słowa. Nie żył z żoną, rzadko się do niej odzywał, postępował we wszystkim inaczej niż wszyscy i może ta właśnie niepojęta zagadka, jaką dla niej stanowił, budziła w grubej, tępej samce jakiś niepokój człowieczy. Zimą odwiedzała wieś stara

zebraczka wędrowna, Motruna. Mądra była, znała świat,
chodziła po odpustach i miejscach cudownych.

Kiedyś spędziła tydzień w Kaźmirkowej chacie, a odchodząc szepnęła Praksedzie, wskazując na gospodarza: „On jurodiwyj...” ...Jurodiwyj... Wiadomo, co to słowo znaczy. Zdarzało się, że zza granicy moskiewskiej zachodzili na Białoruś jurodca, dziady na wpół szalone, na wpół święte, powszechną czcią otoczone. Motruna, doświadczona, bywała starka, nazwała takim Kaźmirka. Kto wie. Może on i jurodiwyj...

Nie przestała wprawdzie po dawnemu kłać i wymyślać na męża, lecz na dnie jej zachowania zaczął się tać szacunek. Teraz na myśl, że umiera, zbierał ją prawdziwy żal.

– Niech widzi, zem mu do ostatka dobrze chciała – postanowiła i poszła do dworu.

Najpierw do kuchni. Tam zaraz chciano ją zagnać do roboty, lecz podjęła szafarkę pod nogi, pokornie, jakby samą dziedziczkę.

– Paniuńko, wielmożna, łaskawa, ja do księdza teraz biegać chcę, z prośbą wielką, z pokłonem niskim... Ja nie wiem, które do niego... .

– Do ojca Dominika? A po co?

– Oj, wielka prośba, paniuńciu... Pokażcie... nie brońcie... Zaraz powrócę, pozmywam, odsłużę...

– Książd tam, o, chodzi, odmawia pacierze...

Ojciec Podolec w ciepłej szubie przechadzał się rzeczywiście tam i z powrotem pod ścianą dworu. Prakseda uradowana pobiegła ku niemu. Siąknęła nosem, chlipnęła, pokłoniła się do samej ziemi, złożyła ręce jak do modlitwy. Jezuita spojrział na nią ze zdziwieniem, roztargnionymi oczyma.

– A czego to chcesz, kobieto?

Pewien, że chodzi o wstawiennictwo, dodał:

– Bo jeżeli z jaką prośbą, to do pana komisarza... Nie do mnie.

– Ja wielmożnego wielebnego do męża proszę... On kończy... Umiera, znaczy... Wczoraj przy przerębli zamarzał... Pany miały ryby łowić... Podstarości przykazał czekać, nie schodzić. Czekał, czekał, aż zamarzał. Ja go przytaszczyłam do chałupy... I umiera!...

Zaniósła się łkaniem, dla niej samej niespodziewanym.

Ojciec Dominik rozcierał sobie policzek z zakłopotaniem.

– Do proboszcza idź.

– Mój nie chce tamtego pana księdza, tylko wielmożnego wielebnego... Jaż chciała... Parocha, mówię, przywiode... A on: „Nie. Kapelana ze dworu”. To ja pytam: „Wyzuwię?” On: „Tak, wyzuwię... A powiedz jemu... (niby wielmożnemu wielebnemu) że Kaźmierz czeka... Kaźmierz czeka... Kaźmierz czeka...” Bo jemu jest Kaźmierz...

– Czy ja go znam? – zdziwił się zakonnik.

– Widzi mi się, że nie... Mój stróżowi pomagał... Świnie obrządzał... Podwórze zamiętał...

– Zaopatrywanie chorych do mnie nie należy... – zaczął kapelan.

Prakseda znowu przyklęła na śniegu.

– Panoczku wielmożny, wielebny, on tak prosił, tak patrzył... „Kapelana, musowo kapelana” – prawił... On – zniżyła głos – nie taki jak wszyscy ludzie...

– Aha – domyślił się kapelan. – To ten siwy, wysoki, co go nazywają Przy głupkiem?

– Jego tak wołają, ale on przygłupi nie jest... On Boży, święty człowiek... Dziewięć lat ze mną żył, ani mnie dotknął, jak mnich... Całkiem od wszystkich od-

miczny... Nigdy nie sklął, słowa złego nie powiedział... Cichy taki... Za wszystkich robił...

Kapelan strzepnął palcami z niezadowoleniem. Nie chciało mu się iść, odwykł od podobnych posług, ale wrodzona dobroć nie pozwalała odmówić.

– Poczekaj – rzekł z rezygnacją – pójdę z tobą, pójdę.

Objęła go radośnie pod kolana i czekała. Aby ksiądz nie zwlekał długo, aby Kaźmirek jeszcze żył... Po chwili ksiądz nadszedł gotowy. Poszli. Ona szybko, on pomału, gdyż zdrowie nie służyło mu w ostatnich latach. Blask słońca odbijał się jaskrawo na śniegu. W powietrzu tańczyły iskry złote i błękitne. Dymy z kominów dworskich biły wprost w niebo, jak słupy. Przed gankiem stały już czekające na myśliwych sanie. Podstarości kręcił się przy nich.

– Gdzie tak rano, wasza wielbność? – zapytał.

– Do chorego, którego pono z łaski waszmości zamarzył wczoraj u przerebli.

Podstarości poskrobał się w szyję.

– Kaźmirek pewnie? Sam chciał, wasza wielbność, sam chciał... Inni zeszli, on został... Obiecałem, prawda, że dam znać, kiedy zejść, ale Bóg mi świadkiem, nie miałem jak... Człowiek w takim kołowrocie...

Kaźmierz otworzył oczy na skrzyp drzwi i rozpromienił się całym uśmiechem. Któż to wchodzi za Prakседą, czerwoną z pośpiechu? Oczywiście ojciec Andrzej Bobola. Jakżeby teraz nie przyszedł?... Wypełnia sobą izbę, jaśniejący, pogodny i mocny.

– Salve, pater – szepcze chory – wiedziałem, że przyjdiesz... Twój głos ocalił mnie wczoraj... Poznałem cię... Byłeś przy mnie?

– Byłem cały czas, mój synu... Niechaj cię Bóg błogosławi...

Rozwiewa się ojciec Andrzej, na miejscu zostaje ojciec Dominik. Wszedłszy z oślepiającego dnia do ciemnej izby, nie widzi nic, mruży oczy, mimo woli podnosi dłoń do nosa. Jakiż straszliwy tu zaduch!

– Salve, carissime pater – powtarza wesoło Kaźmierz. Jest tak szczęśliwy, że śmiałby się w głos, gdyby mógł. Ale nie może. Każde słowo wydziera się z trudem, świszcząc, z bolesnej krtani, barwne płyty migają przed oczyma. Płuca pracują jak miechy, gonią dech, rozpie-
rając chude żebra.

Ojciec Dominik nie dowierza uszom. Skąd łacińskie powitanie? Oswoił się nieco z mrokiem, widzi siwego nędzarza. Przysiada ostrożnie na brzegu tapczanu, kładąc modlitewnik obok siebie.

– Książka... – ucieszył się Kaźmierz. Drżącymi dłońmi dotknął sztywnych skórzanych okładek. Tak dawno nie widział książki!...

Ojciec Dominik nałożył stulę, j^jg Chcesz się spowiadać, mój synu? Katolik jesteś?

– Katolik prawy. Credo in unum Deum, Patrem omnipotentem, factorem coeli et terrae...

...Więc to nie było złudzenie!

Skąd znasz łacinę? Ktoś jest?...

— Aleksym jest, sługa Boży... Nie, nie Aleksy, Kaźmierz... Kaźmierz, Aleksy – sam nie wiem... Nie poznajecie mnie, ojczu? Przecież to ja... To ja...

Tchu mu zbrakło. Nie mógł mówić. Zachłysnął się kaszlem, opadł siny, zlany potem, na usta wystąpiła

różowa piana. Kapelan podsunął mu ramię pod głowę i rozejrzał się z rozpaczą.

– Wina! Prędko! – zakrzyknął.

– Wina?... – powtórzyła Prakseda zdumiona.

– Leć do dworu do marszałka! Niech ci da butelkę węgrzyna.

– Da mi to? – wzruszyła ramionami.

– Prędko, o Boże... Napiszę... – trzęsącymi się dłońmi wyciągnął raptularz, nakreślił parę słów ołowianą pałeczką, wyrwał kartkę, wręczył babie.

– Bieżaj, prędko! Prędko!...

Wypadła z chaty. Kapelan podniósł się. Z załamanyimi rękami patrzył na gasnące rysy nieznajomego. Nieznajomego?... Powiedział: „Nie poznajecie mnie, ojczy?”... Kaźmierz... Czyżby naprawdę? Nie! Nie! Nie-możliwe!... To znów z przerażeniem wodził oczami po nędznej izbie. Tapczan... Bura sukmana wytarta... Mierzwa zamiast wezłowia... Jeśli to prawda...? Uchwycił się wzrokiem puszek z Chrystusem stojącej na stole.

Zbawicielu miłosierny! Jeśli to prawda...? Czym jest on, a czym my?...

Prakseda wróciła zdyszana.

– Byłam długo, bo pan marszałek dał wino, a dziewcziczka nadeszła i powiedziała, że szkoda, więc przynieśli drugie... Do kubka nalać?

Skinął głową. Wziął kubek, wsączył nieco napoju w zsiniałe wargi Kaźmierza. Choć kwaśny cienkusz, wino zrobiło swoje, chory po chwili otworzył oczy.

– Spowiadać się chcę, ojczy. Confiteor Deo. Ktoś jest!?! – zawołał ksiądz błagalnie.

– Toć rzekłem... Kaźmierz... Kazik, co spod Smoleńska nie wrócił... Tunikę Nessusa wdział... Ta oto, ta... prawdziwa... tunika... Nie... sukmana...

– Boże! Boże! Tyle lat!... Dlaczegoś to zrobił?!

– Dlaczego?...

Twarz umierającego rozpromieniła się cudownym uśmiechem. Powiódł wzrokiem wkoło, jakby szukając, czy nie ma znów ojca Andrzeja Boboli... On wie... On by wytłumaczył... Ręką bezwładną usiłował zatoczyć krąg, ukazać wszystko wkoło, dwór, chaty, ludzi, brata, Beatę, Praksedę... Za nich to wszystkich... Confiteor...

Prakseda schowała się do komory, by nie przeszkadzać w spowiedzi. Płakała, a równocześnie czuła się dumna i szczęśliwa. Nie byle kim okazał się jej Kaimirek, skoro ze dworu wino dali... Od śmierci starej dziedziczki nigdy się podobna rzecz nie zdarzyła. Będzie miała o czym opowiadać sąsiadkom, oj, będzie... I podstaroścemu pieskiemu pewno się dostanie za to, że Kaźmirka na lodzie zostawił, i pogrzeb sprawią parradny... Stara Motruna widno miała rację...

Otrzymawszy Sakramenta święte chory omdlał znowu. Wino już nie mogło go ocucić. Zalany łzami kapelan kręcił się po izbie nieprzytomnie. To chciał wołać ludzi, by nieśli chorego do dworu, to posyłać po medyka. Kaźmierz jeszcze raz otworzył oczy.

— Nie potrza mi nic... — szepnął. — Szczęśliwym... Małemu... małemu... powtórzcie... Jeno o ojcu... nie... Dawnom wybaczył...

ROZDZIAŁ XIX

Szalony by w to uwierzył! – wykrzyknęła Beata. Zacisnęła wargi, urażona. Tu goście znaczni, tu obiad trzeba podawać, a równocześnie ta straszna nowina, jak gdyby z innego świata, niewiarogodna, niemożliwa, niepojęta...

– Ksiądz w to wierzy? – zapytywała z gniewem.

– Wierzę. Widziałem, słyszałem.

– Ja nie wierzę. Że jakiś przybłęda gadał... Każdy może gadać, co mu się podoba... Przyjdzie inny i powie, że jest królem nieboszczykiem... Powiadają, że po Warnie wielu się takich znajdowało... I co? Każdemu wierzyć?...

– Widziałem... Słyszałem... – powtórzył ksiądz znękanym głosem.

– Ja go także widziałam przedwczoraj. Nosił do pokoju drzewo (nie dodała, że go przegnała z okrutnym szyderstwem). Nie było najmniejszego podobieństwa. Najmniejszego. Pamiętam dobrze Kaźmierza. Wielebny ojciec padł ofiarą podstęp.

– Przecież się spowiadał przede mną.

– Ja nie wierzę – powtórzyła uparcie. – Cóż jegomość na to? – zwróciła się do męża.

– Ja też nie wierzę – odparł Konstanty głucho. Myślał: „Gdybym mógł uwierzyć! Że nie zabiłem i on mi wybaczył... Gdybym mógł... Ale to niemożliwe...

Beata ma słuszość... Żeby tyle lat żył tu, nie pozna-
ny?... żeby się o swoje nie upomniał?... Uwierzyć, że to
był Kaźmierz... Że to on w płonącej chacie podparł
przyjacielskim ramieniem, żalu nie chowając... Po tylu
latach odetchnąć swobodnie, nie czując morderstwa na
sobie!... Niemożliwe! Niemożliwe! Jakież byłby cel po-
dobnej mistyfikacji?

...Spowiadał się... Więc jeżeli to był Kaźmierz, ojciec
Dominik wie o zbrodni... Tamten musiał mu powiedzieć,
że brat go zastrzelił... Ksiądz nie da nic poznać po sobie.
Nie zdradzi się niczym... Zachowa tajemnicę na zawsze.

Znienawidził nagle ojca Podolca za tę pieczęć dosko-
nałego milczenia, zapragnął chwycić go za ramiona, po-
trząsnąć, krzyknąć: »Mów, co ci tamten powiedział! Co
ci wyjawiał o mnie?! Wtedy poznam, czy był prawdziwy,
czy nie...«

...Ale ksiądz nie powie. Nie powie, choćby mu za-
grozić śmiercią, jak Waclaw czeski Nepomukowi... Nie
powie... Oszaleję, jeśli prawdy nie dociekę. Muszę
wiedzieć. Trup Kaźmierza winien mieć bliznę na piersi.
Ślad mojej kuli. Jeżeli blizny nie ma, nie on to był... Jenó
jak pójsć i obaczyć?"

Beata tupiała z rozdrażnieniem nogą. Czula się jak
człowiek, przed którym rozwarł się nagle widok na nie-
pojętą i straszną głębinę. Żyła dotąd myśląc przeważnie o
sobie, zatopiona w ciasnym kręgu swoich przyjemności,
uraz lub kłopotów, a oto dawno zmarły narzeczony
zjawiał się niespodzianie na drodze, przygniatał
niezrozumiałą zagadką, ciążył jak góra, której ni obejsć,
ni minąć nie można. Przed chwilą zapewniała szczerze,
że nie wierzy. Sama trzeźwa i wyrachowana, nie

rozumiała, by ktoś mógł podobne szaleństwo popeł-

nić. Lecz w międzyczasie przypomniała sobie spojrzenie Przygłupka zdybanego na środku komnaty. Jak patrzył na nią! Jak dłonie cisnął do piersi! O, jeżeli to był on!... Potem umierał, a ona mu dobrego wina pożałowała...

Twarda skorupa samolubstwa prysła, Beata, bliska łez, pojęła, że nie zazna spokoju, jeżeli nie dowie się prawdy. Musi wiedzieć. Ale jak?...

Wysiłkiem pamięci przywołała zatarte w myśli lica zmarłego narzeczonego, jego dorodną postać, tak niepodobną do kołtuniastego dziada, i chwilę, gdy go żegnała odjeżdżającego... Widzieli się wtedy ostatni raz... Odgarnęła mu włosy z czoła i pocałowała w znamię, brunatne, podłużne, ukryte na lewej skroni. Jeżeli trup ma to znamię, kapelan jest praw. Ale co wówczas jej pozostaje uczynić?

Mniejsza o to... Wiedzieć! Wiedzieć!... Za chwilę Konstanty, chce czy nie chce, zasiądzie z gośćmi do stołu. Ona nie. Niewiasty nie biorą udziału w ucztach. Zwyczaj, który ją zwykle drażni, wydaje się dziś błogosławiony. Gdy będą ucztować, ona wymknie się o zmierzchu. Ludzie się zdziwią, niech się zdziwią... Starościna, matka Kaźmierza, często chodziła po chatach. Pomyślą, że młoda dziedziczka wstępuje w jej ślady. Dotąd tego nie czyniła, bo, bo jej nie było... Przecie nie mieszkali tutaj...

W sali jadalnej już zatłono świece, już z głów biją opary wina. Wystawny, ciężki obiad z kilkunastu dań jest w pełni. Pora najlepszej uciechy, pora, gdy nikt nie wstaje od stołu. Beata uważa, że może teraz swobodnie wyjść, przekonać się, kim był człowiek zmarły rano...

– Która jest chata Kaźmirka? – pyta szafarki pozornie najobojętniejszym głosem.

– Jaśnie wielmożna pani marszałkowa chce tam coś zasłać? Każę zawołać Praksedę.

– Nie trzeba... Ja sama... Więc która to chata?

– Pierwsza za tokiem, przy gnojówce.

Beata schodzi ostrożnie ze schodów. Czuje się nie-swojo. Z kuchni oczy całej służby śledzą ją ciekawie. Dokąd też dziedziczka poszła? Po co?...

„To naprawdę śmieszne – myśli Beata – że nigdy nie byłam w chatach dworskich... Niby to blisko, a zdaje się jej daleko. Ledwo wyszła za podwórzowe obejście, czuje się obca niby w cudzym kraju. Z boku słychać skrzypiące na śniegu kroki. Wysoka postać, rozwarta szuba. Konstanty! Zatrzymują się, zaskoczeni.

– Jejmość szłaś tam?...

– Tak. Żeby wiedzieć...

– Ja też... – wyznaje Konstanty i myśli: „Zatem ona wie o bliźnie? Wiedziała cały czas wszystko? Boże, bądź mi miłościw!”

Stoją na dziedzińcu, nie wiedząc, czy iść dalej, czy się cofnąć. A niepokój aż dławi. Chata dawniej Kociu-kowa tuż. W niej leży trup przedwcześnie postarzałego, siwego człowieka... Kim był ten człowiek?

Szybkim krokiem wynurza się jeszcze ktoś z mroku, idzie z dołu, od chat. Pan komisarz Bies Korolko. Nie okazuje żadnego zdziwienia na widok dziedzica i dziedziczki, idących o tak niezwyklej porze pieszo przez dziedziniec. Nie pyta, jak to się stało, że jaśnie wielmożny pan marszałek opuścił biesiadników, czyniących z nim dobrą myśl, jak zostawił samych pana referendarza

koronnego, pana podstolego i kasztelanka?... Nie ciekawi się też, dokąd idą?

– Wracam z pochówka Kaźmirka, któren zmarł dziś rano – oznajmia bez wstępu.

– Już pochowany?! – wykrzykują oboje Korsakowie z przerażeniem.

– Już – przytwierdza twardo pan Korolko. – Zwykle na drugi dzień chowamy, ale ludzie jasełka stroili, bajki puszczeni, więc zaordynowałem pogrzeb natychmiast. Skoro umarł, po co trupa w chacie trzymać!? Po co?

– Szliśmy właśnie go zobaczyć... – wyznaje z wysiłkiem Beata spuszczać głowę.

– Zbytni zaszczyt dla nieboraka... Nie wiem, co tam było oglądać?

– Bo, bo ksiądz kapelan mówił...

– Słyszałem powiastkę szerzoną przez księdza kapelana dobrodzieja – odpowiada komisarz przesadnie podniesionym głosem – i właśnie dlatego kazałem trupa uprzatnąć. Słowa w tym prawdy nie było...

– Skąd waszmość wiesz?! – pytają równocześnie. Beata z ulgą w głosie, Konstanty z bolesnym zawodem.

– Słowa prawdy nie było – powtarza pan Bies z naciskiem.

Zawrócili i idą wszyscy troje przez podwórze ku oświetlonemu rzeźbiście dworowi. Kapelę słychać aż tutaj.

– Waszmość państwa dobrodziejów moich mogło to zmamić – grzmi na cały dziedziniec pan Korolko – boście tu nie byli długi czas, ale nie mnie, com na Kaźmiruka patrzył dzień po dniu. Znałem go expedite. Wszystkich naszych ludzi znam. Mam takie oko – oho! – że nic przede mną nie ujdzie. Każdego przejrę na wylot... Nieboszczyk, pocziwiec, był niespełna rozumu,

chłop prosty. Urodził się chłopem, umarł chłopem... Nie będzie z chłopca król ani z pana chłop, bo te stany, od Opatrzności ustanowione, są do siebie całkiem niepodobne... Zapowiedziałem chłostę każdemu, kto by brednie durne rozsiewał, a jaśnie państwa mogą raz jeszcze zapewnić, że te wymysły to łgarstwo!

W głosie komisarza brzmi tyle przekonania, że małżonkowie Korsakowie przyjmują bez sprzeciwu jego rację. Oczywiście, to nie mógł być Kaźmierz. Kapelan, poczciwy, łatwowierny człowiek, uwierzył obłąkanemu. Zmyliła go tożsamość imion... „Chwała Bogu – myśli Beata. – Umarli nie powinni z grobu wstawać, niepokoić żywych... Chwała Bogu...”

Muzyka rozbrzmiewa coraz to donośniej. Z okien bije luna świateł. Konstanty kroczy ciężko, ze zwieszoną głową. Jest mu źle, tak źle jak nigdy. Nadzieja błysnęła krótko i zgasła. Mówił ksiądz, że ów Kaźmirek przed śmiercią wszystkim wybaczył... Dawno wybaczył... Więc gdyby był naprawdę Kaźmierzem, ułaskawienie obejmowałoby Konstantego...

...Ale nim nie był...

I każde słowo komisarza rozbrzmiewa w mózgu dziedzica jak wyrok wiecznej zagłady...

Pan marszałek Kapusta i pan Korolko przyszli do kapelana spędzić z nim ostatni wieczór przed wyjazdem. Ksiądz Podolec bowiem opuszczał na drugi dzień Głębokie, odjeżdżając na stałe do Wilna.

– Zatyłem się tutaj, zasiedziałem – mówił – wolej mnie posłać gdzie na cięższą służbę...

Tymczasem gościł przybyłych, jak mógł. Rozmowa się jednak nie kleiła. Piwo wietrzało nalane. Wina nikt

nie pił. Gadali niemrawo o tym i owym, jak gdyby omijając starannie to, o czym myśleli naprawdę.

W połowie wieczoru wpadł pacholik meldując, że podstarości chce się widzieć z jegomością panem komisarzem.

– Niech tu wejdzie – zaproponował kapelan. – Co waszmość będziesz człowieka w sieni na mrozie trzymał i sam marzył?...

Jeśli wasza wielebność pozwoli... No, gadaj waść, czego mnie po nocy nachodzisz.

– Z tym Kaźmirkiem nieboszczykiem ciągły kłopot, wielmożny panie – raportował podstarości. – Ludzie go świętym obwołują. Na mogile się modlą, klękają...

– To mi waść chciałeś powiedzieć?

– Nie, jeszcze o tej sukmanie. Pochowali my go tylko w gaciach, bo sukmanę stara Oleśka zabrała. Powiedziała, że Syruciovą była... Nie broniłem...

– Nessusowa tunika – westchnął ksiądz Podolec.

– Upraszam łaski waszej wielebności, nie Sussowa, tylko Syruciovą. Teraz ludzie chcą Oleśce sukmanę zabrać i na szkaplerze pociąć... Więc ja nie wiem, co mam robić, bo wielmożny pan baty zapowiedział każdemu, co by bajki o Kaźmirku prawił, a oni na szkaplerze chcą ciąć, to co ja mam zrobić, bo nie wiem, nie wiem.

– Vox populi vox Dei – zauważył znów kapelan. Pan Korolko namyślał się długo. – Daj im waść spokój – rzekł na koniec. – Że święty, mogą gadać, wiele chcą, byle nie gadali, że szlachcie. – Rozumiem, wasza wielmożność. Podstarości uklonił się i wyszedł, i znów zapadło milczenie. Jedna z palących się świec skwierczała nieznośnie, aż obecnym było nieswojo, bo

takie skwirczenie oznacza, że dusza czyjaś błąka się jak óma po pokoju. Na koniec komisarz rzekł:

– Vox populi – vox Dei, ksiądz powiadasz? A już- ci! Tuszę, że wasza wielebność nie będziesz dalej rozpuszczał onych wieści, które takie larum zrobiły na dworze?

– Powtórzę je, owszem, mojej władzy. Potem, że człek jest śmiertelny, opiszę wszystko, co wiem, i u biskupa złożę, by kiedyś Kazikowi oddano, jak tego zmarły chciał...

– Możesz pisać, ojcie dobrodzieju, byłeś nie gadał. Nakłonię jaśnie wielmożnego pana marszałka, by do biskupa pojechał i tam też o dyskrecję prosił. Biskup uczyni to dla honoru znamienitego domu niewątpliwie.

– Czyńcie, jak chcecie. Nie moja rzecz. Dziwię się jeno i nadziwić się nie mogę, że waść, właśnie waść, któryś niegdyś Kazmierza miłował, oczy na prawdę zamykasz...

Komisarz obrócił ku księdzu twarz nagle postarzałą.

– Ja zamykam?! Cóż to? Ojciec dobrodziej ślepy jesteś czy za durnego mnie masz? Wiem ja dobrze, tylko udawać muszę. Ledwo nowina gruchnęła, mało na ziemię nie padłem, jakby mnie piorun olśnił, ale musiałem wydzierżyć i gębę wszystkim zamknąć, żeby cisza była. Porządek musi być zachowany! A cóż by się ze wszystkim ładem społecznym stało? Z podstawą sprawiedliwości?... Musiałem... Kazik... Kazik... Jak syna go miłowałem. Wiem, że to on był, dobrze wiem... Święty – powiadają ludzie... Pewno, że święty. Ale świętość to diablo niewygodna rzecz dla współżyjących. Sprzecznna z rozsądkiem, z rozumem, a rozum też przecie dar Ducha świętego, świętość trzeba nieraz zataić... Jejej!

Jak pomyślę, co za rumor stąd by poszedł... Wszystko na nice wywrócone... Przeinaczone. A ładu trzeba strzec... Myślisz, ojciec dobrodzieju, że mnie łyzy nie dławią, jak pomyślę, że żył tu między nami, nie poznany? Że przyszedł do własności, a swoi go nie przyjęli, jak Ewangelia powiada?... Boże, odpuść! Kazik!... Chciał świętym być, czemu do klasztoru nie poszedł, pustelnikiem nie został, jeno tutaj, w ojcowiznie?...

– To wybrał, co najtrudniejsze...

– Tamtym chamom dobrze. Powiadają, że już dwa lata temu stara Motruna nazwała go świętym. To im dość. Sukmanę na szkaplerze pokrają, modlić się będą i zadowoleni. Ale my? O nas nie pomyślał... Jak nam żyć teraz? Z tą wiadomością...? Z tym wspomnieniem...? Jak nam żyć?...

– Jak nam żyć?...

Marszałek Kapusta ocierał łyzy z pocziwych, spłowiałych oczu. Ksiądz milczał. Świece trzeszczały znowu i płomień ich poblękitniał. Znak niezawodny, czyjaś dusza snuje się po izbie.

Górki Wielkie, Upite 1939